

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Kobiety Jana Pawła II • Na piersi
swastyka. Kto „denazyfikuje”
Ukrainę • W Szwecji rośnie
arystokracja • Niall Ferguson:
Biden jest gorszy niż Trump



WYSOKIE OBCASY
Pigulkę gwałtu mogą
wrzucić ci wszędzie
Nastolatki też czytają
Tylko nie wiecie co



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Bartłomiej
Sienkiewicz

Rząd i Rosjanie

Szantaż, polityka, korupcja? ▶ 10

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Przecież nie mogą
zabić wszystkich?**
Engelking i Maciorowski
o Grosse Aktion



**Przychodzi Rywin
do Michnika**
Afera, która zmieniła
Polskę

Kraków
Najdroższe
miasto
w kraju

Witold
Gadomski



Poczekają, aż się zmęczymy

Unia Europejska uzgodniła siódmy pakiet sankcji wobec Rosji. Jego znaczenie będzie niewielkie. Nowy pakiet głównie precyzuje szczegóły poprzednich ograniczeń. Ponadto wprowadza embargo na import złota, zwiększa regulację handlu towarami podwójnego zastosowania oraz dodatkowo ogranicza w zamówieniach publicznych i usługach finansowych.

Rosyjska gospodarka odczuje to w niewielkim stopniu. Skutkiem poprzednich pakietów jest spadek produkcji, zamknięcie wielu zakładów i utrata setek tysięcy miejsc pracy. Rosjanie zbiednieli, spadły ich wynagrodzenia, ale zachodnie sankcje nie są w stanie powstrzymać maszyny wojennej lub doprowadzić do paraliżu państwa.

Jest kilka przyczyn. Rosja miesiącami przygotowywała się do wojny, gromadząc złoto i rezerwy walutowe. Wprawdzie część tych rezerw zablokowały zachodnie banki centralne, ale to, co zostało, wystarcza do obsługi importu. Ów spada z powodu sankcji lub dlatego, że wiele firm obawia się handlu z Rosją, lecz Chiny sprzedają Rosji produkty technologiczne, choć postępują ostrożnie, by sankcje nie objęły także ich.

Jednocześnie kilka krajów – Chiny, Indie, Iran – kupuje rosyjskie towary, co na krótką metę podtrzymuje rosyjską gospodarkę.

Sankcje uderzają silnie w gospodarkę zachodnie, przy czym trudno się zorientować, czy to sankcje rosyjskie wymierzone w Zachód,

czy zachodnie, które uderzają rykoszetem. Sytuacja nie jest symetryczna. Rosja prowadzi wojnę, społeczeństwo zdaje sobie sprawę, że musi ponieść skutki, a jest przyzwyczajone do wyrzeczeń i ogólnie niskiego poziomu życia. Dla Europejczyków skutki sankcji są przykrą niespodzianką i Rosja będzie starała się to rozegrać, podkopując wolę państw unijnych do kontynuowania pomocy dla Ukrainy.

Widać, że Zachód nie był przygotowany na agresję i nie miał opracowanych planów zastąpienia rosyjskich surowców energetycznych. Dowód – w przededniu wojny magazyny gazu ziemnego w państwach unijnych były puste. Reakcja na najazd była spontaniczna, częściowo wymuszona stanowiskiem obywateli państw unijnych, zszokowanych tym, że w XXI wieku agresywne mocarstwo może powtarzać w Europie scenariusze z wieku XX. Teraz państwa UE nie mają innego wyjścia, jak współpracować, dzieląc się zasobami, by przetrwać zimę.

Na dłuższą metę muszą przyspieszyć transformację energetyczną, ale też na nowo przemyśleć jej przebieg, by nie dopuścić do utrzymania się wysokich cen energii lub jej deficytu. I czekać, aż pojawią się długofalowe skutki odcięcia Rosji od zachodnich technologii. ●

Andrzej rysuje



Londyn Ciepłej niż u nas w Australii!



FOT. FRANK AUGSTEIN/AP

Miedzy występami w Londynie członkowie australijskiego kabaretu i trupy cyrkowej Briefs chłodzą się w fontannie w South Bank. Upały w Wielkiej Brytanii biją rekordy – we wtorek odnotowano 39,1 stopnia. To najwyższa zarejestrowana kiedykolwiek temperatura na Wyspach.

Więcej o upałach i suszy, w dziejach i dziś, na Wyborcza.pl/nauka oraz Wyborcza.pl/klimat

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Radykalowie wygrywają

I

Zamyka się jedyna w Missisipi klinika aborcyjna.

Do Rose House przyjeżdżały nie tylko obywatelki stanu, ale też Luizjany, Arkansas, Teksasu

Iron Maiden w Warszawie Ulubiony heavy metal Polaków

Wielkim zespołem są. Co do tego nie ma wątpliwości, skoro grupa z niemal 50-letnim stażem wyprzedza Stadion Narodowy.

Sila Brytyjczyków polega na trzech atutach, które rzadko spotykają się pod jednym dachem.

Po pierwsze, grają niezłą muzykę. W latach 70. współtworzyli nową falę brytyjskiego heavy metalu, w kolejnej dekadzie oderwali się od peletonu. Niosła ich muzyka – ten puls basu, te dialogi gitar! Ale nie bez znaczenia były też treści. Pisując o historii (od faraonów po bitwę o Anglię) i cytując literaturę wysoką, robili za intelektualistów w nurcie, który bardzo potrzebował udowodnić, że nie jest od troglodytów dla troglodytów.

Po drugie, podbili to terytorium odpowiednio wcześniej. Kiedy większość gwiazd obawiała się zaglądać za żelazną kurtynę albo gardziła marnym wynagrodzeniem, oni przyjeżdżali regularnie. Po raz pierwszy pojawili się w 1984 r. z pięcioma koncertami halowymi, po dwóch latach z sześcioma. Jest też le-



FOT. AMY HARRIS/INVISION/AP

genda – koncert na weselu w Poznaniu, dany przypadkiem. Trafili na imprezę, szukając wieczorem przygód.

Trzecim atutem jest to, że są atrakcyjną marką, która komunikuje się ze zróżnicowaną publicznością. Zaczęli intuicyjnie – od fajnego logo, które kaligrafowali z kolegami na okładkach zeszytów, i upiornej maskotki, czyli słynnego Eddiego. Dziś to działania, nad którymi pracuje sztab ludzi: Iron Maiden jako pierwsi w tej branży dostępnymi byli wirtualnie (gra „Ed Hunter”) i w płynie (piwo Trooper).

No i czwarta rzecz. Ich koncerty to przednia zabawa. ●

Jarek Szubrycht

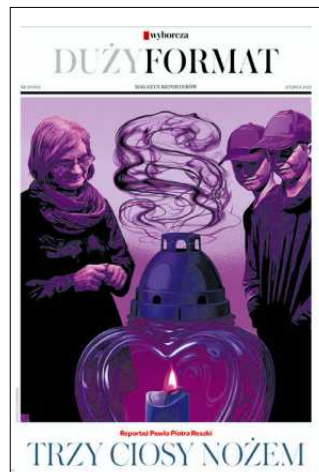
W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Chemseks dla chorych na samotność

„Chem” sprawia, że robisz rzeczy, na które nie zdobyłbyś się na trzeźwo. Znika lęk, znika wstyd. I nagle czujesz więź z osobą, którą poznałeś minutę wcześniej. Nie chodzi o seks, zabawę czy narkotyki. W chemseksie chodzi o miłość.

Reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej



Sportowy top tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota i niedziela

Skoki narciarskie latem

1 W Wiśle odbędą się dwa konkursy skoków w ramach Letniego Grand Prix. Na pokrytej igelitem, a nie śniegiem, Skocznia im. Adama Małysza pojawi się niemal cała światowa czołówka, w reprezentacji Polski będą nasi mistrzowie świata: Kamil Stoch, Dawid Kubacki czy Piotr Żyła. Dla Polaków to pierwsze zawody, w których poprowadzi ich nowy trener, młodszy od Stocha i Żyły Austriak Thomas Thurnbichler.



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, DANIEL COLE/AP

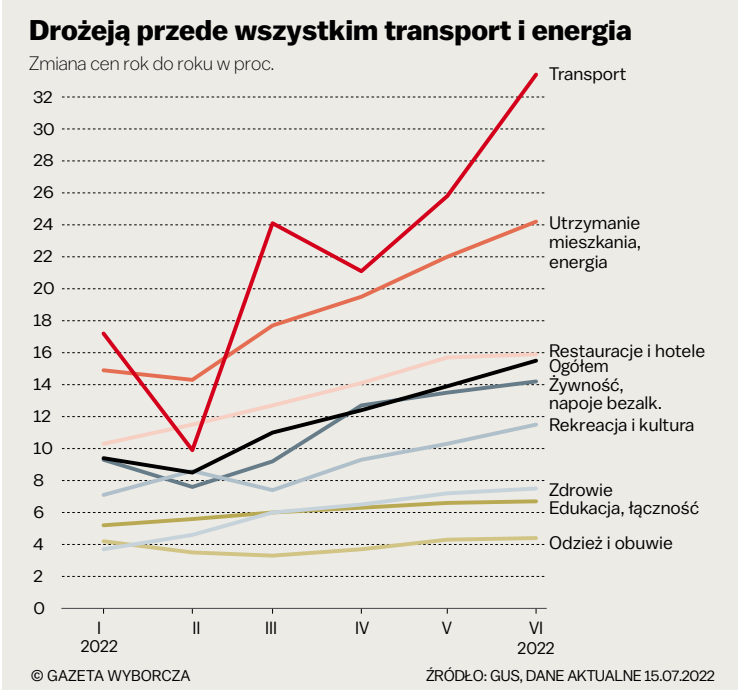
Niedziela

Meta Tour de France

2 Tradycyjnie na Polach Elizejskich zakończy się Le Tour, najważniejszy i najpopularniejszy kolarski wyścig świata. Ale to nie ostatni etap z metą w Paryżu wyłoni zwycięzcę. Niemal na pewno poznamy go dzień wcześniej, po etapie przedostatnim, czyli jeździe indywidualnej na czas. W rozgrywce liczą się tylko Duńczyk Jonas Vingegaard i Słoweńiec Tadej Pogačar.



Wykres tygodnia
Inflacja. Równi i równiejsi



Jeśli masz docieplone mieszkanie, możesz patrzeć z wyższością na sąsiada, który jeździ amerykańskim pick-upem. O ile na to mieszkanie nie pożyczyleś. Wskaźnik inflacji nie obejmuje rat kredytów. A jak państwo oberwaliście po kieszeni? Kalkulator drożyzny na [Biqdata.wyborcza.pl](https://biqdata.wyborcza.pl)

Cytat dnia

*Generalowie
używają rosyjskiego
sprzętu, by atakować
ludność i zrównywać
całe regiony kraju
z ziemią*



KHIN OHMAR
birmańska obrończyni praw człowieka

Powstanie w Mjanmie (Birmie) trwa od roku. Junta kupuje coraz więcej rosyjskiej broni, w tym helikoptery i samoloty, a ostatnio szkoli w Rosji pilotów. Reżim płaci surowcami, m.in. drewnem i kamieniami szlachetnymi

Więcej ► [Wyborcza.pl/swiat](https://wyborcza.pl/swiat)

Niedoceniane organy regulacyjne

UOKiK, UODO, UKE. Te trudne akronimy

Praworządność to nie tylko sądy i prokuratura. Kto obserwuje, co się dzieje w ochronie konsumenta czy danych osobowych

Bodnar



Dyskusja o praworządności w Polsce koncentruje się na sądach. To one mają największy wpływ na poszanowanie naszych praw, są ostatnią barierą, która chroni obywatela przed nadużyciami władzy. Szczęśliwie coraz częściej dostrzegamy znaczenie prokuratury – jej polityczne podporządkowanie powoduje, że przedstawiciele władzy wykonawczej (lub inne osoby sprzyjające obozowi Zjednoczonej Prawicy) praktycznie nie ponoszą odpowiedzialności.

Jednak umyka nam, że zmiana nastąpiła także w organach regulacyjnych. Ustawodawstwo, ale także prawo UE, wymaga, aby w niektórych obszarach życia funkcjonowały wyspecjalizowane urzędy. Powinny być niezależne, gdyż wtedy mogą dbać o realizowanie interesu publicznego. Nie mają jednak statusu organów konstytucyjnych, a są regulowane ustawowo. Dlatego z ich niezależnością bywa różnie – ustawę można każdego dnia zmienić.

Jednym z najważniejszych jest Urząd Ochrony Danych Osobowych. Jak sama nazwa wskazuje, ma dbać, aby gromadzenie i przetwarzanie naszych danych odbywało się zgodnie z prawem. Słynne RODO zna każdy. Prezes UODO jest powoływany przez Sejm, za zgodą Senatu, na czteroletnią kadencję. W jego przypadku gwarancje instytucjonalnej niezależności są określone przyzwoicie. Lecz jeśli przyjrzeć się bliżej działalności prezesa Jana No-

waka, to można zauważyć unikanie jak ognia spraw o dużym ładunku politycznym. Trudno znaleźć wystąpienia na temat podszywania się przez specusłużby pod działalność prywatnych firm, aby wyłudzać dostęp do telefonu i śledzić niektóre osoby za pomocą Pegasusa. Co do samego Pegasusa, UODO mógłby twierdzić, że to nie jego kompetencja. Ale czy wykorzystywanie do niecnej działalności firm prywatnych to nie jest sfera zainteresowania UODO?

Inny przykład – dane Marty Lempart na temat zachorowania na COVID-19 wyciekły do telewizji rządowej. Prezes UODO odmówił rzecznikowi praw obywatelskich reakcji, a sprawą zajął się, kiedy nakazał mu to Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie. Nie podejmował sprawy organizowania „wyborów kopertowych” i przekazywania Poczcie Polskiej przez premiera bez podstawy prawnej setek tysięcy danych obywateli.

To nie znaczy, że prezes UODO nie działa. Na stronie internetowej, w raportach, można znaleźć informacje o licznych wystąpieniach. Biznes obserwuje wystąpienia i rekomendacje UODO dotyczące ochrony danych, informacje o prowadzonych postępowaniach i karach. Ale powstaje pytanie: kto obecnie bardziej zagraża obywatelowi i jego prywatności – podmioty prywatne czy jego własne państwo?

Inny ważny organ to Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. UOKiK podlegają sprawy dotyczące łączenia się przedsiębiorców (fuzje i przejęcia), zmonopolizowane, walka z kartelami czy zbiorowe praktyki zagrażające prawom konsumenta. Prezesa UOKiK powołuje się w otwartym konkursie, lecz w dużej mierze jego los zależy od decyzji premiera, który może go odwołać praktycznie w każdym momencie. Jak istot-

na może być władza prezesa UOKiK, pokazuje sprawa przejścia przez Agorę spółki Radio ZET. Postępowanie trwało kilkanaście miesięcy, co było zupełnie nieproporcjonalne w porównaniu z innymi postępowaniami tego typu. Potem prezes Tomasz Chróstny wydał decyzję negatywną, którą uchylił w precedensowym wyroku Sąd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Media nie stroniły od komentarzy, że decyzja UOKiK była politycznie motywowana.

Kilka dni temu media obiegała informacja, że RPO Marcin Wiącek zwrócił się do prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej o wyjaśnienia w sprawie nowego systemu nadawania sygnału telewizyjnego. Decyzja prezesa UKE wydana na wniosek MSWiA spowodowała, że w ponad 2,5 mln gospodarstw do-

Takie organy nie są powszechnie znane, obywatele ich nie obserwują. Wykonują poważną pracę, trudno im zarzucić, że lekceważą obowiązki

nowych de facto wyłączono dostęp do niezależnych telewizji. To fundamentalne w kontekście zbliżających się wyborów. Obecny prezes UKE Jacek Oko został powołany w 2020 r. Kadencję poprzedniego, Marcina Cichego, skrócono jednym z przepisów wprowadzonych w ramach tarczy antykryzysowej. Decyzję o powołaniu nowego podjął Sejm, ale z ustawy wykreślono zgodę Senatu. Odwołanie prezesa zainteresowało Komisję Europejską. W tym kontekście raczej wątpię, czy prezes UKE pójdzie na wojnę z rządem w obronie praw obywateli i wycofa się z podjętej decyzji.

Sytuacja jest skomplikowana. Po pierwsze, takie organy nie są powszechnie znane i obywatele nie obserwują ich działalności. Po drugie, pracują w nich specjaliści z dobrymi kwalifikacjami zawodowymi. Po trzecie, wykonują poważną i detaliczną pracę. Trudno im zarzucić, że lekceważą obowiązki – raczej można mieć wątpliwości co do podejścia do niektórych spraw.

Właśnie mgła polityczna, a czasami także brak instytucjonalnych gwarancji niezależności, powoduje, że w najważniejszych sprawach poddają się presji politycznej. Albo realizują konkretne oczekiwania, albo przykrywają niemoc płaszczykiem pozornych działań, albo milczą. A obywatel traci zaufanie do danego organu i do państwa jako całości.

Dlatego takie organy regulacyjne nie powinny zejść z radaru opinii publicznej. Jeśli Polska ma być odzyskana dla obywateli, warto zagwarantować, że będą funkcjonowały na rzecz interesu publicznego, nie partyjnego.

Kadencyjność organów to podstawa. Ale równie ważne są procedury konkursowe, które wyłaniałyby najlepszych kandydatów – nie tylko pod względem kwalifikacji zawodowej, ale także integralności i przyzwoitości. Istotny jest udział społeczeństwa obywatelskiego, samorządów lokalnych, zawodowych oraz uczelni w ciałach konsultacyjnych. Słowem – na poziomie instytucjonalnym trzeba zadbać, aby do takich instytucji trafiały osoby, które podejmą się rzeczywistej służby obywatelom.

Państwo ma być odzyskane dla obywateli, a nie dla partii – taki przekaz musi płynąć od opozycji. ●

Adam Bodnar – profesor Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji

TERAPIA GORSZA NIZ GRZECH

Do seminariów przychodzą
kandydaci, którzy mają kontakt
z dziewczyną,
bo nie są pewni, czy wytrzymają

Z KSIĘDZEM **JACKIEM PRUSAKIEM***
ROZMAWIA **MARCIN WÓJCIK**

Co się zadziało w księdzu z Białegostoku, który pisał o swoich fantazjach seksualnych do przypadkowej kobiety?

– Po treści przeczytanych SMS-ów wnioskuje, że to nie wyłącznie problem z przeżywaniem celibatu, ale poważny problem osobowości, i obawiam się, że nie był to odosobniony incydent. To jest coś więcej niż tylko frustracja seksualna. Ale nie będę tu stawiał diagnozy.

Czym jest celibat?

– Dobrowolnie przyjęte bezżeństwo ze względu na królestwo Boże. Oznacza ono abstynencję seksualną oraz przeżywanie intymności z drugą osobą bez wyrażania jej przez czułość i bliskość fizyczną.

Ksiądz, który czatuje z kobietą, łamie celibat?

– To zależy od intencji i treści owych czatów i charakteru tej relacji.

Masturbacja to złamanie celibatu?

– Niezgodna z celibatem jest każda forma zaspokajania seksualnego.

Czy w seminariach duchownych są zajęcia z celibatu?

– A na czym miałyby polegać? Nie ma, ponieważ celibat to nie jest umiejętność, której można się jednorazowo nauczyć. Założenie jest takie, że ten, kto ma powołanie, otrzymuje od Boga łaskę życia we wstrzemięźliwości seksualnej. Nie oznacza to jednak, że nie powinny być podejmowane zagadnienia związane z psychologicznymi aspektami celibatu.

Prawdą jest, że w seminariach sprawdzają, czy kandydaci do kapłaństwa mają dwa jądra?

– Ostatnio chyba w średniowieczu, aby nie dopuścić do święceń eunuchów.

Chodzi o XXI wiek. Pewne seminarium na południu Polski.

– Nic o tym nie wiem. Niby kto miałby to robić?

W seminariach nie ma wykładów z psychologii, które pomogłyby zrozumieć własną seksualność?

– Jest niewielka liczba godzin z psychologii ogólnej, niezwiązanej z problematyką przygotowania do kapłaństwa. To zdecydowanie za mało. W Kościele istnieje lęk przed psychologią, obawa, że łaskę zneutralizuje się do natury. Dużo ta-



kiego lęku można zaobserwować w Polsce. Ojcowie duchowni w seminariach powinni mieć przygotowanie psychologiczne do pracy z kandydatami do kapłaństwa, a zazwyczaj nie mają. Wystarczy, że są pobożni. Czasami to za mało, żeby skutecznie pomóc.

Byli księża mówią, że nie wiedzieli, czym jest celibat, kiedy go wybierali w wieku 24 lat.

– Dlatego jestem za przesunięciem święceń kapłańskich do 30. roku życia. Tak jak przesunął się wiek zawierania małżeństw, tak trzeba przesunąć wiek święceń. Coraz częściej zdarza się, że do seminariów przychodzą kandydaci, którzy są jedną nogą w seminarium, a drugą w poprzednim życiu – utrzymują kontakt z byłą dziewczyną, bo nie są pewni, czy wytrzymają w seminarium. I tu ciekawostka: zdarza się, że taka para łączy się na nowo po święceniach. Kobieta nie znalazła innego partnera, młody ksiądz nie jest skłonny do życia w celibacie, więc wracają do siebie. Żyją w ukryciu.

I jest druga – najlichniesza – grupa seminarzystów, którzy autentycznie chcą być kapłanami. Takí pelen ideałów dziewiętnastolatek myśli, że wie, czym jest celibat, tylko dlatego, że przekroczył próg seminarium. I wie, na czym polega życie w celibacie, bo obserwował księży w swojej parafii. Ale im dalej idzie, tym głębiej doświadcza swoich deficytów seksualnych i frustracji wynikającej z tego, że naturalna potrzeba bliskości nie jest zaspokajana. Wtedy bardziej realistycznie zaczyna dostrzegać celibat. Jednak to nie oznacza, że klerycy w starszych rocznikach rozumieją, z czym będą musieli się zmagać.

Z czym?

– Nie tylko z brakiem gratyfikacji seksualnej, ale również brakiem dojrzałej i wyłącznej więzi z drugą osobą oraz mniej lub bardziej świadomie z brakiem potomstwa.

Jeden z byłych księży powiedział, że w seminarium zagłuszył seksualność, bo udawał, że jej nie posiada.

– Jeśli kleryk czy ksiądz uzna, że seksualność stoi mu na drodze do Boga, to może postanowić stłumić ją w sobie. To prowadzi do wielu problemów, ponieważ nie da się bez konsekwencji stłumić sfery popędowej. Udawanie, że się nie ma seksualności, nieakceptowanie jej grozi w przyszłości kompulsywnym seksem, takim byle gdzie i z byle kim.

Nawet z nieletnim?

– Nawet.

Czym jeszcze to grozi?

– Uzależnieniem od pornografii czy substancji psychoaktywnych bądź jednym i drugim. Lub przejściem w relacje z ludźmi, w których to relacjach problemy seksualne przejawiają się w nieseksualny sposób, na przykład jako dominacja, władza, rygorizm i upokarzanie. Takí duchowny manifestuje, że jest lepszym księdzem, niż jest naprawdę, walczy u innych ze słabością seksualną i w ten sposób udowadnia sobie, że jest wrogiem tego, z czym sam sobie nie radzi. Zgadza się na przygodny seks, nie wiąże się z nikim, czyli pozostaje w relacji asymetrycznej, bo czuje się pasterzem, przewodnikiem, ojcem i nie chce z tej roli wychodzić. Więc klerycy, jeśli nie wiedzą, to muszą się dowiedzieć, że są istotami seksualnymi i nimi pozostaną.

Ktoś im o tym przypomina?

– Nie sądzę, bo tu nie chodzi o przekazanie suchych informacji o ludzkiej seksualności, tylko o umiejętność rozmowy o intymnych i problematycznych kwestiach.

Ksiądz czy biskup, który z ambony wyzywa ludzi z powodu ich orientacji seksualnej i wyborów życiowych, może być zaburzony, bo tłumí swoją seksualność?

– Jeśli na coś zbyt mocno i agresywnie zwracamy uwagę, jest to sygnał, że sami sobie z tym nie radzimy.

Skoro ksiądz nie może tłumić seksualności, to co ma z nią zrobić?

– Zrozumieć, że jest częścią jego osoby i wyrzeka się jej ze względu na inne dobro. A mogą się wyrzec tylko tego, co posiadam. I jeszcze jedno. Celibat nie wyklucza przyjaźni. Dla rozwoju księdza wręcz jest wskazane, aby przyjaźnił się z kimś spoza własnego środowiska. Ale księża obawiają się takich przyjaźni – że przyjażniąc się z kobietą, zostaną posądzeni o związek heteroseksualny, a przyjażniąc się z mężczyzną, będą posądżani o homoseksualizm.

Księża rzadko szukają pomocy, bo się boją, że zgorszą terapeutę albo podkopią wiarygodność Kościoła

Po co księdzu przyjaźń ze świeckim?

– Żeby się nauczył być w partnerskiej relacji, a nie obnosił ze swoim kapłaństwem, traktując innych z góry.

Co może zrobić ksiądz, którego rozpiera energia seksualna i sobie z tym nie radzi?

– Jeśli nie akceptuje celibatu lub nie rozumie jego dynamiki, to albo go złamie, krzywdząc innych, albo popadnie w depresję, próbując „pokonać siebie”. Może oczywiście pójść do terapeuty, ale to już oznacza dużą samoświadomość. Księża rzadko szukają pomocy u specjalisty, bo się boją, że albo zgorszą świeckiego terapeuty, albo podkopią wiarygodność Kościoła. Inny powód to obawa, że im to zaszkodzi, kiedy dowie się biskup lub przełożony zakonny. Że coś im się przez to odbierze albo nie powierzy, bo „mają problemy ze sobą”. Jeszcze gorzej jest w seminariach. Przełożeni wiedzą, że kleryk wychodzi do psychologa. Im dłużej będzie wychodził, tym większe ryzyko, że nie dopuszczą go do święceń. Nie doceniają, że kleryk chce w sobie rozwiązać problem i być przez to silniejszy.

Tyle się mówi o ekscesach seksualnych księży, a o zakonnicach cicho. Nie mają takich historii?

– Mają, tylko nie są na świeczniku, i tam jeszcze ściślej działają mechanizmy instytucjonalnego wyparcia, jeśli są na przykład wykorzystywane przez duchownych.

Zakonnice nie ślubują celibatu?

– Ślubują czystość zakonną, a to od strony prawa kościelnego oznacza te same zobowiązania i ograniczenia, tylko jeszcze bardziej radykalnie przeżywane.

Są badania, które pokazywałyby, jaki procent polskiego duchowieństwa przestrzega celibatu?

– Robił je profesor Józef Baniak. Wyszło mu, że większość księży w taki czy inny sposób łamie celibat. Zarzucono mu błędy metodologiczne. Ale uważam, że to badania, których nie można zlekceważyć pomimo swoich ograniczeń. Nie znam innych przeprowadzonych w takiej skali. Badania nad celibatem robią diecezje i zakony. Nie są upubliczniane, zostają w archiwach

na potrzeby własne diecezji i zakonów. Być może zebrał je Episkopat.

Może badania pokazują, że celibat to fikcja, i dlatego nie są upubliczniane.

– To nie fikcja, ale rzeczywistość nie wygląda różowo. Poza tym coraz większa liczba duchownych kontestuje obowiązkowy celibat. A to, czemu nie da się zaprzeczyć, to przesunięcie wieku odejść z kapłaństwa. Kiedyś odchodzili księża po blisko dziesięciu latach od święceń, teraz odchodzą tuż po święceniach – rok, dwa, trzy. Być może cieplarniane warunki w seminarium powodują, że przejście do parafii jest dla nich zbyt dużym szokiem, puszczeniem na głębokie wody, albo przyszli do seminarium niedojrzali i tacy z niego wyszli.

Księża, którzy odchodzą zaraz po święceniach, może robią tak dlatego, że dopiero po wyjściu z seminarium odkryli i zrozumieli swoją seksualność.

– Z badań wiemy, że tutaj ma znaczenie więcej niż jedna motywacja. Najczęściej to: zakochanie się/pragnienie założenia rodziny; obiekcje w stosunku do celibatu; konflikty z przełożonymi; zmaganie się z poważnymi problemami o podłożu duchowym bądź psychicznym. Z badań profesora Baniaka wynika, że młodzi księża w Polsce za główną motywację do odejścia wskazują trudności z celibatem i chęć założenia rodziny. Z kolei księża starsi wskazują na kryzysy wiary i pobożności własnej.

Co rusz wychodzą na jaw historie księży, którzy od lat mieli rodziny lub bogate życie seksualne. Wiedzieli o tym świeccy, inni księża. A biskupi nie wiedzieli czy udawali, że nie wiedzą?

– Z tego, co obserwuję, to najczęściej biskupi wybaczą jednorazowy skok w bok – krótki romans, zauroczenie. Pozwalają takiemu księdzu nadal pracować w duszpasterstwie pod warunkiem, że zerwie relację i poważnie zacznie nad sobą pracować. Ale już nie jest tak łatwo, kiedy wychodzi na jaw, że ksiądz ma partnerkę i spłodził z nią dzieci. Kiedyś miał do wyboru – odchodzi z kapłaństwa lub zostaje i zrywa kontakty z partnerką, płaci tylko alimenty. Zaostriżył to Benedykt XVI. Dał wytyczne, wedle których ksiądz, który ma dzieci, powinien odejść z kapłaństwa i zająć się rodziną. Podobnie myśli papież Franciszek.

Zniesienie celibatu to kwestia czasu?

– Myślę, że nie będzie obowiązkowy, zostanie dla chętnych. Być może będzie tak jak u prawosławnych, że kandydaci muszą się zdecydować przed święczeniami – na życie w celibacie albo w małżeństwie. Możliwe, że będą święceni żonaci mężczyźni, tzw. viri probati (wypróbowani mężowie). We Francji biskupi już proszą byłych księży o pomoc w duszpasterstwie, zaś ci chętnie wróciliby przed ołtarz „na pełny etat”, ale ze swoimi rodzinami. Zmiany wymuszą nie tylko skandale seksualne, ale również pustki w seminariach. Celibat to nie dogmat. Papież może go zmienić i z tego powodu Kościół się nie zawali. ●



FOT. ŁUKASZ CYNALIEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Ks. Jacek Prusak

ur. w 1971 r., jezuita, teolog, psychoterapeuta, publicysta, doktor psychologii. Kierownik Katedry Psychopatologii i Psychoprofilaktyki w Instytucie Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie, członek Komisji Bioetycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

TRZY KOBIEТЫ JPII

**Jan Paweł II do końca swoich dni karał swoje ciało.
Słuchać było odgłos uderzeń, gdy się biczował**

I Zachowanie rzecznika, a zarazem twar-
rzy kurii białostockiej wobec kobiety
opisane przez „Gazetę Wyborczą” jest
symptomatyczne. To nie przypadek,
że w głowie księdza Andrzeja Dębskie-
go dostąpienie przez kobietę zaszczy-
tu znalezienia się „w gabinecie me-
tropolity białostockiego” wiąże się nie
z tym, że zostanie przyjęta jak partner,
ale że zostanie przywołana jako przed-
miot gwałtu.

Skąd taki Dębski ma wiedzieć, jak
rozmawiać z kobietami, skoro od de-
kad seminaria przyuczają kandyda-
tów do kapłaństwa, by zamiast wsłu-
chać się w ich potrzeby, mówili im, jak
mają żyć.

– Wy jesteście, drogie siostry, mat-
kami, żonami – jesteście także córka-
mi; jesteście narzeczonymi; jesteście
siostrami. Waszym życiowym powoła-
niem jest dawać ludziom życie: nowym
ludziom dawać życie – tak mówił Karol
Wojtyła 12 września 1976 roku w Kal-
warii Zebrzydowskiej. Dwa lata przed
objęciem absolutnej władzy w Kościele.
Jak zauważyła przytomnie Justyna
Melanowska, Wojtyła nie miał do po-
wiedzenia o kobiecie nic nad to, że ist-
nieje ona zawsze i tylko jako matka.

JESTEM W KOŚCIELE, BY GO ZMIENIĆ

21 maja, w wieku 85 lat, zmarła Rose-
mary Radford Ruether, jedna z najwy-
bitniejszych katolickich teologek fe-
ministycznych. Zostawiła po sobie
36 książek i setki artykułów, które ra-
dykalnie zmieniły spojrzenie na teolo-
gię katolicką, a zwłaszcza na miejsce
kobiet w Kościele. Dwie najgłośniejsze
to „Sexism and God-Talk” o seksizmie
w teologii katolickiej i „Gaia and God”
– jedna z pierwszych poświęconych
ekoteologii. Obie zupełnie przemilcza-
ne nad Wisłą, gdzie teologia ogranicza
się do zachwytów nad dokonaniem Ja-
na Pawła II i Benedykta XVI, produkuj-
jąc teksty, których nikt już nie czyta.

Na Zachodzie książki Ruether na-
leżą do obowiązkowej lektury na wy-
działach teologii. Przyznano jej kilka-
naście doktoratów honorowych. Jed-
nak znacznie ważniejszy jest jej wpływ
jako wykładowczyni na tysiące studen-
tów i studentek, setki naukowców i na-
ukowczyń, też katolickich. Gdy na po-
czątku swojej drogi akademickiej, w la-
tach 60., opublikowała artykuł „Dlaczego
katolicka matka wierzy w regula-
cję urodzeń”, została wyrzucona z pra-
cy, ze szkoły katolickiej. Wtedy przyjęła
zasadę, którą polecała też innym: „Jeśli
chcesz zachować wolność, nie pracuj
dla katolickiej instytucji”. W istocie do
końca zachowała nie tylko wolność, ale
i bezkompromisowość. Opowiadała się
za zniesieniem celibatu, kapłaństwem
kobiet, domagała się większej roli dla

kobiet w procesach decyzyjnych w Ko-
ściele. Swoje poglądy opierała na solid-
nych studiach źródeł chrześcijańskich.

Ruether często pytano, dlaczego po-
została katoliczką, skoro tak wiele fe-
ministek zażenowanych postawą hie-
rarchów opuściło tę wspólnotę. Odpo-
wiadala: „Mogę wymyślić tylko jeden
powód, aby pozostać w Kościele kato-
lickim: by spróbować go zmienić”.

W tekście napisanym po jej śmierci
(27 maja) „The New York Times” wiesz-
czy, że za jakiś czas dziedzictwo Ru-
ether będzie stawiane w jednym rzę-
dzie z dziełami Augustyna i Tomasza
z Akwinu. Jan Paweł II zrobił wiele, by
stłumić takie głosy jak ten Rosemary
Radford Ruether.

ZMIESZANY I POCHMURNY

Wojtyła bał się bowiem kobiet odważ-
nych, które pozwalały sobie mieć inne
zdanie na temat ich roli w świecie oraz
Kościele niż jego ciasny horyzont, wy-
kuty przez trzy opresyjne systemy: do-
świadczenia faszyzmu, komunizmu,
wreszcie socjalizację katolicką.

Widać było, jak stracił rezon i pew-
ność siebie, kiedy w październiku

tyła, pomimo politycznego talentu, był
mężczyzną swoich czasów, a równość
kobiet była zjawiskiem, którego po pro-
stu nie rozumiał. No, chyba że nie sta-
wiały żadnych wymagań.

Warto się zastanowić przy tej oka-
zji, jakie kobiety ukształtowały myśl
i antropologię Wojtyły, który z bezprzy-
kładną zawziętością zwalczał wszelkie
przejawy niezależnego myślenia w Ko-
ściele.

CUDA I PIENIĄDZE MATKI TERESY

Chyba najbardziej znaną w świecie ko-
bietą, z którą wiązała go specyficzna
więź, była święta Matka Teresa z Kal-
kuty. Byli sobie bliscy. Oboje się bicz-
wali, obsesyjnie zwalczali aborcję, ni-
gdy też nie pozwolili sobie na krytycz-
ne refleksje na temat swojego Kościoła.
Ta prosta, ale też surowa i grubiań-
ska kobieta pasowała do jego wizji po-
słusznej, sterylnej seksualnie kobie-
ty, ślepo posłusznej przełożonym. Pod-
czas mszy beatyfikacyjnej Jan Paweł II
porównał ją do „ikony Dobrego Sama-
rytanina”. Ale z tą beatyfikacją, na dłu-
go jeszcze, zanim poznaliśmy ciemną
stronę Teresy, było coś nie tak. Zgod-

*Zachował się list Matki Teresy, wywodziła,
że jakkolwiek udostępnianie dziecku pornografii
i wspólne prysznice z chłopcem były „wysoco nieroztropne”,
to nie widzi przeszkód, by praca zakonna McGuire’a
była kontynuowana*

1979 roku, podczas pielgrzymki do Sta-
nów Zjednoczonych, przyjmowany do-
tąd niemal jak gwiazda popu, usłyszał
od dumnej amerykańskiej zakonnicy
Theresy Kane, przewodniczącej Kon-
ferencji Zakonów Żeńskich, prośbę
o otwarcie wszystkich posług Kościoła
dla kobiet, bo Kościół to wspólnota
równych ludzi. Zabrzmiało to zuchwa-
le, gdyż poprzedniego dnia papież po-
wodził swój sprzeciw wobec wyświę-
cania kobiet. Przyzywczajony do roz-
mówców, którzy mieli dla niego słu-
żące pochwały, dary i wiechy kwia-
tów, spochmurniał. Nie miał Kane nic
do powiedzenia.

Był też zmieszany podczas wizyty
w Irlandii. Zaczęło się od tego, że za-
pytał męża pani prezydent Mary McAlee-
se: „Nie wolałbyś być prezydentem Ir-
landii, niż poślubić prezydenta?”. Kiedy
prezydentka zażądała przeprosin, tłum-
aczył się jak dzieciak, zrzucając to na
karb słabej znajomości angielskiego.
Nam McAleese wyjaśniała to tak: Woj-

nie z kościelnym prawem błogosławio-
nym może zostać osoba, za sprawą któ-
rej miał miejsce cud. Żywym dowodem
wstawiennictwa Teresy w uzdrowieniu
miała być Monica Besra, która twier-
dziła, że w 1998 roku, po modlitwie do
Matki Teresy, w niedający się wytłuma-
czyć sposób pozbyła się pokaźnego gu-
za żołądka. Po miesiącach debat Rzym
uznał, że to cud.

Mustafi, lekarz, który leczył Besrę,
nie miał wątpliwości, że to żaden cud
– chorej pomogły leki. Był zdumiony,
że zespół watykańskich badaczy te-
go „nadprzyrodzonego zjawiska”, któ-
ry udał się do Indii, nigdy się z nim
nie skontaktował.

Głos w sprawie zabrał Christopher
Hitchens. Ten chyba najbardziej zna-
ny krytyk przyszłej świętej nazwał Mat-
kę Teresę „fanatyczką, fundamentalist-
ką i oszustką”, argumentując, że „tyl-
ko przybędzie biednych i chorych, je-
śli jej przykład będzie naśladowa-

ny”. Pytał, co Teresa zrobiła z pieniędz-
mi, które otrzymała od możnych te-
go świata.

Ale dla Kościoła Matka Teresa była
maskotką, której wizerunek doskona-
le się sprzedawał. Też była jak gwiazda
popu. W nastawionym na konsumpcję
społeczeństwie zachodnioeuropej-
skim, w USA, była awangardą, radykal-
ną apostołką miłości.

Jak zaczęła się ta błyskotliwa ka-
riera? Podobno dzięki BBC. Kiedy na
przełomie 1967 i 1968 roku dzienni-
karz Malcolm Muggeridge, przyby-
wający wówczas w Kalkucie, postano-
wił nagrać o niej film, Teresa była nie-
znana. Muggeridge chciał zrobić zdję-
cia w miejscu, gdzie przebywali umie-
rający. Było tam kiepskie światło i re-
alizator zaproponował, żeby kręcić na
nowoczesnych, czułych taśmach Ko-
daka. I wtedy Muggeridge oświadczył,
że to nie film Kodaka, ale „boskie świa-
tło”, którym emanowała Matka Teresa,
umożliwiło nakręcenie zdjęć. Mugge-
ridge doskonale znał opinię operatora,
ale włączył ten „cud” do swojego filmu.
Kariera Teresy odpaliła. Organizację,
której przewodziła, zalały czeki.

Trzej uczeni z kanadyjskich uni-
wersytetów: Serge Larivée, Genevie-
ve Chénard i Carole Sénéchal, któ-
rzy wzięli na warsztat mit Matki Te-
resy z Kalkuty, ustalili, że tylko 5 proc.
wszystkich pieniędzy, które zebrała,
poszło na opiekę. Cała reszta została
przeznaczona na budowę domów dla
siostr misjonarek albo przejęta przez
Watykan. Matka Teresa dysponowała





majątkiem wynoszącym ponad 100 milionów dolarów. Wobec takiego bogactwa nic nie tłumaczy faktu, że misjonarki nie miały leków przeciwbólowych dla chorych albo jednorazowych strzykawek.

Z książki „Grzech pierworodny” z 2017 roku autorstwa zaprawionego w śledztwach dotyczących ciemnych stron Kościoła Gianluigiego Nuzziego wynika, że Teresa była największym klientem Banku Watykańskiego – oficjalnie znanego jako Instytut Dziel Religii. Nuzzi stawia tezę, że gdyby Teresa wycofała swoje środki z tej skompromitowanej instytucji, bank stałby się niewypłacalny.

Według profesora Larivée Matka Teresa uważała, że świat zyskuje na cierpieniu i że jest coś pięknego w cierpieniu ubogich, gdyż przypomina mękę Chrystusa. Podczas licznych powodzi w Indiach lub po eksplozji fabryki pestycydów w Bhopalu nie szczędziła modlitwy i medalików Matki Boskiej; zabrakło jednak z jej strony pomocy pieniężnej.

SEKTA BEZ DOTYKU

Blisko ćwierć wieku po śmierci Teresy, w 2021 roku, Michelle Goldberg ukazała na łamach „The New York Times” jeszcze inną perspektywę jej działalności. Przyrównała strukturę stworzonego przez Teresę zakonu do sekty. Inspiracją do tej analizy był między innymi podcast „The Turning: The Sisters

Who Left”. Jedna z byłych siostr, Mary Johnson, wspominała w podcaście o przemożnej kontroli zakonu nad jednostką. Wspominała, że siostry wychodziły na zewnątrz zawsze dwójkami. „Nigdy nie pozwolono nam po prostu wyjść i coś zrobić”. W zakonie panowała swego rodzaju sterylność – byłe siostry opowiadają, że jakkolwiek fizyczny kontakt lub przyjaźń były zakazane. Bliskich można było odwiedzać raz na dziesięć lat. Według Johnson Matka Teresa polecała zakonnicom, by dzieci, którymi się opiekują, dotykały tylko jeśli jest to niezbędne. Jednocześnie oczekiwano od siostr, że będą się regularnie biczować.

Była zakonnica misjonek miłosierdzia Colette Livermore nie otrzymała zgody na odwiedzenie w szpitalu umierającego brata. Pomimo zakazu chciała wrócić do domu, nie miała jednak pieniędzy na podróż. Ogolona na lyso nie miała nawet zwykłego, świeckiego ubrania. Czas w zakonie wspomina jako pranie mózgu.

Teresa była zafiksowana na ukrzyżowaniu Chrystusa. Był to dla niej swoisty katalizator świętości. Kiedy pierwszy raz wzięła do rąk sznur do biczowania, była przerażona, ale i podekscytowana, wyobrażając sobie, że podjęła wyzwanie pokonania egoizmu i stania się osobą świętą.

Australijska feministka Germaine Greer stwierdziła, że Teresa to „religijna imperialistka”, która żerowała na najsłabszych w imię zbierania dusz dla Jezusa. W ośrodkach prowadzonych

• **Jan Paweł II i Matka Teresa, Kalkuta, luty 1986** FOT.AP

przez Teresę dochodziło do chrztów wbrew woli umierających pacjentów. Według Susan Shields, byłej członkini misjonarek miłosierdzia, siostry miały zapytać każdą osobę zagrożoną śmiercią, czy chce „biletu do nieba”. Odpowiedź twierdząca miała oznaczać zgodę na chrzest. Tylko dla czego siostry udawały, że jedynie chłodzią głowę pacjentów moką szmatką? Chrzczono hindusów i muzułmanów.

W głośnym eseju „White Women in Racialized Spaces” historyk Vijay Prashad powiedział o Matce Teresie, że jest kwintesencją wizerunku białej kobiety w koloniach, pracującej nad ratowaniem ciemnych ciał przed własnymi pokusami i niepowodzeniami. Jak zauważył, międzynarodowe media zdominowane przez Euro-Amerykanów ciągle jeszcze utrzymują kolonialne przekonanie, że biali ludzie są szczególnie obdarzeni zdolnością do wywoływania zmian społecznych.

Jest jeszcze jedna historia o świętej z Kalkuty. Związki jezuity Donalda McGuire’a z Matką Teresą datuje się na rok 1981. Poznali się za sprawą innego wysoko postawionego jezuitę Johna Hardona, doradcy ówczesnego kardynała Ratzingera. Zauroczył ją jego konserwatyzm. McGuire został spowiednikiem i kierownikiem duchowym zakonu Matki Teresy. Ale w 2006 roku McGuire’a postawiono przed sądem, oskarżając o czyny pedofilskie sprzed trzech dekad. Został skazany na 25 lat więzienia. Jego przestępcza kariera

mogła zostać zatrzymana wcześniej, kiedy w 1993 roku oskarżono go o „niewłaściwe zachowanie wobec 16-letniego chłopca” i wysłano na leczenie psychiatryczne. Ale dostał wsparcie. Zachował się list Matki Teresy która wywodziła, że jakkolwiek udostępnianie dziecku pornografii i wspólne prysznice z chłopcem były „wysoko nieroztropne”, to nie widzi przeszkód, by jego praca zakonna była kontynuowana. Święta Matka wydaje się znacznie mniej zaniepokojona potrzebą ochrony dzieci przed pedofilskim duchowieństwem niż zachowaniem „czystości i reputacji” Kościoła i kapłaństwa. Odnajdujemy te same motywacje w argumentacji Jana Pawła II, który robił wszystko, by przestępstwa notorycznych pedofilów w sutannach nie ujrzały światła dziennego.

Znamienny jest passus zawarty w liście: „Ostrożnie musimy strzec czystości i reputacji kapłaństwa”. Jak oświadczył wiele lat później ówczesny prowincjał McGuire’ego, to właśnie ten list zdecydował, że pozwolili oskarżonemu wrócić do pracy. Ta „pomyłka” sporo jezuitów z prowincji chicagowskiej kosztowała. Musieli ofiarom wypłacić odszkodowanie w wysokości blisko 20 milionów dolarów.

FAUSTYNA, OBSESJA GRZECHU NIECZYSTOŚCI

Inną bliską papieżowi kobietą była Święta Faustyna. Gdyby nie jego wysiłki, być może mało kto by o niej dziś pamiętał.

Objawienia siostry Faustyny badała w latach 50. komisja polskich biskupów i nie uznała ich za nadprzyrodzone. No, ale Karol Wojtyła był zdeterminowany, żeby tę postać promować. Jeszcze jako biskup krakowski odwiedził klasztor w Łagiewnikach, interwiewował w Stolicy Apostolskiej, dowodząc, że dekret Świętego Oficjum zakazujący kultu Bożego Miłosierdzia nie powinien obowiązywać. Ale dopiero 30 czerwca 1978 roku Kongregacja Doktryny Wiary wydała notyfikację odwołującą zakaz szerszenia nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego.

Co takiego w Faustynie zobaczył Wojtyła?

Dla profesora Jerzego Stojnowskiego sprawa była jasna: Ta kobieta była dotknięta zaburzeniami psychicznymi. Najbardziej ewidentne ich objawy to omamy, halucynacje wzrokowe i słuchowe. Zwracał uwagę na jej poczucie wybraństwa i nadzwyczajnej misji. O tak: twierdziła, że przemawiał do niej sam Bóg, mało tego, była przekonana, że to właśnie ją wyznaczył do misji. Co to za misja? „Przygotujesz świat na ostateczne przyjście Moje”. Ale to nie wszystko. Faustyna twierdziła, że za jej sprawą cichnie burza. Potem było zaraz gorzej, jak w podręczniku psychiatrii. Bolesny upadek, istna sinusoida. Przychodził smutek. Faustyna odczuwała pustkę, „zaczyna się ściemniać w duszy mojej”, i beznadziej, „jestem przez Boga odrzucona”. Te momenty były naprawdę trudne. Tak je wspominała: „Zaczęły mnie ogarniać lęki prawdziwie śmiertelne (...), rozpacz”.

Kościół z opinią profesora Jerzego Stojnowskiego ma problem. Trudno odmówić mu kompetencji, nie sposób posądzić o walkę z Kościołem. Nie dość, że profesor medycyny, to jeszcze filozof. Szykanowany przez SB za działalność w AK, z Krakowa przeniósł się do Lublina. Ojciec dziewięciorga dzieci, przez wiele lat był profesorem w Wyższym Seminarium Duchownym w Lublinie, gdzie wykładał psychologię pastoralną.

W sprawie najbliższej Janowi Pawłowi II świętej Strojnowski był nieublagany, chłodny i precyzyjny. Pisał: można przypuszczać, że gdyby siostry Faustyny, jeszcze jako dziecko, nie uczono na lekcjach religii, że świętość polega na wyzbyciu się popędu seksualnego, nie uważałyby siebie za „tak bardzo sklonną do złego”, nie musiałyby „prowadzić nieustannej walki” i być może nie doświadczałyby patologicznych skrupułów.

Profesorowi wiele dały do myślenia jej obsesje związane z „grzechem nieczystości”. Wybijają się na pierwszy plan. Jej drogą do świętości ma być „sterylność seksualna”. „Ponad dziewiczość nie widzę nic wielkiego, jest to kwiat wyjęty z Serca Bożego”.

Z biografii Ewy Czackowskiej wiemy, że przyszła święta urodziła się w biedzie. Ukończywszy trzy klasy szkoły podstawowej, ciężko pracowała z rodzeństwem na gospodarstwie. W domu rządził bezwzględny i wymagający ojciec, który nie stronił od bicia. Wyśpie- wywał od świtu godzinki.

WANDA PÓŁTAWSKA, EKSPERTKA OD SEKSU

Wypowiadając się na temat encykliki „Humanae vitae”, stwierdzi- liśmy, że „Paweł VI, opowiadając się wówczas za głosem mniejszo- ści w Kościele, był pod wpływem Wojtyły, którego z kolei teorie sek- sualności wywodziły się z prako- nań jego przyjaciółki Wandy Pół- tawskiej. Jej wyobrażenia o sek- sualności powinny być rozpa- trywane w kategoriach patolo- gii, a nie propozycji etycznej czy edukacyjnej. To ona miała decy- dujący wpływ na Karola Wojtyłę i w konsekwencji na ograniczanie praw kobiet”.

Wielu z naszych znajomych do- magało się od nas szerszego omó- wienia tej skrótovej opinii, szcze- gólne kontrowersje budzi użyta przez nas kategoria patologii. Nie cofamy się ani o krok. Te mocne słowa należą się Półtawskiej. I nie krępuje nas gorset peanów na jej cześć, z odnaczeniem Orla Białe- go włącznie. Nie oślepia też jej bio- grafia odbijająca się blaskiem Ja- na Pawła II. To właśnie za sprawą encykliki o zasadach moralnych w dziedzinie przekazywania życia ludzkiego z 25 lipca 1968 roku mi- liony wiernych na zachód od Odry zatrasnęły za sobą na zawsze drzwi Kościoła. Nie mamy też wąt- pliwości, że to właśnie tego 25 lip- ca Kościół zdradził aggiornamen- to, a więc obietnicę uczynienia je- go nauczania ludzkim, co było ka- mieniem węgielnym Soboru Wa- tykańskiego II. Nauczanie Kościo- ła w tej encyklice zredukowało ro- lę kobiet do funkcji rozrodczych, stygmatyzując poczuciem winy seksualny wymiar życia ludzkie- go. Wymiaru tego nie można ba- gatelizować, skoro leży u podstaw piramidy Masłowa jako potrze- ba fundamentalna.

Żeby zrozumieć rolę Wandy Półtawskiej w tym nieszczęściu, trzeba sięgnąć do początków dłu- giej, trwającej do końca życia Ka- rola Wojtyły, jej przyjaźni z pa- pieżem. Bodaj najbardziej szcze- gółowym, choć pewnie dość su- biektywnym, zapisem relacji Wojtyły z Półtawską jest wydany w 2009 roku opasły tom „Beskidz- kie rekolekcje. Dzieje przyjaźni

księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich”. Podtytuł jest na wy- rost, gdyż mowa jest w tym tekście głównie o istotnie niezwykłym związku Półtawskiej z Wojtyłą.

Jan Paweł II w Wigilię 1978 ro- ku pisał do Półtawskiej: „Byłaś i nadal pozostajesz moim „eks- pertem” osobistym [podkreśle- nie KW] od dziedziny »Humanae Vitae«. Tak było od dwudziestu z górą lat, i to należy nadal utrzy- mać. W kontekst owego „eksperta” wchodzą różne sprawy, którymi de facto się zajmowałaś i na których się znasz, problem etycz- ny regulacji poczęć, wychowanie młodzieży do miłości, medycyna pastoralna. (...) Funkcja zaś mo- jego eksperta polegałaby na śle- dzeniu i referowaniu tego, co się dzieje w tej dziedzinie w świecie i w Polsce”.

W „Humanae vitae” wbrew opinii większości ekspertów, z któ- rymi papież się konsultował, Pa- weł VI w sposób zdecydowany od- rzucił jakąkolwiek sztuczną anty- koncepcję.

Kościoły opustoszały. Już 30 lipca 1968 roku „New York Ti- mes” opublikował apel podpisa- ny przez ponad 200 teologów pod znamiennym tytułem „Przeciw encyklice »Humanae vitae«”. Na- uczanie Pawła VI, który poddał się sugestii grupy krakowskiej, odrzu- ciły episkopaty Belgii i Niemiec. Protesty episkopatów rozlały się po całej Europie Zachodniej.

■
Wojtyła był przekonany, że ważne wydarzenia z jego życia mają związek z cierpieniem jego bliskich. I tak miał nie cierpieć podczas wojny, bo cierpiała za niego w obozie koncentracyjnym jego przyjaciółka Wanda Półtawska

Co połączyło papieża i Półta- wską? Wyjątkowa niechęć wobec cielesności, a zwłaszcza wszel- kich form seksualnych zachowań, których bezpośrednim celem nie byłaby prokreacja. To znamien- ne, że Jan Paweł II do końca swo- ich dni karał swoje ciało. Jak wy- jawiła włoskiej prasie siostra To- biana Sobótka: – Okazyjnie podda- wał się cielesnej pokucie. Słyszeli- śmy to; w Castel Gandolfo byliśmy w sąsiednim pokoju. Słysząc było odgłos uderzeń, gdy się biczował. Robił to, gdy jeszcze był w stanie sam się poruszać. Nie wiemy, czy zanim skierował swoje kroki ku kapłaństwu, poznał radość sek- sualnego wymiaru życia. Jest ta- ka anegdota o Wojtyle, że jako stu- dent polonistyki stronił od rozry- wek i życia towarzyskiego. Któ- regoś dnia na drzwiach jego po- koju w bursie studenckiej kole- dzy umieścili „wizytówkę”: „Karol Wojtyła – początkujący święty”.

Ich więź cementował też pe- wien mit. Wojtyła głosił teorię,

zgodnie z którą pewni ludzie do- świadczać dobra, ponieważ in- ni ludzie umożliwiają to dobro przez swoje cierpienie. Był prako- nany, co wyznał księdzu Adamo- wi Bonieckiemu, że ważne wyda- rzenia z jego życia mają związek z cierpieniem jego bliskich. I tak miał nie cierpieć podczas woj- ny, bo cierpiała za niego w obozie koncentracyjnym jego przyjaciół- ka Wanda Półtawska. To ciekawe, biorąc pod uwagę, że z Półtawską spotkali się po wojnie.

Doświadczała wreszcie tego sa- mego lęku. W jednym z wywia- dów Półtawska podkreślała ich niezgodę na współczesność oraz wspólną odczuwalną traumę: „Pro- szę pamiętać, że nasze pokolenie (jesteśmy niemal z tego samego roku) obserwowało na przestrze- ni lat degradację rodziny w świe- cie, a w Polsce w szczególności. Za naszego życia zaczęło się od zale- galizowania przez państwo roz- wodów (czego wcześniej nie było), następnie aborcji, później zezwo- lono na antykoncepcję, eutanazję, zapłodnienie in vitro”.

To porażające, co po dziś dzień opowiada Półtawska o kobie- tach, które wchodząc w relacje in- tymne przed małżeństwem, ma- ją „nieszczęśliwie” tkwić „w grze- chu śmiertelnym”. Kiedy stygma- tyzuje „dzieci nieślubne”, grmiąc, że związki przedmażeńskie to rozsądnik chorób wenerycznych. Czystość małżeńska to według Półtawskiej „najważniejszy okres w życiu”, a nieznane w jej mło- dości słowo „seks” zniszczyło ta- jemnicę, bo „nagość ma być da- rem dla jej męża, który ją zobaczy i zachwyci się”. Słysząc w niej go- rycz i niezrozumienie świata. Mó- wi Półtawska w trakcie jednego z wykładów: „Jest zbrutalizowanie świata. Poniżenie godności czło- wieka, godności kobiety, która się daje poniżyć, która wręcz domaga się tego poniżenia. Jest traktowa- na jak laleczka”.

Być może należałoby mówić nie tyle o patologii takiego myśle- nia, ile o skrajnym rygoryzmie. Jednak gdy taka postawa staje się ideologią potężnej instytucji o glo- balnym zasięgu, jaką z całą pew- nością jest rzymski katolicyzm, to łatwo zbliżyć się do rozwiązań sprzecznych ze zdrowym rozsąd- kiem. Nie chodzi przy tym tylko o problem teoretyczny, ale o prak- tyczne konsekwencje narzuca- nych przez autorytet papieża kon- cepcji seksualności, która jest cał- kowicie oderwana od codziennie- go doświadczenia większości lu- dzi, w tym również katolików.

Na koniec wróćmy do jesz- cze raz do Rosemary Radford Ru- ether. W swojej książce „Catholic Does Not Equal the Vatican: A Vi- sion for Progressive Catholicism” (Katolik nie równa się Watykanowi: wizja postępowego katolicyz- mu) obwiniała wprost papieża Ja- na Pawła II za kondycję współ- czesnego Kościoła. To on – pisze – zatrzymał postępowanie Soboru Wa- tykańskiego II w dziedzinie eku- menizmu, otwarcia się na na- ukę i sprawiedliwości społecznej. Ta książka to apel o Kościół wie- lokulturowy, wprawdzie omylny, ale wolny od seksizmu i demokra- tyczny. I oddany biednym i uciska- nym. ●

Katolicycy pokazują środkowy palec

Tak Ziobrę mógłby potraktować „Tygodnik Powszechny”. Ale „Gość Niedzielny”?

Magdalena Czyż

Solidarna Polska chce zebrać 100 tys. podpisów pod projektem ustawy „w obronie chrześcijan i ludzi wierzących”. Tak się składa, że jestem jednym z nich. I odpowiadam politykom tej partii: „Nie, dziękuję”.

To lead artykułu, który ukazał się w „Tygodni- ku Powszechnym”... A nie. W „Więzi”? W „Polityce”? Tak potraktował ugrupowanie Ziobry „Gość Nie- dzielny”.

A dalej jest tylko ciekawiej. Autor, Jarosław Duda- ła, z wykształcenia prawnik, rozprawia się z pomy- słem znowelizowania art. 195 kodeksu karnego chro- niącego wolność religijną.

Obecny mówi: „Kto złośliwie przeszkadza pu- blicznemu wykonywaniu aktu religijnego kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej, podlega grzywnie, karze ogranicze- nia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

Solidarna Polska chce wykreślić słowo „złośliwie”.

Natomiast art. 196 – „Kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawie- nia wolności do lat 2” – miałby po zmianach Ziobry brzmieć: „Kto publicznie łży lub wyszydza Kościół lub inny związek wyznaniowy o uregulowanej sytu- acji prawnej, jego dogmaty i obrzędy, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

Tej samej karze podlegałby ten, „kto publicznie znieważa przedmiot czci religijnej lub miejsce prze- znaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych”.

Do tego doszedłby art. 27a: „Nie popełnia prze- stępstwa, kto wyraża przekonanie, ocenę lub opinię związane z wyznawaną religią głoszoną przez ko- ściół lub inny związek wyznaniowy o uregulowanej sytuacji prawnej, jeżeli nie stanowi to czynu zabro- nionego przeciwko wolności sumienia i wyznania lub publicznego nawoływania do popełnienia prze- stępstwa lub pochwały jego popełnienia”.

Tłumacząc z prawniczego na polski: jeśli komuś przyjdzie do głowy powiesić na drzwiach kościo- ła buciki dziecka w proteście wobec bezkarności pe- dofilów w sutannach lub wieszak w proteście wobec barbarzyńskiego prawa zmuszającego kobietę do ry- zykowania własnego zdrowia i życia w ciąży i zosta- nie złapany – grozi mu dwuletnia odsiadka.

Jeśli natomiast abp Jędraszewski, ks. Oko albo ja- kkolwiek inny duchowny będzie miał ochotę zwy- zywać od najgorszych osoby LGBT i straszyć nimi wiernych, wygadując o nich wierutne bzdury, nie po- pełni przestępstwa.

Dudała odpowiada Ziobrze z buta: „Ma to być – jak mówią pomysłodawcy – prawo jaśniejsze. Cóż, ich propozycja nie brzmi dla mnie jaśniej (zwłaszcza projektowany art. 27a). Nie bardzo też wierzę, że by- łoby to prawo skuteczniejsze. Nie zauważyłem też, żeby Kościół katolicki czy inne wyznania jakoś inten- sywnie upominały się ostatnio o zmianę prawa słu- żącego ściganiu przestępstw motywowanych niena- wiścią do religii. Gdy mała partia próbuje zorganizować kampanię w obronie sporej w Polsce grupy osób wierzących (...) to trudno nie odnieść wrażenia, że próbuje bardziej pomóc samej sobie niż Kościołowi”.

Dlatego myślę, że jeśli „Gość Niedzielny”, tygodnik katolicki o największym nakładzie w kraju i mocno konserwatywnym przechyle, pokazuje środkowy pa- lec Ziobrze, to zlekceważyć tego nie można. ●



magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrze- ga sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pyta- nia w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imiel- ski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

STRA WYDAWÓW PRAŚY

ROZPOWSZECZANIE REDAKCYJNYCH
MATERIAŁÓW PUBLICYSTYCZNYCH
BEZ ZGODY WYDAWCY JEST ZABRONIONE.

1 RP

eprasa.pl 4ac462b0b5

Chcemy być jak oni?

Wyzerowanie Trybunału Konstytucyjnego i NBP to gorzej niż zbrodnia – to błąd.

Marcin Matczak*

Porządach prawicy opozycja wygrywa wybory i chce naprawiać państwo. Niestety, w sądzie konstytucyjnym ma sędziów powołanych przez wcześniejszy rząd, a ci konsekwentnie uznają ustawy naprawcze za niekonstytucyjne. Zwycięzcy są sfrustrowani. Chcą nagiąć prawo i usunąć przeszkodę w postaci sabotujących sędziów.

Czy to scenariusz, który zrealizuje się u nas po 2023 roku? Nie, to prawdziwa historia, która wydarzyła się w USA w latach 30. XX wieku. Gdy Roosevelt (demokrata) pokonał Hoovera (republikanina), w sądzie najwyższym zasiadało tzw. czterech jeźdźców: konserwatywnych sędziów, którzy uznawali za niezgodne z konstytucją ustawy naprawcze proponowane przez Roosevelta. Sfrustrowany Roosevelt zdecydował się zaatakować – ponieważ liczba sędziów w SN jest w USA regulowana ustawą, nie konstytucją, chciał ją zwiększyć z 9 do 16, wprowadzić swoich nominatów i uzyskać większość.

Mimo ogromnego poparcia politycznego napotkał opór – zamach na instytucję uznano za zło gorsze od sabotażu, którego się dopuszczała. Ostatecznie do napakowania sądu nie doszło, a czterej jeźdźcy odpuścili. A Roosevelt rządził przez 12 lat i legalnie powołał ośmiu kolejnych sędziów.

Ta historia pokazuje, że odpuszczenie nie zawsze oznacza przegraną. Nasza opozycja i jej zwolennicy zdają się tego nie rozumieć i wzywają do „wyzerowania” TK i NBP. To gorzej niż zbrodnia, chciałoby się powiedzieć – to błąd.

Myślę, że po siedmiu latach mojej krytyki PiS za niszczenie praworządności nie wątpię, że uważam większość ludzi powołanych do TK za obrazę dla jego autorytetu. To funkcjonariusze wysłani na front konstytucyjny. Nie bronię ich, bo nie ma kogo. Dbam jednak o los instytucji i stabilność prawa, bez którego nie mogą one funkcjonować.

W prawie nie ma zasady, że każdy błąd formalny popełniony przy wyborze pozwala wybraną osobę odwołać. Wprost przeciwnie – przepisy skrupulatnie regulują usunięcie z urzędu i robią to w sposób enumeratywny, co oznacza, że nie można sobie wymyślać innych powodów odwołania. I prezes NBP, i sędzia TK mogą stracić stanowisko w jasno określonych przypadkach (m.in. śmierć, długotrwała choroba, popełnienie przestępstwa). Nie ma przepisu, że dzieje się tak, gdy nowa władza uzna, że prezes albo sędzia jest idiotą, ma zły charakter albo że popełniono przy jego wyborze błąd formalny. I nie wystarczy wtedy zamówić opinii prawną, która to wszystko potwierdzi, i można go usuwać.

Kreowanie ad hoc podstaw, by kwestionować czyjś wybór, to ulubiona gra pisowskich niszczyteli praworządności. Ziobro w 2017 zakwestionował wybór trzech sędziów TK wybranych w czasach PO/PSL, bo Sejm głosował na nich na jednej kartce, a nie na trzech. Dubler Muszyński podnosił, że wybór sędzi Wronkowskiej w 2010 był wadliwy, bo po Smoleńsku ślubowanie od niej odebrał nie prezydent, lecz zastępujący go marszałek Sejmu. Dublerzy trafili do TK przez taki trik – Sejm „unieważnił” wybór wcześniej wybranych sędziów, bo rzekomo zostali wadliwie zgłoszeni (tylko przez posłów, a nie przez posłów i prezydium).

Te działania były idiotyczne prawnie i niszczyły państwo. A teraz opozycja zapowiada, że zrobi to samo – na podstawie opinii prawnej wykazującej błąd formalny w powołaniu podejmie sejmową uchwałę i uzna wybór za nieważny. Co wy robicie? Kręcicie w ten sposób stryczek na polską praworządność. Tworzycie precedensy, które się zemszczą na nas straszliwie. Myślicie, że będziecie rządzić wiecznie? Przecież w końcu ktoś was zastąpi i wtedy odwoła wszystkich: potraktuje niezależne instytucje jak spółki skarbu państwa, zamówi kilkaset opinii, dokona reasumpcji kilkuset głosowań i gotowe. Jeśli zrobicie to samo, co Ziobro, Kaczyński czy Muszyński, potwierdzicie, że nie o rządy prawa wam chodzi, ale o rządy ludzi, i że w gruncie rzeczy się od PiS-u nie różnicie.

Rozliczanie i usuwanie z urzędów to dwie różne sprawy. Skupcie się na sprawdzeniu, czy osoby powołane przez PiS nie złamały prawa – trzeba to zbadać i pokazać ludziom, jeśli do niego doszło. Niech trwają na stanowiskach w obliczu tych zarzu-

tów i niech suweren wywiera na nich presję, by ustąpili – nie politycy. Pozwólcie wszystkim zobaczyć, że nie są sędziami czy prezesami NBP, ale egoistami trzymającymi się stołków, którzy w nosie mają interes Polski i dlatego sabotują zmiany.

Zamiast usuwać Glapińskiego, pokażcie suwerenowi, na ile jego decyzje są odpowiedzialne za drożynę. Zamiast usuwać Przyłębską czy Pawłowicz, zbadajcie, czy i ile razy spotykały się z politykami i co na tych spotkaniach omawiano, a potem zbadajcie, czy zaszkodziło to zwyczajnym ludziom. Ujawnijcie, o czym pisał „Lucius Domitius” do premiera. Zamiast samemu oceniać to postępowanie i zawyrokować, pozwólcie zrobić to opinii publicznej. W demokracji prawo do drastycznych zmian daje cierpliwie budowane, ponadprzeciętne poparcie suwerena, nie opinia prawna.

I nie bójcie się tak bardzo sabotażu. Nominaci PiS to zazwyczaj ludzie o kręgosłupach z gumy. Gdy tylko zmieni się władza, i oni, jak kurki na kościele, zmieniają swoje preferencje – zwłaszcza gdy zobaczą upadek swoich dobroczyńców. Będą się przymilać do nowej władzy, cudownie odzyskają niezależność od myślenia Naczelnika.

W 2019 roku w Fundacji Batorego napisaliśmy grubą książkę o tym, jak zgodnie z prawem naprawić polskie państwo. Te pomysły nie są idealne, ale połączone z napiętnowaniem zła dokonanego przez ludzi PiS oraz rosnącą presją opinii publicznej na pisowskich funkcjonariuszy mogą mieć sens.

Gdy jednak prezentowaliśmy te pomysły opozycji, jeden z polityków powiedział: „To będzie zbyt długo trwało. Ludzie potrzebują zdecydowanych działań”.

Teraz tę zgubną potrzebę widać wyraźnie. „Żadnej grubej kreski po tych ośmiu latach!”, krzyczą, także ci, którzy grubą kreskę po ponad 40 latach PRL uznawali za dowód naszej mądrości.

Nie idźcie, proszę, tą szybką drogą, bo zemści się to na was szybciej, niż to sobie wyobrażacie. ●

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tadeusz Borowski*

Pieśń

*Nad nami noc. W obliczu gwiazd –
ogłuchłych od bitewnych krzyków
jakiż zwycięzców przyszły czas
i nas odpomni, niewolników?*

*Pustynię, step i morza twarz
mijamy, depcząc, grzmi karabin,
zwycięzców krzyk, helotów marsz
i głodny tłum cyrkowych zabaw.*

*Wołanie, śpiew, pariasów wiara,
łopoce wiatrem wrogi znak,
krojony talar, łokieć, miara
i chodzą ciągle szale wag.*

*Niepróżno stopa depcze kamień,
niepróżno tarcz dźwigamy, broń,
wznosimy czoło, prężne ramię
i ukrwawiamy w boju dłoni.*

*Niepróżno z piersi ciecze krew,
pobladle usta, skrzepłe twarze,
wołanie znów, pariasów śpiew
i kupiec towar będzie ważył.*

*Nad nami noc. Goreją gwiazdy,
dlawiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.*

*Tadeusz Borowski – 1922–51, poeta, prozaik, publicysta. Debiutował w czasie okupacji w 1942 r. (tom wierszy „Gdziekolwiek ziemia...”; to z niego pochodzi utwór „Pieśń”). W latach 1943–45 więzień obozów, m.in. w Auschwitz. W swoich opowiadaniach (zbiory „Pożegnanie z Marią” i „Kamienny świat”, 1948) pokazał mechanizmy deprawacji człowieka w hitlerowskim systemie obozowym. Po 1948 r. rzecznik realizmu socjalistycznego, zaangażowany w komunizm. Zmarł śmiercią samobójczą

Wiersz za: Tadeusz Borowski, „Poezja”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003 (tom I czterotomowego wydania „Pism” Borowskiego).

Kraków



bunkier sztuki

MICHAŁ STONAWSKI

To, co widzę, nie jest tym, co widzę

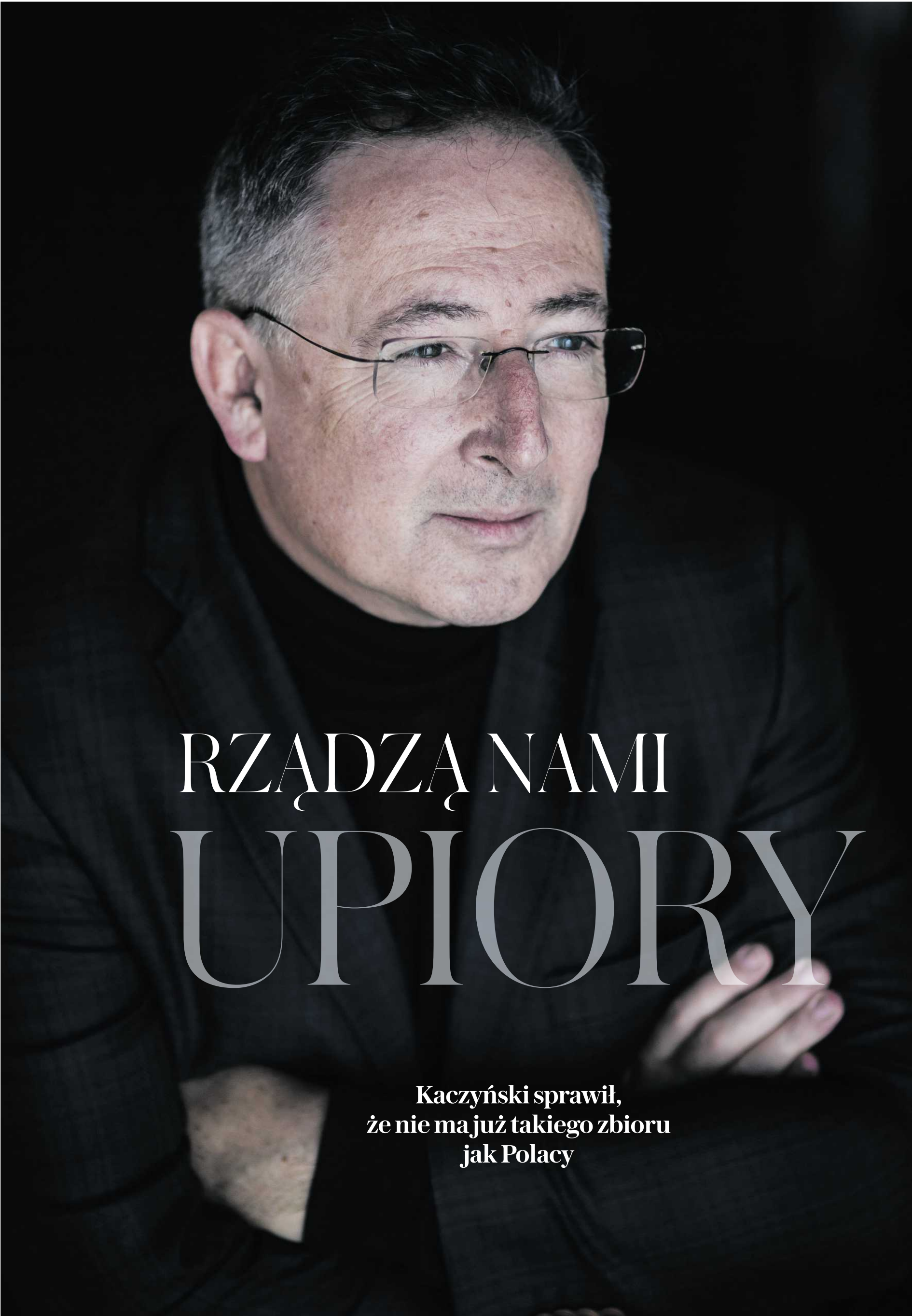
23.7–2.10.2022

Bunkier Sztuki
Galeria Sztuki Współczesnej
www.bunkier.art.pl Rynek Główny 20

Michał Stonawski, *Poczta*, 2020, olej / płótno, 40 × 41 × 26 cm, courtesy ZPSP Kraków, fot. R. Sosin



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



RZĄDZĄ NAMI
UPIORY

Kaczyński sprawił,
że nie ma już takiego zbioru
jak Polacy

Z **BARTŁOMIEJEM SIENKIEWICZEM***,
POSŁEM PO, ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

A jeśli wygracie i oni nie oddadzą władzy?

– Jeśli zostaniemy demokratycznie wybrani i będziemy legalną władzą, to trzeba walczyć.

Wywołacie wojnę domową, jak zapowiada Kaczyński?

– My? To Kaczyński ma wszystkie instrumenty w ręku. To on może przeprowadzić procedurę, która podważy wynik wyborów korzystny dla opozycji, albo udaremni objęcie władzy przez koalicję, która zdobędzie przewagę nad PiS.

I co wtedy?

– Scenariusz pt. armagedon. Na razie stąpamy po krawędzi między autorytaryzmem a demokracją i nie wiadomo, co się stanie w momencie krytycznym. Ja jestem po tej stronie, która zrobi wszystko, póki życia, żebyśmy z tej krawędzi nie spadli w otchłani.

A jeśli zwyczajnie przegracie?

– Oni przegrają. Grawitacja, proszę pani. Już zaczynają tracić w oczach własnych ludzi, nie są wiarygodni. Stracili słuch społeczny. To schylek.

Albo tak, albo nie.

– Jak emocje rozłożą się na końcu w głosach, to osobna historia. Fotografują się na stacjach Orlenu, ale ani słowa o morderczej cenie benzyny, nic o zdzierstwie na marży. Ich konwencje są jak ceremonie pogrzebowe, spęd starców, którzy mówią o Polsce, jakiej nie ma.

Spęd starców? Pan pisał o sobie, że jest jak dawno wymarły zwierzak.

– Ale to było z mojego felietonu, gdzie pisałem o tym, że na całym Zachodzie ten typ polityki, do jakiego przywykliśmy, jest niedostosowany do nowych czasów. Posłowie, parlamenty, tryb podejmowania decyzji – to z epoki, której już nie ma. Rewolucja internetowa zmieniła wszystko. Przychodzi agresja Rosji na Ukrainę i w ciągu tygodnia przez świat przetacza się tsunami, które Jacek Dukaj nazywa transmisją emocji. Przez obrazy, memy, pod wpływem powszechnego ludu międzypaństwowego rządu zmieniają politykę o 180 stopni, a globalne korporacje swoje strategie.

Wchodzi na scenę nowy podmiot polityczny, na co dzień ukryty. Państwa są coraz słabsze, systemy przedstawicielskie ułomne, politycy na dole rankingów zaufania. Ten nowy podmiot wymaga innej polityki, innego systemu przedstawicielskiego. System wymyślony w drugiej połowie XIX wieku i utrwalony po II wojnie jako istota systemu demokratycznego przestaje działać. Nadchodzi nowe.

KACZYŃSKI LIKWIDUJE POLSKOŚĆ

Co nadchodzi?

– Nie wiem. Może czas na eksperyment w europarlamencie? Na przykład zmiana systemu wyborów na taki, żeby posłowie drugiego garnituru politycznego w swoich krajach, którzy zwykle siedzą w ławach europarlamentu, byli np. tylko jedną trzecią PE, a reszta to niech będą przedstawicielstwa wielkich miast, które decydują o zmianie cywilizacyjnej, czy przedstawicielstwa organizacji społecznych działających kontynentalnie.

Rewolucja francuska zaczęła się od tego, że obywatele zebrali się w sali do gry w piłkę, ponieważ król rozwiązał Stany Generalne. Deputowani wstawili tam stolik i zaczęli toczyć obrady. Reszta to skutek zmiany systemu przedstawicielskiego, zmiany myślenia o tym, skąd pochodzi władza.

U nas też młodzi chcą zmian, ale dotyczy to m.in. partii, które dominują.

– Akurat Platforma się zmienia, ludzie młodszy ode mnie o 20, 30 lat coraz częściej są frontmanami. Jestem koordynatorem kongresów programowych, robię je z młodą ekipą. Ja im z obawą tłumaczę, co chcemy osiągnąć, a oni: dobra, od czego zaczynamy? W moim pokoleniu rozmowa by się skończyła burzą: to nie tak, to trzeba inaczej... Dla tych młodych liczy się konkret – to, co będzie za dzień czy tydzień, a nie idee na kiedyś tam. Są protopijni. Protopia to przeciwieństwo i dystopii, i utopii. To działanie.

Są fakty i są opowieści, jak przyznał Kaczyński. PiS zabiera wam opowieść o Polsce w sercu, o poli-

tyce społecznej, wielkich inwestycjach, odbudowie zamków itd. A wy jaką macie?

– Nikt mi nie zabierze miłości do Polski, żaden PiS. Ale zacznijmy od zdania, które ustawia całą resztę, od tej Polski w sercu. Kaczyński zlikwidował polskość.

Czyli co zlikwidował?

– Wspólny mianownik, w którym ludzie mogli się odnaleźć. Jesteśmy różni, wybieramy różne partie, ale wszyscy jesteśmy Polakami i musimy ze sobą żyć. Kaczyński sprawił, że nie ma już takiego zbioru jak Polacy. On to zniszczył, oskarżając obóz przeciwny, że są mordercami i zdrajcami, Niemcami i Rosjanami, jacyś gorsi, prawie karaluchy. Język jak przed Rwandą. Ale wykluczenie innych z polskości nie zapewni mu rządów na zawsze. Ma 30 procent ludzi, których zmienił w zombie, ale to za mało, żeby wygrać.

Zombie to ludzie nieżywi.

– Tak zmienieni przez propagandę pisowską, że nie są w stanie ocenić rzeczywistości i nie dopuszczają do siebie faktów. Przypomina mi się rozmowa z emerytką spod Jędrzejowa. Pytam, czy starcza jej do pierwszego, a ona: „W tym roku to nie bardzo”. Dlaczego? „Bo drożyzna”. Czy nadal będzie głosowała na PiS? „Tak, najwyżej będę mniej jadła”. Próba wytłumaczenia, że PiS jest temu winny, mija się z celem. Zombie to ludzie, którzy są produktami rozpętanej przez Kaczyńskiego wojny kulturowej. Atakują takich jak ja, że nie jestem Polakiem i nie mam prawa tutaj chodzić.

Że pan nie jest Polakiem, to wiadomo. Jakiś Sienkiewicz. O pochodzeniu tatarskim.

– No tak, wajdelotą polskich mitów był człowiek przezywany Cyganem, bo miał smagłą cerę, w naszej rodzinie co drugie pokolenie ma ciemniejszą skórę od poprzedniego. Henryk Sienkiewicz był z pochodzenia Tatarem. Jego dziadek czy pradziadek Michał został przyjęty do herbu na Sejmie Wielkim i miał w tym herbie strzały, luk i kotwice, którą dodawano zwykłe przechrztom. To była rodzina wojskowych służących Rzeczypospolitej od XVI wieku – normalni Tatarzy. Nacjonaliści się rozpisują nad arcy polskim Sienkiewiczem, ale ten mit polski to im wsadzili potomkowie Tatarów, nie Piastowie.

*Najciekawsze laboratoria
przyszłości to małe miasta.*

*Tam się tworzy aplikacje, które łączą
ludzi i biznes, aktywizm oparty
na nowoczesnych technologiach,
tam jest najlepsze rozumienie dobra
wspólnego*

UKRAINA GRA ROLĘ FANTOMU

A ta Polska pisowska taka sienkiewiczowska.

– Miłosz miał takie śliczne określenie: „Polska flakowo-sienkiewiczowska”, od flaczków.

Endecka. Anegdota głosi, że zarzucił mu pan kiedys: „Pan zwalczał mojego pradziadka!”.

– Siedział w restauracji przy sąsiednim stoliku z Jerzym Illgiem, który nas sobie przedstawił. Powiedziałem: „Witam nieprzyjaciela mojego pradziadka”, na co Miłosz się spłoszył, śmiał się, ale nie wiedział, czy to wyrzut, czy nie.

Potem powiedział, że pana też zwalcza. Bo w tekście „Pochwała minimalizmu” podważał pan ukraińską ideę Giedroycia.

– Wielki poeta, wielki człowiek. Jest mi przyjemnie, że uznał za stosowne polemikę ze mną, ale będę się upierał, że to ja miałem rację.

Miłosz rozumiał więcej niż wszyscy politycy razem wzięci.

– Od dzieciństwa jestem pozbawiony czci dla autorytetów, od razu mówię. Zresztą te spory są pokryte toną kurzu sprzed 20 lat. Ja się wtedy upierałem, że najważniejsza jest dla nas spójność Polski ze strukturami zachodnimi.

Ale Giedroyc nie stawiał sprzeczności między polityką proukraińską i proeuropejską.

– Absolutnie nie. Nie atakowałem Giedroycia, tylko narrację, że Zachód ma być drugorzędny, bo powinniśmy mieć szczególne stosunki z Ukrainą, a wtedy to była dość jednostronna miłość. Naszym interesem jest być w obozie, który nas obroni i gdzie mamy źródła wzrostu oraz system wartości, który powinniśmy kultywować. Problemem było to, że ci panowie myśleli, że dusza Polaka jest z natury endecka. Anima naturaliter endeciana est – powtarzał Miłosz.

A nie jest?

– Ale ja nie jestem endekiem. Długa jest lista intelektualistów prawicowych, którzy uderzali w endeczką nutę. W „Eseju o duszy polskiej” Ryszarda Legutki jest fragment, że Polacy za łatwo wyrzekli się Lwowa i Wilna, co dowodzi upadku ideowego. I Miłosz mnie wpisał w ten kąt!

Dobra, on był człowiekiem z innej epoki, podobnie jak Giedroyc, który – przy całej europejskości – zżył się na to, że odwracamy się od Ukrainy na rzecz związków z Unią. Tak było, ale równocześnie prowadziłyśmy pragmatyczną politykę przez 25 lat i byliśmy jej adwokatem, braliśmy udział w jej dwóch rewolucjach. Popsuło się w 2016 r., kiedy Jarosław Kaczyński powiedział prezydentowi Poroszence w twarz, że z banderowcami do Unii nie wejda. Ale moje środowisko od początku miało Ukrainę wpisaną w DNA polskiej polityki. Nie przyjmowałem zarzutów starszych panów wszędzie dopatrujących się endeckich zmór swojej młodości.

Czas pokazał, że strasząc endecją, mieli rację.

– Denerwuje mnie pani, ale może to dobrze wróży dyskusji. Istotą tego, co robił Giedroyc, był radykalny zwrot w polskiej wyobraźni historycznej – uznanie, że Ukraińcy, Białorusini, Litwini zasługują na niepodległość i powinniśmy im w tym pomóc. I jego przestroga na przyszłość: nic o nich z Rosją ponad ich głowami. W tym sensie ja jestem giedroyciowski do poziomu komórkowego. Polska w sprawie Ukrainy zachowała się wzorowo, jak rzadko w naszej historii. Ukraińcy trochę szans przespali. A im silniejsza Polska w Unii, tym dla Ukrainy też lepiej.

Ale teraz znowu pan marudzi na te idee.

– Bo jak bumerang wraca tęsknota, żeby Polska zbudowała poza Zachodem biegun siły i sprawczości. Ukraina gra tu rolę fantomu. Przecież Kaczyński chciał interwencji na Ukrainie poza strukturami NATO! Jego rząd jest antyzachodni – niezależnie od tego, jak bardzo antyrosyjską retorykę uprawia. A zrywanie i złe stosunki z Zachodem, do którego przynależymy, i równocześnie „mongolowie” z Rosji to dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo.

MOŻNA KŁAMAĆ DO WOLI

Jak dzisiaj realnie wygląda polska polityka wschodnia?

– Kaczyński musi teraz grać na innym fortepianie niż poprzednio. Obstawiał rozbijanie Unii Europejskiej i „rozsądny konserwatyzm” Putina, Orbána, Salviniego, Le Pen. To się układało w plan – że zrobą nową Europę, nie chcą Unii, jaka jest. A rozbicie Unii oznacza, że jej nie będzie. I ten antyzachodni plan realizowali nawet w momencie krytycznym, gdy w listopadzie 2021 Amerykanie ich ostrzegli, że może być wojna.

Kaczyński chciał stawiać mur na granicy z Ukrainą, a już od miesiąca wiedział, że Putin ją najeździe.

– Kiedy przyszła wojna, presja emocjonalna zmusiła go do gwałtownej zmiany strategii. Nie było mu to w smak, dlatego powstał pomysł, żeby Polska z innymi krajami natowskimi i nienatowskimi podjęła misję pokojową w Ukrainie, bez uzgodnienia z Ukrainą. A jak gra Orbán? Chce choćby kawałek ziemi, żeby ogłosić, że zaczyna likwidować dziedzictwo traktatu w Trianon. Np. Ruś Zakarpacką, gdzie żyją Węgrzy. Czy Kaczyński nie chciał brać udziału w tej grze? Może liczył, że Ukraina padnie lada moment i Orbán sobie zabezpieczy Zakarpacie, a on sobie zachodnią Ukrainę?

Wcześniej to wam Putin składał taką propozycję.

– O tak, Putin wprost proponował: weźcie sobie Lwów.

A wy nie chcieliście. Tacy z was Polacy.

– Nie chcieliśmy – bo jesteśmy giedroyciowscy. Na szczęście plan Kaczyńskiego antyunijnej międzynarodówki z pełną zgodą, że popiera ją Putin i finansuje niektórych jej uczestników – przestał istnieć

w ciągu paru tygodni. PiS-owcy zaczęli się miotać i pod wpływem Amerykanów zmienili politykę o 180 stopni. Dostarczają Ukrainie czołgi, armatohaubice, ciężki sprzęt, czyli robią to, co polski rząd powinien.

To już nie są tacy proputinowscy?

– Moim zdaniem są tacy sami. Najazd Rosji na Ukrainę chwilowo pokrzyżował im plany, bo się wysypało, że stali ramię w ramię z Putinem. Trzeba było to przykryć, więc uruchomiono kłamstwo, że to Tusk jest prorosyjski.

No i co z tym kłamstwem robicie?

– Nie da się nic zrobić, ponieważ ochrona wizerunku polityka w świetle orzecznictwa polskich sądów de facto nie istnieje. Można powiedzieć dowolne kłamstwo – i nic. A factchecking nie działa nigdzie na świecie, odkręcanie kłamstwa nie pomaga. Jedyną możliwością jest zmiana prawa – przepisy, które wykreślą granicę między świadomym kłamstwem a opinią. Ta granica w sensie prawnym właściwie nie istnieje.

Sędzia Włodzimierz Wróbel opowiada się za sankcjami za kłamstwo w przestrzeni publicznej.

– Właśnie. Przy czym jestem jak najdalej od tworzenia politykom komfortu, że nikt o nich złego słowa nie powie, bo pójdą do sądu. To nie może być obrona polityków, tylko przestrzeni publicznej. Bo co np. z Jackiem Kurskim i TVP, co z „paskowym”?

Ich kłamstwa bywają jak satyra, a satyry już nie da się obśmiać.

– Dlatego nie lubię sarkazmu, śmiania się z PiS, bo to w gruncie rzeczy ocieplanie. A to nie są zabawne misiaczki. PiS kopiuje Orbána, który nie tyle sprawuje władzę nad państwem, co nad przelewami z budżetu, a strumienie pieniędzy rozprowadza wśród swoich. Trzeba będzie ich rozliczyć. Żadnej zemsty, tylko twarde prawne rozliczenie. Coraz częściej ludzie mnie zaczepiają i mówią: „Jeśli nie rozliczycie ich za to, co zrobili Polsce, to was nie ma”.

Rozliczycie? Politycy to różne rzeczy gadają.

– Jeśli nie, to ja wychodzę z polityki.

Pan już wyszedł, ale wrócił.

– Zostałem trędowatym. Afera podsłuchowa w 2014 mnie zmieniła.

GDZIE KORUPCJA I KASA, TAM WPŁYWY ROSYJSKIE

Gdzie były służby, które pan nadzorował, kiedy pana podsłuchiwano?

– Ta sprawa mnie właściwie skończyła. Nie było ich.

Był pan ofiarą podsłuchów, ale był pan winien jako nadzorca służb.

– Tak. To nie do obrony.

I ta sprawa pana skończyła? Nie tylko politycznie?

– Nadal chodzę do ulubionej kawiarni, czytałem te same gazety, przysiadali się ludzie. Niby nic się nie zmieniło, ale zmieniło się wszystko. Wcześniej byłem dzieckiem szczęścia, dużo rzeczy mi wychodziło, a to była kłęska do dna.

I jak było na tym dniu?

– Proszę pani, idzie się ulicą, ludzie pluja pod nogi, krzyczą. Trzeba iść jak w masce, nie odpowiadać. Politycznie na parę lat zniknąłem.

Jaki udział w aferze podsłuchowej miały służby rosyjskie?

– Tu ogromną pracę śledczą wykonał dziennikarz Grzegorz Rzeczkowski. Odnalazł wielopiętrowe związki wykonawców i organizatorów tego procederu z ludźmi Rosji w Polsce. Tomasz Piątek też to wskazuje w swoich książkach.

Oni odnajdują te związki i dzisiaj – dotyczą Morawieckiego, Głapińskiego, Macierewicza...

– Macierewicz to osobna historia. A zwróciła pani uwagę na kampanię Mateusza Morawieckiego i mediów podległych rządowi, którzy rzucili się na Niemcy i Francję, jacy to oni są strasznie uzależnieni od Rosji? A my nie? Jeśli Rosjanie tak uzależniali Niemców biznesowo, to w Polsce tego nie robili?

No to o Lotos muszę zapytać.

– O Jezu, jakie nudne.

Pan był całe lata doradcą nie tylko od Wschodu, ale i na rynku paliw.

– Kiedy rządziła Platforma, węgierski MOL był dla Orlenu przeciwnikiem, podobnie jak rosyjski Lukoil. Z jednym i drugim Polska dała sobie radę, podobnie jak z próbą przejęcia części chemii ciężkiej, czyli Azotów Tarnów. Przetarg na Lotos miał tzw. żelazne warunki. Zgłosili się Rosjanie i inni, ale ich nie spełniali, a nawet gdyby Rosjanie je spełnili, to i tak by nie wygrali. Myśmy wytoczyli Rosji proces arbitrażowy w Sztokholmie, żeby Gazprom obniżył nam ceny gazu, bo Rosja w gazie i ropie próbowała zawładnąć całym regionem środkowoeuropejskim i niemieckim. Przez osiem lat rządów Platformy nie dostała od Polski nic.

A MOL nie ma innej ropy niż rosyjska, bo Orbán realizuje interesy Putina, sprzeciwia się embargu na rosyjskie paliwa. Lotos będzie wykorzystywał ropę saudyjskiego Aramco, które gra na rynkach globalnych ramię w ramię z Rosją, teraz podniosło ceny ropy, a nie zmniejszyło. Do tego MOL przejmie polskie stacje, a najgorsze jest oddanie MOL-owi także sprzedaży hurtowej paliw Lotosu – od węzła hurtowego liczy się opłacalność handlu na danym obszarze.

Po wybuchu wojny normalny polski rząd od razu wywróciłby stolik negocjacyjny w sprawie Lotosu.

Ale oni to ogłosili właśnie wtedy

Rosja na różnych polach, od UEFA po rynek ropy i gazu, usiłuje podskórnie uzależniać świat. I my teraz w to brniemy. Nie wierzę w głupotę PiS, moim zdaniem stoją za tym zobowiązania polityczne. Przypuszczam, że też wielkie łapówki, z którymi Rosja mogła mieć coś wspólnego. Tam, gdzie jest korupcja i kasa, tam są wpływy rosyjskie.

Jakie zobowiązania polityczne?

– Może wobec Orbána? Dowiemy się, kiedy będzie można sięgnąć po materiały źródłowe.

A jak to było z tymi Azotami, które Morawiecki za waszych rządów, w latach 2012-13, chciał sprzedać Rosjanom?

– Rosyjski oligarcha Waczesław Mosze Kantor, inwestor Azotów, wynajął dom maklerski banku Morawieckiego BZ WBK do reprezentowania jego interesów i przeprowadzenia operacji wrogiego przejęcia Azotów. Bank Morawieckiego załatwił mu też na to kredyt. Mówiąc wprost: bank kierowany przez Morawieckiego brał udział w próbie wrogiego przejęcia aktywów polskich przez Rosję, a Kantor to bliski współpracownik Putina. Rosjanie szukali wtedy możliwości zdominowania różnych rynków, najważniejsze to ropa i gaz, żywność i nawozy sztuczne, a bez nawozów ludzkość umrze z głodu. Celem Putina stały się więc nasze Azoty Tarnów, obsługiwane w tej transakcji przez bank Morawieckiego. Ale rząd PO to zablokował.

Dlaczego Morawiecki lobbował na rzecz Rosjan?

– To śmierdzi na kilometr. Niech pani Morawieckiego pyta. Jestem politykiem, nie mogę pani powiedzieć tego, co naprawdę myślał na ten temat.

Po to się z panem spotykam, żeby pan mówił, co naprawdę myśli.

– A da mi pani na adwokata? To wszystko wygląda na korupcję, na Rosjan i zdradę polskich interesów. A jak jest w rzeczywistości, będzie można się dowiedzieć, kiedy sprawdzi to nowa prokuratura, policja czy służby. Sprawa Lotosu musi być wyjaśniona do dna. Po wybuchu wojny normalny polski rząd od razu wywróciłby ten stolik negocjacyjny – przecież jeszcze nic nie zostało podpisane. Ale oni to ogłosili właśnie wtedy. To oznacza, że rząd Morawieckiego nie miał wyjścia.

Jakiś szantaż czy co?

– Czy to polityka, czy korupcja – nie potrafię odpowiedzieć. A przynajmniej nie mogę.

I tu wracamy do afery podsłuchowej, która wysiłkiem prokuratury i sądu została zamieciona pod dywan. Wtedy ukazał się rąbek tego podskórnego świata. Tyle że wygodniej było zrzucić winę na kozła ofiarne, czyli organizatora podsłuchów Marka Falentę, i zrobić hałas z powodu paru nierozsądnych, szokująco brzmiących zdań. Jednak jest zeznanie współpracownika Falenty, w którym Falenta się chwali, że za chwilę obali rząd. To było w aktach – ale ani prokuratura, ani sąd nie chcieli tego badać. Ze strachu? Z oportunizmu?

Przeciwny sprawdzeniu wątków rosyjskich był też pana człowiek, Jacek Gawryszewski, wtedy wiceszef ABW.

– Jeszcze ileś osób miało podobne stanowisko. Nie chcę rzucać oskarżeń, nie mając dowodów, zwłaszcza że kiedy zajmowałem się służbami, to Rosjanom przyczynialiśmy skrzydła.

Gawryszewskiego PiS zrobił ambasadorem w Chile. Inni, którzy mieli związek z podsłuchami, awansowali, jak agent Jarosław Wojtycki, który zajmował się Falentą.

– Wszyscy ludzie z wrocławskiego CBA, którzy opiekowali się Falentą i całym tym towarzystwem, stali się ważnymi ludźmi Kamińskiego i Wąsika albo dostali złote spa-dochrony.

Był moment, byłem jeszcze ministrem, że parę tych wątków zaczęło do siebie pasować – i wtedy pomyślałem: „Aha, to ja pod wpływem stresu zwariowałem”. Bo mam w koszyku wszystkie diabły, które nie powinny znaleźć się w nim razem.

Polskie służby, PiS i Rosjanie?

– Wątki zarówno polskie, jak i rosyjskie. Doszedłem do wniosku, że to niemożliwe.

Gdyby jednak założyć, że pan nie zwariował, co to znaczy dzisiaj dla Polski?

– Wiem, jakiej odpowiedzi pani oczekuje – i jej nie udzielię. W poczuciu odpowiedzialności za słowo.

Jakiej odpowiedzi oczekują?

– To oczywiste – że rząd PiS został tu umocowany w wyniku działań rosyjskich. Nie ma na to potwierdzeń procesowych, a koniec końców tylko one się liczą. Mam nadzieję, że kiedyś w Polsce ta historia będzie sprawdzona przez odważnych ludzi.

Ludzie już chyba zapominają.

– Nie mam złudzeń. Poza tym są sprawy, które po upływie czasu są nierozwiązywalne. Zło jest częścią naszego życia i może się dokonać także przez to, że się nic dalej w tej sprawie nie wydarzy.

Co się stało ze służbami, które miały być apolityczne, kiedy na początku wolnej Polski u boku Krzysztofa Kozłowskiego współtworzył pan UOP z legitymacją nr 3?

– W 1989 r. miałem 29 lat, moje wyobrażenie o państwie było skrajnie idealistyczne. Chcieliśmy tej Polski wymarzonej. Wyszliśmy z jakichś redakcji, malowania komi-nów, byliśmy studentami. Nie wiedzieliśmy o polityce nic. Odwaga młodych bierze się właśnie z niewiedzy, że jest zło. Tylko dlatego coś fajnego dzieje się w świecie, że nowa generacja działa tak, jakby nie było zła. To nieustająca wiosna.

Dzisiaj polskie służby są jak wydział partyjny PiS. Bezprawność Pegasusa jest oczywista. Za bezprawne podsłuchiwanie opozycji rząd PiS powinien upaść. A to jedna z dwustu pisowskich afer, ale, mówiąc dosadnie, większość ludzi ma to w d...

„MONGOŁOWIE” U NASZYCH BRAM

Nasz zwrot antyzachodni to również wpływ Rosji, mówią eksperci.

– Tak, szaleństwo Kaczyńskiego to jedno, drugie to operacje rosyjskie. Kiedyś zajmowałem się ekstremizmami. Od chwili znalezienia ofiar w internecie rekruter ISIS potrzebował tylko dziewięciu miesięcy, żeby ci ludzie dla nich walczyli. Już parę lat temu mówiłem, że mamy w Polsce „partię Rosja” wyhodowaną przez internet i ona się powiększa. Cały Zachód jest przeżarty Rosją – to rodzaj wojny. Według doktryny Gierasimowa wszystko jest wojną. Celem nie jest uzyskanie przez Rosję przewagi, tylko zniszczenie. Wolność, respektowanie prawa to zaprzeczenie Rosji. Stąd nienawiść do Ukraińców – są zdrajcami, bo pokazują, że w tym samym obszarze języka i kultury może powstać zupełnie inne społeczeństwo.

Mamy „mongolów” u bram. Barbarzyństwo i determinacja w zbrodni poza wyobrażeniami Zachodu. Moim zdaniem podłoże tego jest religijne – ubóstwienie władzy, która ma sakralną misję.

Rosja – naród bogonosiec.

– Pięknie to opisuje Oksana Zabużko. Jej zdaniem literatura rosyjska tylko przykrywa to, czym Rosja naprawdę jest. Kiedyś Jerofiejew powiedział, że Rosja jest baśnią – ale z baśni nie wyjeżdżają czołgi, nie wychodzą krasnoludy, które mordują dzieci. To nie baśń, to rzeczywistość wielkiego państwa z raketami nuklearnymi.

Ale jest też literatura Rosji lepszej, gnębionej.

– Tak. Achmatowa, Mandelsztam, Cwietajewa... Moja pierwsza przygoda z Rosją to rok 1980, byliśmy w środku rewolucji „Solidarności”, nabuzowani na komunistów i Sowietów, a ja przeczytałem reportaże Hanny Krall o Rosji i zobaczyłem nie złowrogie imperium, ale zwykłych ludzi złapanych w pułapkę. Zacząłem czytać Mandelsztama, akmeistów, potem Zinowiewa i innych szaleńców. Ale najlepszym dowodem, czym jest

Rosja, jest Brodski, który zapłacił za walkę z tym systemem, ale i tak splunął na Ukrainę, okazał się rosyjskim nacionalistą. To uwikłanie rosyjskie: mam prawo cierpieć z ręki swoich, bo bronię wartości, ale jeśli my, Rosjanie, czegoś chcemy i ktoś nam tego zabrania, to staje się wrogiem. Jak pisze Zabuzko, w Rosji przestępca jest kimś, komu należy się współczucie, a nie jego ofierze.

Putin przedstawia Rosję jako ofiarę, którą osacza agresywne NATO.
– Właśnie o tym mówię, o skłamaniu do dna. Z Rosją trzeba wygrać. Rosję trzeba upokorzyć. Nie ma ugody, którą można z Putinem zawrzeć. Po tamtej stronie jest zawsze kłamstwo. Mam nadzieję, że Rosja się rozpadnie. Ten proces, moim zdaniem, już się zaczął. Chińczycy też widzą, że Zachód odzyskuje przywództwo. Robimy afery, że Macron dzwoni do Putina – niech dzwoni nawet codziennie i niech codziennie wysyła baterie haubic Ceasar 155 mm.

Pisał pan 15 lat temu o Duginie, ojcu rosyjskiej geopolityki, i o planie Rosji: najpierw wywalić z Europy Wielką Brytanię i wojska amerykańskie, potem wchłonąć Ukrainę i Polskę.
– I gdyby wygrał Trump, to już byłby koniec, mord Ukrainy. Pisałem też w 2009 r., że Rosja prędzej czy później wywoła wojnę w Europie. Ale to opowieści z mchu i paproci, w życiu ludzie reagują dopiero, jak się już coś stanie.

Jeśli dojdzie do zaboru kawałka Ukrainy, to ruszy lawina?
– Nie będzie zaboru Ukrainy. Będzie potworne wyniszczenie, może utrata części wschodnich, nad Odessą wisi znak zapytania, a bez portu i Morza Czarnego Ukraina stanie się ekonomicznym kadłubkiem skazanym na zewnętrzną pomoc, jak Bośnia. Najlepszy scenariusz byłby taki, że Rosjanie przestają walczyć. Powtórka z roku 1917: koniec ofensywy Brusilowa, klęska wojsk, rewolta i wypowiedzenie posłuszeństwa władzy. Potem wojna przenosi się do Rosji, tworząc nową władzę, która musi obiecać, że wydostanie ich z bagna bez wysyłania żołnierzy na front. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia ogłoszono, że na ciężką chorobę zmarł Władimir Władimirowicz, wojsko wyprowadzone na ulice, flagi opuszczono, helikopterem przylatuje Nawalny, a zza jego pleców wychodzi Barsukow, szef FSB. To byłoby po rosyjsku, w ich stylu.

A najgorszy scenariusz?
– Zmęczenie Zachodu. Rosjanie biorą kawałek Ukrainy i obserwujemy proces gnilny, w którym Ukraina już nie ma siły istnieć, a Rosja przez pewien czas nie ma siły, żeby ją polknąć w całości. Jak safari w Serengeti: turyści patrzą, jak lwy pożerają antylopę po kawałku, i nie mogą ingerować. A bez silnej Ukrainy Polskę też czeka scenariusz fatalny.

GWIZDAŁEM NA PSY I ZNIKAŁEM W LESIE

Bartuś, co będzie z tą naszą Polską?
– Wszystko będzie dobrze – tak przynajmniej odpowiadałem babci, kiedy mnie tak pytała, od kiedy byłem dzieckiem aż do jej śmierci na początku lat 90. Zawsze jej mówiłem dobre rzeczy, nie zawsze czystą prawdę.

Ku pokrzepieniu serca?
– Wnuki potrafią oszukiwać babcie. Ale spełniło się. Po 1989 r. przez blisko 30 lat było dobrze, czego nie doceniamy.

Którą babcię tak pan wkręcał?
– Ze strony mamy, babcię Marię z Krakowa, mieszkała na Starym Mieście. Mój pradziadek Józef Korzeniowski miał sklep perfumeryjny na ul. Floriańskiej. Po południu brał utarg, wsiadał do kolei warszawsko-wiedeńskiej, jechał na operę, kolację i kobiety – żeby nad ranem wrócić do Krakowa,

stanąć rano umyty i ogolony za ladą sklepu. Był czarną owcą wśród mieszczaństwa krakowskiego, które skrzętnie ładowało pieniądze w różne obligacje czy skarpetki. Przyszł rok 1914, pradziadek zaliczył najtrudniejsze odcinki frontu austriacko-rosyjskiego, walczył w Dukli. Nie był legionistą, był normalnym żołnierzem austriackim, a potem został przewodniczącym Ogólnopolskiego Związku Weteranów Wojennych. Kiedy po wojnie wrócił do Krakowa, poszedł do Hawelki na Rynku i wygłosił przemówienie: „I co mi teraz, koledzy, powiecie? Ja przynajmniej żyłem, a gdzie są wasze CK obligacje, wasze papiery wartościowe? Mieście smutne życie pełne wyrzeczeń, a teraz jesteście tu, gdzie ja”.



• **Marzec 2014, przejście graniczne w Medyce, minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz podczas odprawy Straży Granicznej. Rosja właśnie podsyca niepokój w Donbasie, rząd PO-PSL szykuje się na przyjęcie ewentualnych uchodźców**
FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czerpie pan z tej nauki.
– Oczywiście. Mawiał: „Boże drogi, co ty zrobiłeś, ty się ubezpieczyłeś? Zwariowałaś? W tym kraju nie wolno się ubezpieczać. Tu zawsze przychodzi wojna, wchodzą ruscy, Kozacy albo Niemcy, i po wszystkim”.

Jeden pradziadek Henryk Sienkiewicz, a drugi Józef Korzeniowski, prawie Joseph Conrad.
– Ale nie mamy żadnych związków, prócz herbu. Moja rodzina Korzeniowskich na początku XIX wieku przybyła ze Wschodu, któryś z przodków porwał zakonnicę i ich ścigano. A pradziadek Józef zginął w Auschwitz, bo w jego sklepie były przybory do golenia i mydło, na które Niemcy mieli monopol. Wszedł patrol i tego samego dnia pradziadek znalazł się na Montelupich, a na drugi dzień w Auschwitz. Dużo palił, wymieniał chleb na papierosy i zawinął się w trzy miesiące. Jego syn, dziadek Jan, był socjalistą z krwi i kości, w dobrym PPS-owskim znaczeniu, człowiekiem ciężkiej pracy, twórcą pierwszej w Polsce szkoły dentystycznej. Strasznie lubię te opowieści o rodzinie ze strony mamy, są zupełnie innym światem niż ten Sienkiewiczów.

Przeciwwaga?
– Aha. Ja się wychowywałem w rozbitym małżeństwie, więc jestem gotów przegryźć aortę tym wszystkim fundamentalistom religijnym, prymitywnym biskupom i prawicowej halastrze, która dzieli polskie rodziny na normalne i te, którym się nie należy określienie „rodzina”. Mamy 2,5 miliona rodziców samotnie wychowujących dzieci, a pisowcy mają czelność mówić, że to nie rodziny! Tutaj już nie jestem politykiem, jestem gotów do rękoczynów.

Najpierw wychowywał się pan z mamą i tatą w tym pałacyku po Henryku Sienkiewicz?
– Do siódmego roku żyłem w Obłęgorku, potem przeprowadziliśmy się z mamą do babci do Krakowa i tam przeszedłem wszystkie szczeble edukacji cywilizacyjnej. W Obłęgorku miałem wolność, las, psy i zupełnie inny typ relacji międzyludzkich, w Krakowie – miasto i kolegów. Dzieciństwo i młodość przeżyłem na dwa takty.

Za szybko, wracamy. Ten pałacyk to muzeum. Gdzie tam mieszkaliście?
– Dziadek z cicią i babcią w latach 50. oddali pałac na muzeum, ratując go przed zniszczeniem, dlatego mieszkaliśmy w dawnej rządcówce, która była częścią folwarku obok pałacu, do tej pory moja rodzina tam mieszka. Ciotka była oborową w spółdzielni im. Henryka Sienkiewicza powołanej na naszych ziemiach, co dawało jej stałą pensję. Ale i tak było biednie, że trzeba było niekiedy pożyczać coś od sąsiadów, żeby była zupa.

Trudno uwierzyć.
– Myśmy żyli na marginesie świata, po reformie rolnej. Zostawiono nam kawałek ziemi jako ten dar narodowy, ale nikt nie miał

– Jakim pałacyku?

Co w tym złego, że nie chce pan o tym mówić? Przodków pan nie zmienia.
– Jak się jest potomkiem jednego z duchowych królów Polski, to od małego jest się na widelcu, ocenianym bez przerwy: a to ten, a jak się zachowuje...

A z tatą dlaczego tak się stało, jaki był?
– Zostawmy to. Ojciec był etnografem, wyjechał do Koszalina i pracował w muzeum regionalnym, po '89 został jego dyrektorem, a za PRL stworzył Skansen Kultury Jamneńskiej, to go fascynowało. Jakiś kontakt mieliśmy.

JAK INDIANIE WE WŁASNYM KRAJU

Głową rodziny Sienkiewiczów była babcia, Zuzanna z Cieleckich Sienkiewiczowa, bo dziadek zmarł dwa lata przed moimi rodzinami. Babcia była kustoszem pamięci po Henryku, była pierwszym kierownikiem muzeum pradiadka w Obłęgorku. Zarządzała archiwaliami, pamiątkami, centralna postać rodziny.

Fajna?
– Tak, chociaż miała zasady z głębin XIX wieku, powściągliwa w emocjach, surowa w ocenianiu młodego pokolenia. Jako dziecko uczony byłem zachowania przy stole w formule, jakiej już nikt nie przestrzega. Punktem odniesienia dla babci była nie I wojna światowa, w której zginęło dwóch jej braci, nie rewolucja bolszewicka, która wygoniła jej rodzinę z Podola, ani odzyskanie przez Polskę niepodległości, ani koszmar II wojny światowej – lecz powstanie styczniowe. Niezwykłe, bo jej córka, moja ciotka, która też mieszkała w Obłęgorku, była żołnierzem 4. pułku piechoty AK, pseudonim „Osa”, miała odznaczenia, a nie mówiła prawie nic. Dominowały opowieści babci, zesłania, takie rzeczy. Na przykład, że zesłańcy bardzo się odmrażali, gdy wracali. Przywykli do mrozów minus 30-40 stopni w suchym powietrzu syberyjskim, nasze minus 20 nie robiło na nich wrażenia, ale z powodu wilgoci odmrażali sobie policzki, nosy, ręce. Ojciec babci miał twarz oszpeconą odmrożeniami i ręce jak befsztyki.

Dlatego zajmował się pan potem zesłańcami?
– Pisałem pracę o filomatach na zesłaniu. Bo mamy proces filaretów w Wilnie, Nowosilcowa i zesłania, wiemy, że Mickiewicz włóczył się po Europie i koniec. A przecież te historie się toczyły. Zajmowałem się też stryjem Witkacego, Witkiewiczem, który był jednym z bohaterów III części „Dziadów”, a w rzeczywistości dostał karę śmierci za napis „Konstytucja 3 maja”, zamienioną na dożywocie w żołdatkach. Wydostał się z tego, został oficerem rosyjskim wykonującym tajne misje w Azji i skończył samobójstwem. Takie to fascynacje po babci.

A o pradziadku Henryku co pan wylapywał dla siebie?
– Strasznie przeżył, że go nie przyjęli do powstania styczniowego. Dzieci nam tu nie trzeba – miał usłyszeć. Przyjmowano od 16. roku życia. Miał 16, ale był mikrego wzrostu. Stąd w jego książkach opisy tężyzny mocarnych facetów. Jego polityczne wybory są nudne – na jakiś czas związał się z Narodową Demokracją jako taki „królduch”, miał swoje śmieszności, powoływał się na Słowackiego, ale czytał Mickiewicza. Zobaczyłem go w innym świetle, gdy odkryłem, że w Stanach Zjednoczonych przestraszył się, że będziemy jak Indianie. Że narody podbite czeka tylko genocyd, rzeźnia albo wchłonięcie. Stany, myślę, stworzyły go jako człowieka i pisarza, tam też zetknął się z popkulturą. „Trylogia” jest wzorowana na paperbackach, czytałach dla wszystkich, prawdopodobieństwo z faktami się nie liczyło. „Ogniem i mieczem”, którą najbardziej lubię, jest opowieścią zerznąłą z ame-

rykańskich powieściidel – jak to się stało, że staliśmy się „irokezami” znad Wisły, mówiąc słowami Fryderyka II, czyli Indianami we własnym kraju. Wstrząsająca diagnoza, z której się wziął ten jego drive ku pokrzepieniu serc, przywrócenia Polakom ich historii, skoro teraźniejszość była nie do zniesienia. Budowanie mitu dla Polski to było zadanie zrobione na zimno.

Musiało być nacjonalistyczne, kiedy państwo nie istnieje?

– Absolutnie. Ale unosi się nad nim cały czas pytanie – od Brzozowskiego, Gombrowicza, Miłosza, całego nurtu polskiej inteligencji raczej lewicowej, przeciwnej tradycji, którą sobie przyswoili endecy – o uwięzieniu w polskiej mitologii krępującej nas wszystkich. Ja nie uważam tej krytyki za chybioną, ale to jak z „Panem Tadeuszem” – gdy się to czyta w dorosłym życiu, widzi się szyderę, tak potworne obrazy w tej sielance, że włosy stają dęba. Podobny zabieg jest u Sienkiewicza.

Mój pradziadek mieszkał pewien czas u bogatych krewnych, bo rodziny nie było stać na utrzymanie tyłu dzieci. Znalazł u nich na strychu skrzynię z kalendarzami sarmackimi i, jak twierdziła ciotka, tam w gruncie rzeczy powstała „Trylogia”. Dziecko hodowane, żeby miało co jeść, przez dość nieprzyjemnych krewnych, pozabawione najbliższych, odkryło inny świat. Sarmacki język, sposób myślenia weszły w niego jak program komputerowy. A szyderstwo widać w sposobie przedstawiania pobożności ówczesnej czy typów, które się uważa za wielkie, a w gruncie rzeczy są potworami.

Ale Sienkiewicz przyczynił się do stworzenia mitu Polaka katolika, wszyscy inni są u niego podejrzani.

– Popkultura ma swoje prawa, uproszczenia, ale równocześnie w jego powieściach są zaszyte przerażające historie, np. podróż Kmicica na Jasną Górę to podróż przez piekło. Pamięta pani film „Diabeł” Żuławskiego?

Oniryczny obraz upadania kraju w czasach rozbiorów.

– Fragment w „Potopie”, kiedy Kmicic jedzie przez Polskę do Częstochowy, to – jak w „Diable” – obraz rozkładu społecznego i moralnego. Wstrząsający obraz tuż po tym, gdy Polska się rozeszła w ogóle. Donosicielstwo, służalczość, szalejąca podłość ludzka, zdrada dla pieniędzy.

Ciekawe, czy już wtedy istniał symetryzm.

– Być może. Bo to jest nora, w której można się schować, zakryć łapkami oczy i powiedzieć, że wszystko jest w porządku. To jakaś autoterapia, ucieczka, nie?

LITERACKIE SZYDERSTWA

Polska ma być sienkiewiczowska czy lepiej, żeby nie była?

– Jest sienkiewiczowska. Określiła nas mitologia stworzona w czasach niewoli. Zarzut, że Sienkiewicz zawładnął polską wyobraźnią, jest oskarżeniem o to, że był bardzo dobrym pisarzem. Ja np. zgrzytam zębami na „Lalkę”, nie rozumiem zachwyty. Sienkiewicz jest jednym z ojców naszej niepodległości, ale to tylko literatura i aż literatura. To my decydujemy, w jakim kraju chcemy żyć, zgodnie z jakimi wartościami. No ale jest w Polsce jakiś rodzaj autowampiryzmu, niedojrzałość – i może Sienkiewicz zostanie tylko jako „Potop” Hoffmana, wielki film. Może będzie memem, skrzydlatymi słowami. Ale jeśli zamknijemy Sienkiewicza w jedyny kanon, to jakbyśmy go skazali na śmierć.

Rozumie pan literaturę pradziadka inaczej niż pewnie większość Polaków?

– No tak, bo jak robieramy mity na części pierwsze, dowiadujemy się więcej. „Pan Tadeusz” też jest przerażającą wizją Polski. Postaci, które biorą udział w tej sielan-

ce, to warchoły, zacięci ludzie, dorobkiewiczowie, sprzedawczycy, kobiety lekkich obyczajów udające damy. Sienkiewicz stosuje podobny zabieg. Szyderstwo, dystans są tam stale obecne, a jednocześnie tworzy opowieść o walkach z dzikimi i że wszystko będzie dobrze.

W „Ogniem i mieczem” fajna jest ta Rzeczpospolita wielonarodowa – gdyby nie ci Kozacy.

– Jest dokładnie odwrotnie. To właśnie płytkie odczytanie, przeciwko któremu protestuję.

Bank Morawieckiego brał udział w próbie wrogiego przejęcia polskich Azotów przez Rosję

To co pradziadek pisał o Ukraińcach i „czarnej dżicy”?

– Język jest wykluczający, rasistowski. Wróg został nazwany, językiem pognebiony. Ale jedną z najciekawszych rzeczy w „Trylogii” jest dialog Skrzetuskiego z Chmielnickim. To jest wymienianie racji, toczy się na dwóch poziomach. Na jednym Skrzetuski wychodzi na odważnego, niezłomnego, bo ochrzania Chmielnickiego za to, że podniósł rękę na Rzeczpospolitą. I zwycięża, bo tamten upity pada, mimo że się wzburzył, już chwycił za nóż, ale go nie zabił, bo dzielny rycerz wytrzymał, patrząc mu w oczy.

Ale głębiej widzimy koronkową robotę o odwrotnym znaczeniu. Żaden argument Skrzetuskiego nie jest prawdziwy. Sienkiewicz wie, co się dalej stało. Beresteczko nie było końcem powstania Chmielnickiego. Mieliśmy już najazd szwedzki, kiedy ten dobry chrześcijański król Jan Kazimierz zawarł pakt z chanem tatarskim Girejem i oddał mu na rok czy dwa Ukrainę do wyrznięcia.

I do tego kpina Sienkiewicza z religii, np. w „Panu Wołodyjowskim”, w opowieści pana Muszalskiego: „po chrześcijańsku chciałem z nim postąpić, najpierw go schwycić, potem mu bizunem plecy zorać, a na końcu w łeb strzelić”. Takich fragmentów jest mnóstwo. Sienkiewicz pokazuje zbiorowisko ludzi prymitywnej wiary, jest jej prześmiewcą. Wszystko wskazuje na to, że był zwolennikiem religii tylko jako narzędzia politycznego dla przetrwania narodu, ale sam był chyba niewierzący.

Pan na Twitterze wymienia teologa Karla Bartha jako dla siebie ważnego. Skąd taka deklaracja?

– Mam fascynacje teologiczne. To nie na taką rozmowę.

Lubię tematy nie na taką rozmowę.

– To wybitny teolog protestancki, a jego najprostsza uwaga mówi, że żadna ręka nie powstrzymuje na tym świecie mordercy. Ży-

jemy w świecie, którego zło jest częścią immanentną. Próba jego unieważnienia, opowieści, że zło jest brakiem dobra albo częścią wielkiego planu bożego, są w gruncie rzeczy antychrześcijańskie. Barth stawia zarzut, że katolicyzm ucieka od transcendencji. Weźmy kult świętych albo przekonanie, że można u Boga coś wyprosić – to dla Bartha dowód, że katolicyzm opiera się na cudzie, a reszta jest dodatkiem. Mówi: jesteśmy tutaj sami, Bóg jest gdzie indziej. Ten świat nie jest ani dobry, ani zły, jedno i drugie się zdarza. A wiara jest aktem ufności mimo zła. Jest to też obecne w wielkich mistycznych tekstach Simone Weil.

Co to panu daje w życiu?

– Spokój, brak złudzeń. Pozbywam się za-bobonów. Od paru lat nie jestem członkiem Kościoła katolickiego. Kiedyś powiedziałem zaprzyjaźnionemu księdzu: „Wiesz, miałem do wyboru albo stracić wiarę z wami, albo ją zachować bez was, więc wybrałem to drugie”.

Myślałam, że chodzi o bunt Bartha przeciwko Hitlerowi.

– Jego wybory wtedy, heroiczne zresztą, to inna historia. W godzinie próby był tam, gdzie powinien. Ale zawsze oczekujemy, że człowiek będzie spójny, a ja lubię ludzi, którzy nie są spójni, więc to, że Barth jako pastor żył ze swoją sekretarką i równocześnie z żoną, raczej mnie do niego przekonuje, niż odrzuca. Nie jest fanatykiem, nie jest wymyślony, tylko skomplikowany jak my wszyscy.

CO SIĘ STAŁO Z NASZĄ KLASĄ

Upomina się pan o miesięczne szkolenia wojskowe dla wszystkich, ale jako ekolog i pacyfista z Ruchu Wolność i Pokój uciekał pan przed wojskiem.

– Jaki pacyfista? Myśmy tylko chcieli mieć młot na czerwonego. Były narady międzyresortowe, co z nami zrobić, bo wystrugaliśmy fajny paździor do klucia ich tyłka, skuteczny. Likwidacja przysięgi na wierność Związkowi Radzieckiemu i prawo odmowy służby ze względu na przekonania to były jedyne sprawy, w jakich PRL po stanie wojennym ustąpił opozycji. W Krakowie zaczęło się od: „Uwolnić Małęczuka!”. Potem Marka Adamkiewicza. Więc kiedy po mnie przyszła Żandarmeria Wojskowa, skłamałem, że jestem swoim kuzynem i on tu zaraz do nich wyjdzie. Czekali na dole kamienicy, a ja zostawiłem mamie kartkę, że uciekam, idę na materace, to znaczy zacząłem mieszkac po znajomych na Kazimierzu, w różnych komunach. Dwa lata.

Jak mama przeżywała takie rzeczy?

– Jest rewizja, 6 rano. Biegają esbecy po domu, mama niezadowolona, że jej ktoś do szaf zagląda. Była historykiem sztuki, konserwatorem zabytków, ratowała dwory w Małopolsce przed ruiną i miała udział w tym, że Kraków wpisano na światową listę UNESCO. Nagle patrzy na mnie i mówi: „Bartosz, jaki ty jesteś błądy, jeszcze sobie pomyślą, że się ich boisz”. I pach-pach mnie po twarzy, żebym rumieńców dostał.

Mama była twarda. Jak mówi najcudowniejsze zdanie w „Mistrzu i Małgorzacie”: „W ogóle niech mi będzie wolno poradzić pani, Małgorzato, niech się pani nigdy niczego nie boi. To rozsądne”. Nie można się bać. To strategia przetrwania, także dzisiaj.

WiP to była fajna szkoła. Przelamywałem schemat, że wszystko trzeba robić w konspiracji i śpiewać narodowe pieśni na mszach. Wyszliśmy na powierzchnię, działaliśmy z otwartą przyłbicą. Uprawialiśmy ruszting, wchodziło się na rusztowania domów, nazywam się tak i tak, jak mnie zdejmą, to zawiadomcie rodzinę, a jestem tutaj, żeby powiedzieć to i to. Ludzie z różnych porządków – tu marihuana, tu wódka, tu skóry, tu marynarki, Kraków, Warszawa, Gdańsk, miasteczka – potrafili się dogadywać. Może dlatego mam trochę zna-

jomych z lewicy i miałem też trochę znajomych w PiS.

Rokita, Radziwiłł, Czaputowicz...

– Radziwiłł, brr, nie chcę wspominać. Ale kiedy z „Czapą” się widziałem w telewizji, pogadałiśmy o starych czasach, bez dotykania tego, co teraz. Mnóstwo kolegów z tamtego czasu nadal lubię, chociaż się z nimi nie zgadzam, bo robią rzeczy brzydkie – oni to samo myślą o mnie. Rokita teraz wygląda jak prawosławny prorok i opowiada pi-sowskie kocopały w intelektualnym sosie. A ja go pamiętam jako człowieka, który nas uczył filozofii i polityki na najwyższym poziomie. Ale i ja, i inni starzejemy się brzydko. Mieliśmy wspólną historię, która jest ponad to.

Brzydko – w jakim sensie?

– Z wiekiem przychodzi jakiś odruchowy konserwyzm, lęk przed przyszłością. A najgorszy rodzaj starości to taki, kiedy rośnie liczba ludzi, których się nie lubi. Już lepiej się schować, niż liczyć kolejnych wrogów, którzy kiedyś nimi nie byli. Staram się pamiętać moich kolegów jako zdeterminowanych, młodych, odważnych ludzi w złych czasach. Niezależnie od tego, czy upadli tak jak ja, czy inaczej.

Byliśmy żołnierzami rewolucji „Solidarności” – NZS, stan wojenny, drukowanie, ściganie się z bezpieką. Skrzyknęliśmy się przy kawiarnianym stoliku: Kostek Miodowicz, Jan Maria Rokita, Maciek Hunia, Bogdan Klich, ja i wielu innych. Przyjaźń, konspira, gadanie o filozofii, kpiny z siebie nawzajem. A potem się okazało, że jest wśród nas trzech konstytucyjnych ministrów, trzech posłów, wieloletni szef wywiadu i kontrwywiadu. Rokita był postacią najsilniejszą intelektualnie.

Zdradził go pan dla Tuska.

– Ja zostałem tam, gdzie byłem, a on odszedł.

Z Tuskiem co pana połączyło, oprócz zamilowania do malowania kominów?

– Kominy to zastrzyk adrenaliny tak cudowny, że przyćmił nawet ściganie się z bezpieką. Zaczęło się od wspinaczki – koledzy wciągnęli mnie na drugim roku studiów. Ale tylko w Tatrach się wspinałem, raz tylko mi dali paszport, wyjechałem na Słowację. Wybitnym wspinaczem nie byłem, ale swoje zrobiłem i zimą, i latem. Potem całą paczką weszliśmy w malowanie kominów, romantyzm wielkiego przemysłu PRL znam z kominów. Prawie całe lata 80.

Życie robotnicze?

– Osiem lat w gnoju i znoju. Spalo się w hotelach robotniczych, często tygodnie tylko o bulce i śmietanie. Byłem brygadzystą roboty wysokościowych, nikt nie spadł na robotach, w których brałem udział. Człowiek wiesz się na liniach, na ławeczce, z wiadrem, pod spodem 120 m, waleczek – i się maluje, zjeżdżając w dół.

I co to za przyjemność?

– Że najpierw komin był brudny, a potem ślicznie wymalowany. I przyzwoite pieniądze. Za pierwsze wyremontowałem mieszkanie.

Przyzwoite pieniądze i adrenalina. Zaliczał pan mosty, poręcze, ale które i po co?

– Wyglupy szczeniackie, każdy jakieś ma. Ja miałem np. most Piłsudskiego, z wysokimi przesłami. Część towarzystwa po imprezie szła dołem, ja górą.

A jak z pana szaleństwem, badali pana i co?

– W stanie wojennym aresztowali mnie w archiwum NZS, zaczęło wyrzucać to archiwum przez balkon i się drzeć, bo kolega miał przyjść. Dostałem łomot i wyłądowałem w celi. Napisałem pismo, że jestem chory i muszę mieć badania, zacząłem się bronić.

Wyszło, że co tam pan ma pod kopułą?

– Wyszło dobrze, ale wszystko było ustawione. I badający, i prokurator, znajomy mojej ciotki, pan Wassermann. Zdjął tryb dorażny, potem mnie zwolnił i umorzył sprawę. Gdyby wyszło, że to po znajomości, toby go pewnie wsadzili. Po latach odnaleźliśmy się w Warszawie, on był po stronie PiS, przychodził do Ośrodka Studiów Wschodnich, gdzie mieliśmy zasadę, że współpracujemy z ludźmi niezależnie od partii. A kiedy zaczęto robić z niego byłego prokuratora komunistycznego, to go broniłem, wiedząc, jaki to był człowiek.

I co się potem porobiło?

– Dobre pytanie: co się stało z naszą klasą. Mamy do czynienia z historią demoniczną, ale jako człowiek oświecenia nie będę mówił o demonach.

Niech pan powie.

– Kaczyński ma zdolność wyciągania z ludzi najgorszych cech i nazywania tego cnotą. I ci ludzie mają poczucie, że biorą udział w czymś wielkim. A jest odwrotnie.

SZANTAŻOWANIE ŚMIERCIA

Dlaczego pan wspomniął, że Macierewicz to „osobna historia”?

– Bo to jeden ze sprawniejszych kłamców w polskiej polityce. Jego biografia to seria zniszczeń i katastrof, ilekroć się dotykał państwa polskiego. Jego związek z Kaczyńskim jest przedziwny i niezwykle trwały. Kaczyński uruchamia Macierewicza, kiedy chce, żeby coś w państwie nie funkcjonowało.

Przykłady.

– Można było w 2006 r. rozwiązać WSI, ale Macierewicz jeszcze ujawnił ludzi z wywiadu i kontrwywiadu, dla każdej służby to kłeska na pokolenie. W 1992 r. podobnie skończyła się jego zabawa teczkami. W 2015 r. Macierewicz obejmuje MON i wycina wyższych oficerów na taką skalę jak czystka w stalinowskiej Rosji. W żadnym kraju demokratycznym nie ścina się najważniejszych generałów i pułkowników – a on to załatwił w dwa lata. Chodziło o zniszczenie polskiej armii.

Dlaczego to zrobił?

– Kaczyński bał się armii. Widocznie miał jakiś plan i bał się, że armia, generałowie wystąpią przeciwko niemu. Wojskowi przysiegają na konstytucję. Kiedy odchodził gen. Mirosław Różański, to rozdał podwładnym konstytucję z życzeniami, żeby nie zapomnieli, że to fragment przysięgi żołnierskiej. Może Kaczyński bał się buntu armii, bo zamierzał łamać konstytucję – od Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego aż do całej „reformy” sądów. Macierewicz zrobił swoje – na wszelki wypadek.

PiS przy pomocy Macierewicza zbudował się na ofiarach katastrofy smoleńskiej.

– A jednocześnie wydobywał ich szczątki z grobów, żeby wzbudzić podejrzenia co do przyczyn ich śmierci. To jedna z tych obrzydliwych rzeczy, za którą poniosą odpowiedzialność karną. Postanowili nas szantażować zmarłymi. Kaczyński swoje emocje przełożył na całą Polskę. Fascynacja śmiercią jest u nas zakorzeniona, Mickiewicz opisał w „Dziadach” to nasze myślenie metafizyczne. W Polsce jest piękny zwyczaj, że ludzie, którzy stracili bliskich, otaczamy nadmiarem wyrozumiałości. Rozumieemy, że utrata, ból uprawniają ich do rzucania oskarżeń.

To działa – biedny starszy pan.

– Dawno nie powinno być dla niego tej taryfy ulgowej. Rządzą nami upiory, polityka PiS jest polityką upiorów. Oni się powołują na śmierć jako najwyższą wartość. Ale śmierć nie jest wartością, wartością jest życie. Szantażowanie śmiercią jest przeciwko życiu.

Jest taki fragment u Maurycego Mochackiego z końca powstania listopadowego: „Zawsze Polska nasza przynajmniej z jednej strony, z jednego względu mieć będzie zakrwawione oblicze i współczesnych przerazi pochmurnem wejrzeniem politycznego upiora (...) Albowiem (...) z grobu wywołujemy Ojczyznę”.

Upiory odbierają Polsce żyjącej wszystko po kolei. Wzrasta margines ubóstwa, także skrajnego ubóstwa, wśród seniorów. Upadają usługi publiczne, budżetówka. Ludzie obojętnieją. Uderza mnie, kiedy Kaczyński mówi, że „lepiszczem” Polski – cóż za słowo! – jest empatia wobec najsłabszych. Mówi to człowiek, który pozwolił, żeby podczas protestu w Sejmie strażnicy sejmowi tłukli i popychali matki niepełnosprawnych dzieci. Człowiek, którego formacja utrzymuje, że matka wychowująca samotnie dziecko to nie jest rodzina, i chce je okraść z należnych pieniędzy. To zaprzeczenie empatii wobec najsłabszych. I zaprzeczenie świata żywych.

REWOLUCJA MIAST BURMISTRZOWSKICH

Teraz mówicie o tych sprawach społecznych, ale dawniej...

– Ostatnio i Leszek Balcerowicz, i premier Morawiecki oskarżyli nas o populizm za nasz plan ratowania sfery budżetowej. A przecież jeśli ci ludzie się rozejdą, to jakby państwo się rozeszło. Teraz inflacja spycha ich w ubóstwo. Jeśli zmienia pracę, to zostaniemy bez nauczycieli, urzędników, pielęgniarek, ratowników itd. Albo przyjdą gorsi. A wie pani, że daliśmy największe podwyżki dla nauczycieli?

Wiem. Ale budżetówka nigdy nie była traktowana tak, jak powinna.

– To były podwyżki w szczycie kryzysu, większe w stosunku do PKB niż wszystko, co im zaoferował PiS. Morawiecki z Głpińskim pędzą nas na ścianę, zderzymy się z katastrofą gospodarczą. Państwo jako „nocny stróż” i cała opowieść liberalna załamała się już w 2008 r. Dzisiaj ludzie potrzebują bezpieczeństwa, żeby przetrwać. Inflację trzeba powstrzymać, ale nie za cenę umierania państwa.

Jak chcecie wyjść poza podział na Polskę liberalną i socjalną, wielkomijską i lokalną?

– Najciekawsze laboratoria przyszłości to małe miasta. Tam się tworzy aplikacje, które łączą ludzi i biznes, aktywizm oparty na nowoczesnych technologiach, tam jest najlepsze rozumienie dobra wspólnego. Małe miejscowości – nie wszystkie oczywiście, bo część umiera, to proces cywilizacyjny – mają coraz wyższy standard życia. Ta rewolucja w kierunku miast burmistrzowskich dopiero się w Polsce zaczyna, jestem jej wielkim fanem.

Wy odpuściliście Polskę lokalną, zlikwidowaliście połączenia, posterunki itd.

– Posterunki biorę na klatę, pochopny ruch. PiS je przywrócił, ale teraz to są sklepy z policją otwarte od-do, a czas dojazdu do interwencji się zwiększył. A połączenia? 230 tys. km linii autobusowych zlikwidował PiS. Heł! Partia, która mówiła, że będzie odbudowywać PKS-y?

Za czasów PO nie sposób było dostać się do pańskich Kielc z Warszawy, kiedyś osiem godzin tłułam się pociągami.

– Pewnie dookoła. Ale tak, mamy kompletne wykluczenie komunikacyjne regionu świętokrzyskiego – drogowe i kolejowe. Robiłem iks konferencji na ten temat. PiS potrzebował paru lat, żeby zgodzić się w końcu na trasę S74. Połączenia zbudujemy.

Bardzo chce pan powiedzieć, że nie będzie, jak było.

– Nie muszę mówić. Tego nie ma. Jest akceleracja procesów społecznych. 10 lat wstecz to górny mezozoik, inna era.

Chodzimy po ruchomych piaskach, cokolwiek dotkniemy: ekonomii, polityki zagranicznej, bezpieczeństwa – żyjemy w erze rozpadu. Geoffrey Parker nazwał to złymi synergiami. Zmiany klimatyczne, kryzys gospodarczy, wojny, zarazy, głód – to obraz XVII wieku, który przepruł Europę. Świeckie państwo, ład postwestfalski, równoprawne podmioty państwowe – wszystko się wzięło z tego wieku katastrofy. A teraz znowu – konflikty zbrojne, zarazy, niedobór zbóż z Ukrainy przełożą się na sytuację w Afryce i Azji, a ich mieszkańcy będą musieli ruszyć na bogatą Północ itd. Nie uciekam od odpowiedzi na pani pytanie, jak sobie poradzimy z bajzlem po PiS, tylko że to w gruncie rzeczy pikus. Będziemy musieli się zabrać do rzeczy także bardziej skomplikowanych niż PiS.

A ten pikus to...?

– Wiarygodność Polski, członka Unii, przełoży się na środki finansowe, bo będziemy traktowani jak normalny kraj europejski, a nie jak goście, którzy chcą zniszczenia Zachodu.

Trzeba postawić na energetykę prosumencką, bo z najazdu Rosji na Ukrainę nauczyliśmy się, że kluczem bezpieczeństwa jest rozproszenie. Musimy zejść z ogromnych inwestycji energetycznych na małe lokalne – i ze względu na klimat, i wojnę. Przenieść myślenie o państwie na poziom powiatu. Zawsze jakaś stacja benzynowa będzie podłączona do prądu, do tego choćby jedna piekarnia i ośrodek zdrowia. Te trzy miejsca, jeśli przyjdzie coś złego, będą pozwalały przetrwać.

Prawdziwa Polska, dzielnicowa i powiatowa, elastycznie reaguje na kryzysy. Tam jest jasna miara, czy coś jest dobre, czy złe. Remontujemy szkołę? Jest OK. Nie mamy na to pieniędzy? Jest złe. Wierzę w samorządność, w Polskę lokalną, czującą związek z konkretną ziemią, a to związek silniejszy niż z całym państwem. Na imprezach sportowych ludzie na flagach Polski mają wypisane nazwy swoich miejscowości: Żary, Myślenice itd. Jestem za polityką stojącą mocno na konkretnej rzeczywistości społecznej. Zbyt długo uczestniczyłem w polityce oderwanej od ziemi.

Kocham mój kraj i to jest moja perspektywa, ale obietnic, jakie państwa narodowe składały przez stulecia, raczej nie da się już dotrzymać. Coraz częściej państwa stosują ustawy specjalne, stan wyjątkowy. Coraz

Nie lubię śmiania się z PiS, bo to w gruncie rzeczy ocieplanie. A to nie są zabawne misiaczki

więcej chcą od obywateli, a coraz mniej dają. Państwa, jakie znamy, słabną. Wszędzie.

Co ludzie z tym robią?

– Rozwiązania bym szukał właśnie w lokalności. Koncepcja nowego średniowiecza mówi m.in., że będziemy żyli pod różnymi systemami prawnymi. Już teraz mamy prawo lokalne, prawo państwowe, unijne i jeszcze kościelne. Trzeba będzie na nowo określić, czego można naprawdę oczekiwać od państwa. Czy np. jest w stanie przypilnować, żeby Polska przestała być śmieciowiskiem Europy?

Problem zasadniczy to nie zagubić źródeł wzrostu gospodarki, wszystko inne jest do opanowania, inflacja też. Kaczyńskiego nie interesuje rzeczywistość, wyłącznie władza. Oni nie rozwiązują problemów, tylko tworzą spektakl: dlaczego nadal powinni sprawować władzę. Ale rzeczywistość ich dogania. Za chwilę gospodarka rozbije się o ścianę i pisowscy prestidigitatorzy zostaną ze swoimi kłamstwami. Ludzie czują, że

usuwa im się grunt spod nóg. A jedyna opowieść PiS to to, że wszyscy dookoła są zdrajcami.

Tej polityki nie chce już 70 procent Polaków. Rzecz w tym, żeby ich zmobilizować do wyborów. Musimy opowiedzieć, jak zbudujemy tę twardą ziemię w czasach niepewności. Ale nie ma opowieści dla wszystkich. Kaczyński złamał Polskę, potłukł lustro na odłamki. Ludzie mają swoje grupy na Facebooku i tam ustalone poglądy, tkwią w bańkach towarzyskich, zawodowych itd. Kluczem jest, żeby do tych baniek dotrzeć.

Nie wydaje się, że docieracie do młodych w mediach społecznościowych. Co macie dla nich konkretnie? Campus to za mało. – Edukacja. Radykalna zmiana. Teraz to katastrofa.

Wychowanie do autorytaryzmu.

– Tak. Nie zrobimy kolejnej gigantycznej reformy edukacji, ale będą inne programy nauczania. Przemek Sadura w książce „Państwo, szkoła, klasy”, jednej z najwybitniejszych o polskiej polityce, jakie czytałem, pisze o reformach edukacji od PRL do dzisiaj i jak nie należy prowadzić polityki. Rodzice, dzieci z wyższych klas, nauczyciele, dyrektorzy, samorządy i państwo muszą rozmawiać, na coś się umówić i dopiero naprawiać system. Programu dla polskiej szkoły nie może pisać parę osób. Jestem ojcem czwórki dzieci, poznałem to, nie uczymy myślenia, kreatywności. Nadmiar faktów i dat, chaos, a dziecko z szóstej klasy mówi – znam taki przypadek – że królowa Jadwiga jest córką Piłsudskiego. W szkole podstawowej nie da się odłączyć historii od historii sztuki, literatury, sztuk pięknych...

OK. Co jeszcze?

– Młodzi nie potrzebują zamków, których PiS i tak nie odbudowuje, tylko mieszkań, a tutaj ponieśli porażkę. Myśmy zbudowali 240 tys. mieszkań w programie dla młodych, oni do tego roku zbudowali tylko 15 tys. Mieszkania, energetyka, ekologia, klimat. Musimy uruchomić natychmiast ulgi dla mikroproducentów zielonej energii. To nie tylko panele u każdego czy wiatraki, ale też rozwój lokalnych sieci, gdzie energię można przekazywać na krótkie dystanse.

No tak, ale pytam o młodych.

– Zaraz się zdenerwuję... Czy dla młodych jest ważniejszy temat niż ekologia i zmia-

– Czyli obyczajówka? Nowa Lewica zastąpiła działanie polityczne rodzajem religii, maksymalizmu etycznego. Tożsamość indywidualna osób skrzywdzonych staje się miarą prawa do zabierania głosu. Jeśli nie jestem np. za adopcją dzieci przez homoseksualistów, to nie mam prawa istnieć w polityce. A przecież dla większości ludzi to kwestie marginalne, myślą raczej o tym, że nie stać ich na kredyt czy benzynę. Polityka jest sztuką wyboru, musi być oparta na większości, władzę wybiera centrum. Platforma przegrała w 2015 r., bo centrum się od niej odwróciło. My nie będziemy zakładnikiem etycznego maksymalizmu, który się bierze z tego, że lewica na Zachodzie traci znaczenie polityczne. Nawet niektórzy przedstawiciele lewicy amerykańskiej uważają, że zmiana lewicy grup społecznych w lewicę tożsamości to wielki błąd. Indywidualne samookreślenie staje się dla nich właściwie miarą świata. Nasza młoda lewica nie jest punktem odniesienia dla polityki w Polsce, to „kopiuj-wklej” idei z Zachodu, ale one mają się nijak do naszej rzeczywistości.

Czy pan to uzna za sprawy marginalne i czy to się w polityce opłaca – i tak chodzi po prostu o prawa człowieka.
– Byłem kiedyś na rozdaniu nagród za obronę praw człowieka, jeszcze w Ośrodku Studiów Wschodnich. Jedną nagrodę przyznano Czeccence, której dzieci były torturowane przez Rosjan i zmarły, a ona stworzyła sieć matek czeczeńskich i walczyła o ich prawa. Drugą, równorzędną, nagrodę dostało stowarzyszenie, które dbało o prawa osób homoseksualnych w Polsce. To zabieg lewicy, że w jednym i drugim przypadku mówi się o prawach człowieka.

Tortury spotykają różnych ludzi, także za orientację seksualną. Każdy człowiek powinien mieć takie same prawa realizowania siebie.
– Moim zdaniem nie można położyć na jednej szali tortur i śmierci i niewygodę społecznej, tu się różnimy i będziemy różnić.

Nie kładę. Jak pan zauważył, świat się zmienia – i młodzi to rozumieją.
– Ale przecież my już ogłosiliśmy: związki partnerskie mają być i koniec. Rozdział Kościoła od państwa ma być i koniec. Aborcja do 12. tygodnia ma być i koniec. Tym bardziej że od siedmiu lat mamy rządy talibów. Natomiast nie wygramy tych wyborów postulatem, żeby np. osoby homoseksualne adoptowały dzieci, bo to spór marginalny.

Może trzeba zrobić krok naprzód, żeby być w centrum. Dlaczego pan tak kiwa głową?
– Słucham, bo zadaje pani politykowi pytania z rzeczywistości społecznej i stawia tezę, że nie da się w Polsce wygrać wyborów, jeśli się nie będzie etyczne po stronie lewicy. To fałszywa teza.

Kaczyński też chce łączyć tradycję z nowoczesnością.
– Dobra, dobra. Znam tę opowieść. Jeszcze ze starym hasłem Polska Wielki Projekt, a dowodem tego połączenia jest dla nich Podhale, gdzie radni głosują przeciwko ustawie antyprzemocowej, bo bicie kobiet jest dla nich częścią kultury góralskiej. Taka to tradycja jak trzymanie psów na łańcuchu.

O zwierzętach też u was cicho. Trzeba zerwać te łańcuchy, zamknąć hodowle zwierząt futerkowych, powołać rzecznika praw zwierząt. Cywilizowany świat już zrobił ten krok do przodu.
– Krew się we mnie burzy, przecież nasi koalicjanci Zieloni zajmują się tym dzień i noc. I to my byliśmy jedyną par-

tią, która się wydzierala przy procesie pisowskiego senatora, który włókł swoją suczkę za samochodem, oprócz nas nie ruszyło to w polityce nikogo.
Pisowska wycinka lasów to też barbarzyństwo, chciwość, złodziejstwo. Na przykładzie Ukrainy widać, że istnieje „ekologia wojenna”. Szojgu, minister obrony Rosji, napisał do Putina prośbę o zezwolenie na masową wycinkę lasów na terenach zajętych przez Rosję. Obszary północno-wschodniej Polski powinny być zachowane w jak najbardziej naturalnym stanie. Bagna, lasy tworzą barierę nie do przejścia dla ciężkich jednostek. To, co PiS robi z polskimi lasami, osłabia obronność Polski.

Sam pan mówił, że Polska to państwo teoretyczne, że tutaj to „ch...., dupa i kamieni kupa”.
– Chodziło mi o bolesny rys naszej wspólnej nieudolności, chociaż widziałem też dobre rzeczy. A teraz wszystko w Polsce funkcjonuje dużo gorzej i trwa retoryczny wyścig, czy to obecne państwo jest z tektury, czy z g... Wszystko spotworniało.

Widać to m.in. po mailach Dworczyka.
– Nie będę ukrywał podlej satysfakcji. Kiedy w 2014 wybuchła afera podsłuchowa, PiS ryczał: „Nieważne, kto to nagrał i dlaczego, ale co tam mówią!”. A mówiliśmy brzydkie wyrazy. No to teraz mogą powiedzieć: nieważne, kto się włamał i dlaczego, ważne, co tam piszą. A piszą o upadku państwa, którego są autorami. O załatwianiu posad swoim. O czynach kryminalnych, jak ustalanie wyroków z panią Julią P.

Prokuratura Ziobry udaje, że jest ślepa. Służby też. Prawda jest taka, że ktoś, kto te maile wypuszcza, nigdy nie wypuścił nic o panach Ziobrze i Kaczyńskim. Nie napisali? Wolne żarty! Jedno jest pewne – na podstawie tych maili PiS będzie sądzony przez ich następców, bez względu na to, czy wykradli te maile Rosjanie, Białorusini czy inne diabły. Bo te maile są autentyczne.

Tym, co decyduje o sile państwa i jego instytucji, jest powszechny konsensus co do kultury politycznej. Ona się buduje pokoleniami. W wolnej Polsce właściwie się jeszcze nie wykształciła. Pełzający autorytaryzm Kaczyńskiego nie napotykał oporu. Opór był na ulicach, ale nie w instytucjach. Oprócz sędziów, którzy potrafili się przeciwstawić. Oporu nie było w służbach, w policji ani w wojsku. W Stanach Mike Pompeo, szef CIA, w krytycznym momencie powiedział Trumpowi: nie – i zatrzymał zamach stanu. W Polsce taki Macierewicz niszczy polskie wojsko i nic się nie dzieje. Niszczeniu państwa większość Polaków nie umie się sprzeciwić. Kaczyński i PiS to wykorzystują. Ich antyzachodni, antyeuropejski zwrot jest dążeniem do pełni władzy. Myśmy w Polsce wyhodowali te upiory. ●

*Bartłomiej Sienkiewicz

● ur. w 1961 r. Historyk, publicysta, wykładowca akademicki, poseł PO. Przed 1989 działacz opozycji. W 1990 współtwórca UOP i Ośrodka Studiów Wschodnich. W latach 2013-14 minister spraw wewnętrznych i koordynator służb specjalnych. Autor m.in. książek „Onegdaj w Krakowie”, „Państwo teoretyczne”, „Sienkiewicz z nami” (o pradziadku Henryku Sienkiewicz).

BORN IN THE USA

Mistrz kierownicy już nie ucieka

Średni wiek amerykańskiego truckersa – 55 lat. Gdy umrze, zastąpi go automatyczna ciężarówka Elona Muska.

Maciej Jarkowicz

Pamiętacie „Konwój”? Kris Kristofferson w wersji topless jako Martin „Kaczor” Penwald, niezniszczalny herszt bandy kierowców ciężarówek, która pokona złego szeryfa. Albo „Mistrz kierownicy ucieka”, w którym Burt Reynolds eskortuje ciężarówkę pełną piwnej kontrabandy z zachodu na wschód. Filmy miały premiery rok po roku – 1977, 1978 – w szczycie złotej ery trucker culture. Co drugi chłopak w Stanach chciał zasiąść za kierownicą 18-kolowca i przemierzać bezkres, nie zważając na przepisy oraz skorumpowanych i – co najgorsze – nudnych stróżów prawa. Hitem – nie tylko na drogach, ale też w miasteczkach i metropoliach – były CB-radia i truckerskie ciuchy: czapki z daszkiem, flanelowe koszule. Popkultura malowała wówczas kierowców jako ostatnich kowbojów Ameryki. Dziś nadciąga ich zmierzch.

Według danych branżowej centrali w USA brakuje 80 tys. kierowców ciężarówek. Pandemia pozrywała globalne łańcuchy dostaw, wielokrotnie wydłużył się czas oczekiwania w portach na towar. Kierowcy tkwili bez ruchu, nikt im nie płacił. Infrastruktura obsługująca ich na drogach – restauracje, prysznice, myjnie – została zamknięta. Tysiące kierowców zjechało z dróg, przeszło na emeryturę albo do innych zawodów. To spowodowało efekt błędnego koła – opóźnienia w dostawach i dziury w łańcuchu transportu jeszcze bardziej się powiększyły. Zapotrzebowanie na kierowców jeszcze bardziej wzrosło.

Ale nowych nie przybędzie. Pandemia jedynie przyspieszyła trend, który trwa od dekady. Średni wiek kierowcy w firmie spedycyjnej to 46 lat, truckersi niezależni, którzy mają własną ciężarówkę, są jeszcze starsi – 55 lat. Co roku z pracy za kierownicą odchodzi ok. 300 tys. ludzi.

W 1912 r. pięciu kierowców, zmieniając się za kółkiem prototypowej, napędzanej silnikiem Diesla ciężarówky wyprodukowanej przez firmę Winton Motor Carriage Company z Ohio, dostarczyło trzy tony mydła z Filadelfii do Kalifornii. Po drodze nie było stacji benzynowych, jadalni, moteli. Samo określenie „po drodze” jest nadużyciem – dróg też nie było. Dostawa zajęła im 91 dni. Byli pionierami, ale prawdziwych początków trucker culture trzeba szukać w latach Wielkiego Kryzysu. Upadają farmy, a rząd buduje drogi w ramach rooseveltońskiego Nowego Ładu. Tysiące rolników odstawiają plugi i wsiadają do ciężarówek. W kolejnych dekadach modernizacja rolnictwa, powstanie przemysłu fabrycznej, przetworzonej żywności i wzlot supermarketów odmieniają kraj. Drogi i zapelniające je ciężarówki stają się jego krwiobiegiem.

W czasie drugiej wojny 125 tys. doświadczonych kierowców zostaje wcielonych do armii – na drogach Europy dają aliantom przewagę.

W latach 50. zawód truckera ma już romantyczną otoczkę – opalony kierowca w kapeluszu, na drodze pośród gór jest przeciwnieństwem zamkniętego w biurze, wciśniętego w szary garnitur błędnego kopoludka. Truckerska moda z lat 70. zbiega się w czasie z walką kierowców o swoje prawa. Potężne blokady dróg, stacji benzynowych i strajki wybuchają w latach 1974, 1979 i 1983. Pierwsze dwa z powodu kryzysów paliwowych, a trzeci, gdy Ro-



nald Reagan ogłasza, że sfinansuje remonty autostrad z nowych podatków – na paliwo, na opony i na ciężarówki. Demonstracje są brutalne, kierowcy, którzy nie przystąpili do strajku, padają ofiarami ataków snajperskich. Najpierw Jimmy Carter, a później Reagan nazywają truckersów terrorystami. Ci przedstawiają się jako ofiary wyzysku w imadle dwóch sił – skorumpowanych związków zawodowych z jednej strony i chciwego rządu z drugiej.

Jednym z postulatów części środowiska truckersów była w tamtym czasie deregulacja. W drugiej połowie lat 80. został spełniony. Dziś wiadomo, że był to początek końca. Otwarcie zawodu przez obniżenie podatków, standardów bhp, kosztów i wymogów zdobycia licencji początkowo zwiększało zyski. Ale gdy na rynek z łatwością wchodziły nowe firmy, konkurencja rosła, a ceny spadały. Najlepiej do nowych warunków dostosowali się giganci.

Dziś branża zdominowana jest przez kilku korporacyjnych spedytorów. W latach 80., uwzględniając inflację, trucker zarabiał średnio 110 tys. dolarów. Dziś – 48 tys. Godziny pracy są dłuższe, ochrony socjalnej nie ma. Statystyki pokazują, że stan zdrowia kierowców jest fatalny: palą więcej niż przeciętny obywatel, gorzej jedzą, mniej śpią, są bardziej zestresowani, szybciej umierają. Pewien ekspert od logistyki pytany przez portal Vox, dlaczego brakuje kierowców, odpowiada: „Bo to gówniana robota”.

Młodzi mają inne opcje, a romantyzm życia za kierownicą 18-kolowca dawno się ulotnił. Już w latach 90., w „Thelmie i Louise”, kilkanaście lat po tym, gdy przystojniak z klasą Kris Kristofferson rozpałał wyobraźnię milionów, trucker został sprowadzony do postaci śliniącego się buraka, zasługującego tylko na to, żeby wysadzić jego ciężarówkę w powietrze.

Upadek truckerskiego ducha obrazują próby organizowania kierowców w grupie Black Smoke Matters (czarny dym ma znaczenie). Na jej demonstracjach, w czasie których domaga się deregulacji mającej być lekiem na poprzednią deregulację, pojawia się nierzadko kilka ciężarówek.

Auta odpowiadają za 70 proc. transportu towarowego w USA. 80 proc. powierzchni kraju jest całkowicie uzależnione od ich dostaw. Ciężarówki więc tak szybko nie znikną. Znikną kierowcy. Elon Musk nazwał samojezdne ciężarówki technologią, która będzie miała największy wpływ na rzeczywistość w najbliższych latach. Niektórzy spedytorzy zapowiadają rozpoczęcie przejścia na bezzalogową flotę już od 2023 r. Pośród producentów trwa wyścig o to, kto wypuści na rynek najbardziej niezawodne wozy. Rząd zapowiada, że jeśli okażą się bezpieczne, szybko dostosuje przepisy.

Rewolucja czeka za rogiem. Jej wiatr zmiecie z powierzchni ostatnich kowbojów Ameryki. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”, Maciej Jarkowicz, Agora, 2021



Z BRYTYJSKIM HISTORYKIEM
NIALEM FERGUSONEM*
ROZMAWIA **MACIEJ STASIŃSKI**

Po prawie czterech miesiącach wojny Rosji przeciw Ukrainie gdzie jesteście?

– Im dłużej trwa wojna, tym dłużej trwa. Brzmi jak tautologia, ale znaczy, że im dłużej wojna trwa, tym trudniej ją zatrzymać. I z każdym tygodniem jest coraz trudniej. Niestety, czas pracuje na rzecz Putina.

To znowu brzmi dziwnie, bo przecież na początku rosyjska ofensywa przebiegała fatalnie, Rosja ponosiła wielkie straty, a Ukraińcy wspaniale walczyli. Pomimo rosyjskich strat, bohaterstwa Ukraińców, ogromnej sympatii dla Ukrainy na Zachodzie, im bardziej zniszczona jest Ukraina, tym trudniej będzie Ukraińcom wygrać. Czas pokazał, że moja wcześniejsza prognoza, że Rosja się załamuje, zawiodła.

Zależność energetyczna Europy od rosyjskich paliw, zwłaszcza gazu, ważyć będzie coraz bardziej. Putin zyskał czas na zmianę strategii i zamiast na zdobywaniu Kijowa i okupacji całej Ukrainy skoncentrował się na Donbasie. A opanowanie całego Donbasu i południowego wschodu Ukrainy przez Rosję staje się coraz bardziej prawdopodobne.

Rosja prowadzi teraz wojnę na wyniszczenie, wyczerpanie. Bez przejściowych zawieszni broni. To jej sprzyja.

Wiecznym problemem amerykańskiej siły jest stałość. USA przeznaczyły na pomoc Ukrainie już 50 mld dol. Czy dadzą w drugiej połowie roku kolejne 50? A w przyszłym roku? Putin wie, że zachodnia jedność w obronie Ukrainy ma dać ważności.

A zachodnie sankcje osłabiające Rosję, która jest militarną potęgą, ale społecznym i ekonomicznym karłem, nie popychają Rosji do upadku?

– Nigdy nie wierzyłem w skuteczność sankcji. Tak długo, jak Rosja może sprzedawać gaz i ropę, tak długo rubel będzie wysoko i Rosja wytrzyma.

Po wybuchu wojny postawiłem siedem pytań, od których zależeć będzie los tej wojny.

Czy Putin zdobędzie Kijów szybko czy nigdy?

– Raczej nigdy.

Czy sankcje zachodnie zmuszą Putina do uznania, że nie może wygrać, i do cofnięcia się?

– Nie zmuszą.

Czy ekonomiczna i polityczna presja Zachodu doprowadzi do puczu pałacowego i obalenia Putina?

– Nie. I nie doprowadza.

Czy niepowodzenia popchną Putina do desperacji i użycia broni nuklearnej?

– Raczej nie.

Czy Chiny cofną Rosji poparcie, jak nie zawrze pokoju?

– Nie, nie cofają i nie naciskają na pokój.

Czy nasze zachodnie zmęczenie wojną nie będzie rosło i nie osłabi poparcia dla Ukrainy?

– Tak, już to się dzieje.

Jakie będą pośrednie skutki przedłużającej się wojny?

– Poważne. Inflacja, spadek wzrostu, stagflacja. Przerwanie łańcucha dostaw, kryzys żywnościowy, a może i głód w Afryce. W tych warunkach utrzymywanie poparcia Zachodu dla Ukrainy będzie coraz trudniejsze. Od początku byłem bardziej pesymistyczny niż Francis Fukuyama, który przewidywał rychłe zwycięstwo Ukrainy i porażkę Rosji. Nie wierzyłem w to.

To znaczy, że Rosja ani nie ponosi decydujących strat, ani nie może przegrać? Nic jej nie zaszkodzi?

– Administracja Joego Bidena nie zrobiła nic, by tę wojnę zakończyć wcześniej. Bo uważała, że im dłużej ona trwa, tym gorzej dla Rosji, a tym lepiej dla Zachodu i Ukrainy. Także dlatego, że Biden sądził, że znie-

BIDEN JEST GORSZY OD TRUMPA

USA są jedyną siłą, która ma wystarczające środki nacisku na obie strony dzisiejszej wojny, by ją zakończyć.
Ale okazja do zawarcia pokoju została stracona



FOT. EAST NEWS

chęci Chiny do najazdu na Tajwan. Moim zdaniem to był błąd i głupota.

Wojnę należało zakończyć wówczas, kiedy Rosji szło źle, a Ukrainie – dobrze.

Niby jak i kto miał tę wojnę zakończyć wcześniej?

– Ta wojna może się potoczyć dwojako. Albo jak wojna koreańska w 1951 roku, która ciągnęła się długo, z bezpośrednim udziałem USA i Chin, i zakończyła impasem oraz podziałem Korei. Ta też tak może się skończyć: podziałem Ukrainy.

Albo tak jak wojna na Bliskim Wschodzie w 1973 roku po ataku państw arabskich na Izrael. Ameryka zbroiła i wspierała Izrael, ale potem szybko doprowadziła do zakończenia wojny. Przeprowadził to Henry Kissinger.

USA są jedyną siłą, która ma wystarczające środki nacisku na obie strony dzisiejszej wojny, by ją zakończyć. Jak? Ano mówiąc Rosjanom, że USA wstrzymają sankcje, jak oni siądą do negocjacji i zawrą pokój. I Ukraińcom, że będą ich dalej zbroić, ale jak oni też siądą do negocjacji. Nie mamy dzisiaj Kissingera, a Ameryka wcale nie stara się zakończyć tej wojny. Teraz, niestety, ta chwila minęła i okazja do zawarcia pokoju została stracona.

Pańska prognoza się zmieniła. W jednym z niedawnych wywiadów twierdził pan, że Rosja się zawali, a Chiny zdały sobie sprawę z fatalnej pomyłki, że na początku poparły Rosję...

– Owszem, ale tak było po trzech tygodniach trwania wojny. To był moment największej słabości Rosji po nieudanej ofensywie na Kijów, najlepszej passy Ukrainy i zarazem najlepsza chwila do wywarcia przez Zachód nacisku na zakończenie wojny. Ale USA tego nie zrobiły. Odwrotnie, Joe Biden poleciał do Warszawy, nazwał Putina zbrodniarzem wojennym i wezwał do jego obalenia. Ja wówczas namawiałem każdego, kto chciał słuchać, żeby Rosjan i Ukraińców nakłonić do pertraktacji. Teraz jest

za późno. Rosja jest coraz silniejsza, a Ukraina słabnie.

Byłem wstrząśnięty naiwnością administracji Bidena oraz wielu komentatorów amerykańskich, którzy wierzyli, że Ukraina może wygrać. Jak niby mieli militarnie wyprzeć Rosjan z Donbasu i Krymu?! Ukraina mogła tej wojny nie przegrać, ale wygrać?

Mówi pan ostatnio o „drugiej zimnej wojnie”.

– Ta druga zimna wojna toczy się z Chinami. W odróżnieniu od pierwszej, gdy Chiny grały rolę pomocniczą, a Związek Sowiecki – główną, teraz to Chiny i USA są przeciwnikami, a Rosja – ledwie pomocnikiem.

Na razie ona nie toczy się idealnie po myśli Chin, bo spodziewały się błyskawicznego zwycięstwa Rosji. Ale gaz i ropa płyną już z Rosji do Chin i zastąpiły dostawy z Arabii Saudyjskiej. Chiny dostają więc rosyjskie bogactwa naturalne za półdarmo. A Zachód wydaje wielkie pieniądze na bezpieczeństwo i siły NATO w Europie.

Losy tej zimnej wojny zależą od tego, co się stanie z Tajwanem.

Chiny najadają Tajwan?

– To jest główny cel prezydenta Xi Jinpinga w tej kadencji. Z punktu widzenia tego strategicznego celu Europa i Ukraina nie mają dla nich znaczenia. Liczą się Azja i Pacyfik.

Wojna w Ukrainie i bezpieczeństwo Europy pochłaniają wielkie zasoby Zachodu. Są jakby dodatkowym wielkim podatkiem nałożonym na Amerykanów i Europejczyków. A także odciągają uwagę USA i Europy od Tajwanu i od Azji. A Chinom o to chodzi.

Czy determinacji Zachodu oraz losów tej wojny nie umocni groźba głodowego szantażu, jaki teraz stosuje Putin, blokując dostawy zboża z Ukrainy?

– Joe Biden wykluczył interwencję zbrojną USA i NATO w tej wojnie i to się nie zmieni. Blokada żywności przez Rosję wywoła inflację na Zachodzie, a w Afryce być może i głód. Inflacja i groźba głodu tylko zwięk-

szą nacisk. Na jesieni determinacja Zachodu w popieraniu wojny będzie słabnąć. Zacznie się namawianie Ukrainy do ustępstw terytorialnych i faktyczny podział kraju. W USA odbędą się częściowe wybory do Kongresu, które Demokraci przegrają.

Wiem, że to złe wiadomości. Także dla Polski. Ale lepiej jest stawić czoło rzeczywistości, niż ludzić się bajkami.

Jak ostatnio w Davos Henry Kissinger opowiadał się za natychmiastowym pokojem, powrotem do status quo sprzed wojny i ustępstwami terytorialnymi Ukrainy, bo to Chiny są głównym rywalem Zachodu, który nie powinien Rosji wypychać w ich ramiona, to wszyscy na niego napadli, że „pacyfista”. Nie mamy Kissingera dzisiaj.

Jak losy tej wojny by się potoczyły, gdyby w Waszyngtonie rządził Donald Trump?

– Trump podobno mówił nawet, że zbombardowałby Moskwę. Nie wiem.

Wiadomo za to, że Joe Biden wstrzymał w ostatnich latach poparcie militarne dla Ukrainy. Uchylił sankcje wobec rosyjskiego gazociągu Nord Stream 2. Wycofał się z Afganistanu. I zapowiedział, że USA będą bronić Tajwanu. Rozmiary niekompetencji jego administracji są przerażające.

Trump nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy. Prawdopodobnie doprowadziłby za to do układu handlowego z Chinami i dzisiaj już byśmy go mieli.

Joe Biden wyrządził znacznie więcej szkód sojuszowi USA i Europy oraz NATO niż Trump.

Co takiego?

– Tylko w Europie tego nie rozumiecie, bo uważacie Trumpa za coś najgorszego. Choć to Biden jest o wiele gorszy.

W Polsce i w Europie to pogląd szokujący.

– Nie przeczę, że Trump był i jest łgarzem ani że był i być może nadal jest zagrożeniem dla amerykańskiej demokracji. Ale pytanie brzmi: który z tych prezydentów był lepszy dla NATO? Europejczycy bardzo błędzą w tej sprawie.

Jeszcze raz zrekapitulujmy.

Jeden z tych dwóch prezydentów nakazał wycofać się Amerykanom z Afganistanu niemal bez konsultacji z sojusznikami. To nie był Trump.

Jeden z nich spowolnił dostawy broni dla Ukrainy w 2021 roku. Nie Trump.

Jeden z nich zawiesił sankcje wobec Nord Stream 2 w ubiegłym roku. Znowu nie Trump.

Jeden z nich powiedział Putinowi, że jak najedzie Ukrainę, to czekają go wyłącznie sankcje. Nie był to Trump.

Kiedy Trump został wybrany, wszyscy się bali, że skasuje NATO. Czy to zrobił? Nie.

Prezydentem, który powiedział, że NATO cierpi na „śmierć mózgową”, był Macron, nie Trump.

Trump skrytykował za to Niemcy, że nie wydają dość na obronę i za bardzo polegają na dostawach rosyjskiego gazu. Czy nie miał racji?

I mamy coś takiego. 4 marca Trump rozmawiał przez telefon z golfistą Johnem Dalym. Mówi na nagraniu: „Wszyscy mówią: »O rany, ten Putin ma broń nuklearną«. Znaczą się go boją. Wiesz, John, ten facet był moim kumplem. Miałem z nim świetne stosunki. Mówiłem mu: »Władimirze, jak to zrobisz, uderzymy w Moskwę. Zbombardujemy Moskwę«. Pewnie mi wierzył na 5, może 10 procent. I to wystarczy. Za moich czasów Putin niczego takiego nie zrobił. A wszyscy przed tym ostrzegali. A dlaczego mianowicie tego nie zrobił przez moje cztery lata? Bo wiedział, że nie może”.

Moim zdaniem nie jest niemożliwe, że gdyby Trump został ponownie wybrany, Putin nie napadłby na Ukrainę. ●

***Niall Ferguson** – ur. w 1964 r., słynny szkocki historyk, autor m.in. bestsellerów „Imperium. Jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat”, „Cywilizacja. Zachód i reszta świata”

CHCEMY ZABIJAĆ UKRAIŃCÓW

Anton Mirskij



• **Bojownicy Ruszcza na Ukrainie**

FOT. PROFIL ZGRUPOWANIA RUSCZ
W TELEGRAMIE

**Na piersi orzeł ze swastyką, na ramieniu Hitler, na przedramieniu motto z Buchenwaldu.
Kto „denazyfikuje” Ukrainę**

Jednym z oficjalnych celów inwazji na Ukrainę jest tzw. denazyfikacja. Według rosyjskiej propagandy rosyjskie wojska i milicje samozwańczych republik ludowych z Donbasu już od paru miesięcy nieprzerwanie unicestwiają, likwidują lub biorą do niewoli ukraińskich nacjonalistów, neonazistów i banderowców. Propagandyści pomijają fakt, że w wojnie po stronie Moskwy uczestniczą neonaziści, którzy otwarcie gloryfikują Hitlera.

W czerwcu 2022 w ukraińskiej sieci pojawiły się zdjęcia młodego człowieka na tle niemieckiej flagi. Miał ogoloną głowę, na piersi tatuaż orła III Rzeszy trzymającego w szponach swastykę, na ramieniu wizerunek Hitlera, na przedramieniu napis po niemiecku Jedem das Seine (Każdemu, co mu się należy) – taki jak na bramie obozu koncentracyjnego Buchenwald.

Fotografia przedstawiała Antona Rajewskiego, znanego rosyjskiego nacjonalistę, który walczył w Donbasie w latach 2014-15 po stronie samozwańczych republik. Został wtedy zwerbowany przez oddział nacjonalistycznej Partii Liberalno-Demokratycznej Władimira Żyrinowskiego w mieście Orzeł. W kwietniu 2022 ponownie udał się do Ukrainy, by uczestniczyć w denazyfikacji.

Rajewski ma 37 lat. Urodził się i wychował w obwodzie orłowskim. Uczył się w szkole nr 40, która znajdowała się w okolicy będącej miejscem spotkań miejscowych zwolenników

skrajnej prawicy. To tam narodziła się jedna z pierwszych neonazystowskich grup w mieście – Legion 18.

– Poznałem go w 2002 r. przez kolegę z klasy, który znalazł go już nieco wcześniej – opowiada dawny znajomy proszący o anonimowość. – Od razu wydał mi się oryginalny, choć nie był zamknięty. Już wtedy miał obsesję na punkcie religii. Chodził na msze, był dociekliwy, lubił czytać literaturę dotyczącą różnych sekt.

Mówiąc „sektą”, ma na myśli protestanckie odłamy chrześcijaństwa, pogan i satanistów. Twierdzi, że Rajewski z zaangażowaniem trenował karate, był wysportowany. W przeciwieństwie do kolegów z klasy w szkole zachowywał się spokojnie. Wychowawczyni darzyła go sympatią, pozwalała, aby „siedział w ostatniej ławce i czytał »Mein Kampf«”.

Rajewski nie przypominał klasycznego skinheada. Wprawdzie gołił się na łyso, nienawidził Żydów i mieszkańców Kaukazu, jednak nie identyfikował się z tą subkulturą. Nie przepadał za popularnym w tym środowisku zespołem Kolowrat, który wykonywał piosenki o neonazistach, rasizmie i migrantach. – Jego ulubioną piosenką było „Coco Jambo” zespołu Mr. President. Bardziej interesowała go działalność społeczna niż walka z imigrantami.

W pierwszej dekadzie XXI wieku Rajewski zaangażował się w działalność trzech organizacji nacjonalistycznych: Narodowej Partii Patriotycznej (NPP) Aleksandra Iwanowa-Suchariewskiego, Rosyjskiej Jedności Narodowej (RJN) Alek-

sandra Barkaszowa, a także Czarnej Sotni Aleksandra Sztilmarka. W dwóch pierwszych nie działał zbyt długo.

– NPP nie była religijna, co mu się podobało. Natomiast w RJN, mimo że należał do tej organizacji dłużej, Barkaszow narzucał innym swoją wizję prawosławia, co nie odpowiadało Antonowi – wspomina znajomy. Sam Rajewski w rozmowie z dziennikarzem Meduzy przyznał, że RJN jest totalitarną sektą o destrukcyjnym charakterze. Twierdził, że działacze organizacji modlili się do portretu Barkaszowa, odmawiając „Ojcie nasz”.

Za to Czarna Sotnia okazała się odpowiednia. Wyznawano w niej wszystkie wartości, które, jak twierdzą znajomi, były Rajewskiemu bliskie: wyrażający się w szczególnej nienawiści do Żydów nacjonalizm i sympatia do monarchii jako formy rządów.

Swego czasu w mediach społecznościowych Rajewskiego pojawił się wpis: „Naszym ideałem jest monarchia faszystowska”. To cytata z generała Antona Turkula, białego emigranta i japońskiego oraz niemieckiego agenta podczas II wojny światowej.

W pierwszej dekadzie XXI wieku Rajewski pojechał do Petersburga, aby spotkać się z przywódcą Czarnej Sotni Sztilmarkiem i uzyskać zgodę na stworzenie oddziału organizacji w Orle. Po powrocie zaczął pokrywać miasto graffiti: czarną farbą pisał nazwę organizacji i rysował krzyże. W tym samym czasie opuścił RJN. – Pokłócił się z jej członkami, ostentacyjnie spalił ich gazetę – wspomina obrońca praw człowieka z Orla Dmitrij Krajuchin. W Czarnej Sotni Rajewski obejmował wszystkie stanowiska po ko-

lei: był przewodniczącym oddziału, zastępcą przewodniczącego, a nawet zastępcą szefa sztabu.

Sam obrońca praw również oberwał. Rajewski napisał kiedyś na jego płocie: „Krajuchin to aksamitny Żyd”. – Stało się to memem tamtych lat – wspomina znajomy Rajewskiego. – Nawet gliny skomentowały: „W pełni się z tobą zgadzamy, ale dlaczego aksamitny, a nie parszywy?”.

Pod koniec pierwszej dekady Rajewski ponownie udał się do Petersburga. Za namową przyjaciela postanowił zostać tam na dłużej. Pracował jako ochroniarz i zaprzyjaźnił się z ważną postacią sceny neonazystowskiej, Dmitrijem Bobrowem, zwanym „Szulcem”.

Kilka lat wcześniej Bobrow założył grupę Szulc-88 [88 to popularny kod neonazistów, chodzi o ósmą literę alfabetu, HH – czyli Heil Hitler], która napadła na migrantów. Aktywiści ugrupowania, jak Dmitrij Borowikow czy Aleksiej Wojewodin, byli założycielami Bojowej Organizacji Terrorystycznej, która stanowiła inspirację dla prawicowego terrorku w kolejnych latach.

Borowikow stał się idolem rosyjskich neonazistów. Został zabity przez policjanta podczas aresztowania w 2006 r. Wojewodin odsiaduje dożywocie za zabójstwa popełnione przez członków BOT. Jedną z ofiar był Nikołaj Girenko, etnolog, lokalny polityk i obrońca praw człowieka, który badał sprawę Szulca.

Bobrow został zatrzymany w 2003 r. i dostał sześć lat. Po wyjściu z więzienia założył Ludową Inicjatywę Społeczną, do której w Petersburgu dołączył Rajewski. W 2015 r.

LIS uznano za ekstremistyczną i zdelegalizowano, ale współpraca Bobrowa i Rajewskiego dobiegła końca szybciej. Obaj nacjonaliści oskarżali się o próbę rozbicia organizacji i współpracę z tajnymi służbami.

W Orle od lat chodziły słuchy o możliwych powiązaniach Rajewskiego z władzami, które interesowały się innymi nacjonalistami, nim – nigdy. Dmitrij Krajuchin twierdzi, że plotki krążyły także za sprawą samego Rajewskiego.

– Mówił o sobie jako o niezależnym pracowniku Centrum Zwalczenia Ekstremizmu [organizacja podległa MSW, działała na Kaukazie, na Krymie po aneksji, zasłynęła represjonowaniem świadków Jehowy] i FSB – wspomina Krajuchin. – Spytałem o to pracowników Centrum. Dostałem odpowiedź: „W jakim sensie niezależnym? Tak, czasem zwracamy się do niego po informacje”.

W 2014 r., wraz z początkiem Euro-majdanu w Kijowie, Anton Rajewski udał się do Ukrainy, by zwalczać rewolucję godności. Wpierw trafił do Odessy jako członek tzw. Drużyny Odeskiej. W jednym z wywiadów utrzymywał, że planuje zabójstwo odeskiego lidera nacjonalistycznego Prawego Sektora Siergieja Sternenki. Plany rzekomo udaremnił ówczesny, już rosyjski zwierzchnik Krymu Siergiej Aksionow.

Rajewski wrócił do Rosji, po czym udał się do Donbasu. Jego dokumenty wojskowe osobiście podpisał Igor Girkin vel Strielkow [oficer Specnazu, rosyjski dowódca separatystów w 2014 r., stał się symbolem inwazji „zielonych ludzików” na Donbas, obecnie krytyk sposobu prowadzenia wojny przez Kreml z pozycji jastrzębich]. Po powrocie z Ukrainy orłowianin odbył z Girkinem w mediach społecznościowych całą serię dyskusji o projekcie Noworosji. W 2016 r. błagał Strielkowa o ponowne wysłanie go do Donbasu, na co dostał odpowiedź: „Na wojnę przyjdzie jeszcze czas”.

Wtedy Rajewski wrócił do Orła, gdzie stał się aktywistą na rzecz praw zwierząt; Meduzie tłumaczy, że nacjonalizm obejmuje wszystkie obszary działalności człowieka. W 2021 r. wstąpił do Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji, aby wystartować w wyborach do rady miejskiej. Wówczas doradca gubernatora obwodu orłowskiego Siergiej Leżniew zarzucił Żyrinowskiemu, że człowiek, którego wystawia w wyborach, nie ma nic przeciwko byciu nazywanym faszystą. Rajewski wycofał się „z przyczyn natury technicznej”.

W Orle Rajewski założył także paramilitarne koło Rzuć Wyzwanie! Członkowie grupy organizował treningi bojowe, które polegały na bieganiu po lesie z bronią. Wiosną 2022 r. Rajewski i jego zwolennicy zostali zatrzymani przez policję po doniesieniu od mieszkańca, że w lesie znajdują się ukraińscy dywersanci.

20 kwietnia w Telegramie, na profilu oddziału LDPR w Orle, pojawił się wpis, że dzień wcześniej członek partii Anton Rajewski wstąpił w szeregi ochotników i wyjechał do Ukrainy. Nie miał żadnych wątpliwości, gdy 24 lutego rozpoczęła się „specjalna operacja wojskowa”. Wyjazd na linię frontu i walkę z rosnącym w Ukrainie nowotworem nazizmu uznał za swój obowiązek – poinformowano w poście.

Miesiąc wcześniej na swoim profilu na WKontrakcie Rajewski pokazał prawą rękę już bez części nazistowskich tatuaży. Na profilu Orzeł24 również pojawił się post sugerujący, że zlagodził poglądy.

Tymczasem dzień przed jego wyjazdem do Ukrainy na WKontrakcie pojawił się kolejny profil Rajewskiego. Zdjęcie przedstawia nacjonalistę na tle czarno-żółto-białej imperialnej flagi. Właściciel konta dołączył do jednostek wojskowych DRL. Wpis oznajmiał: „Nasz Führer prowadzi nas do walki! Za Rzeszę Rosyjską!”.

Sam Rajewski twierdzi, że odszedł od Hitlera. – Tak, trochę dojrzałem i przemyslałem wiele spraw. Ideologia niemieckiego narodowego socjalizmu jest równie nieprzyja-

zna społeczeństwu jak komunizm. Jestem przekonany, że ideologia komunizmu i inne awangardowe projekty socjalistyczne powinny być we współczesnej Rosji uznane za karygodne i zakazane.

Obecnie Rajewski identyfikuje się jako „rosyjski nacjonalista wyznania prawosławnego” i zagorzały zwolennik monarchii absolutnej. „Podkreślam jednak, że odrodzenie się nacjonalistycznej Rosji będzie poprzedzone nacjonalistyczną dyktaturą”.

Aleksandr Wierchowskij, dyrektor monitorującego ekstremistów moskiewskiego Centrum Sowa, uważa, że po stronie rosyjskiej w Ukrainie walczy najwyżej kilkudziesięciu aktywnych nacjonalistów i neonazistów. Wielu z nich, podobnie jak Rajewski, przebywało w Donbasie w 2014 r. Ale w maju „Der Spiegel”, opierając się na raporcie niemieckiego wywiadu, poinformował, że Ukrainę „denazyfikują” przynajmniej dwa nacjonalistyczne ugrupowania: Rosyjski Legion Carski i grupa dywersyjno-szturmowa Rusicz.

Rosyjski Legion Carski jest paramilitarną jednostką Rosyjskiego Ruchu Imperialnego RRI założonego przez nacjonalistów Stanisława Worobjewa i Dienisa Garijewa. W 2020 r. Stany Zjednoczone wpisały RRI na listę organizacji terrorystycznych jako ugrupowanie białych suprematystów. W 2021 Kanada również uznała RRI za organizację terrorystyczną.

O zaangażowaniu Legionu Carskiego w Ukrainie wiadomo od 2014 r. Jego człon-

nim „Serb”. Jak opowiada w rozmowie z Jęgorem Proswirninem, założycielem nacjonalistycznej gazety „Sputnik i Pogrom” (w grudniu 2021 Proswirnin zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach), na tereny kontrolowane przez Rosję pojechał z niewielką grupą nacjonalistów.

W Donbasie do Milczakowa dołączył Jan Pietrowski, pseudonim „Wielki Słowianin”. Do 2014 r. Pietrowski mieszkał w Petersburgu, a gdy jego matka wyszła za Norwega, przeprowadził się do Tønsbergu. Znalazł pracę w salonie tatuażu i zaczął obracać się w towarzystwie pogan. W 2011 r. udał się do Petersburga, gdzie poznał Milczakowa. Trzy lata później w towarzystwie innego neonazisty, Stanisława Priczodka, odwiedził Szwecję i 1 maja w Jönköpingu wziął udział w pochodzie szwedzkiej skrajnej prawicy, któremu towarzyszyły starcia z lokalnymi antyfaszystami.

W 2010 r. podczas przeszukania salonu tatuażu norweska policja znalazła broń palną należącą do rosyjskiego neonazisty Wiaczesława Dacika, który uciekł ze szpitala psychiatrycznego pod Petersburgiem i starał się o azyl w Norwegii. Pod swój dach przyjął go właśnie Pietrowski. W 2011 r. został deportowany do Rosji, w 2017 Norwegowie deportowali także Pietrowskiego.

Ciało „Wielkiego Słowianina” pokrywał liczne tatuaże, w tym Valknut, Czarne słońce [inaczej krzyż słoneczny, kilka nakładających się na siebie swastyk, je-



• Z tyłu głowy Gleb Erwje ma wytatuowane różgi liktorskie - pęk róż z toporem
FOT. PROFIL GLEB ERWJE NA INSTAGRAMIE

Gdy zabijasz człowieka, czujesz dreszcz emocji związany z polowaniem. Jeśli ktoś nie polował — polecam spróbować. Należy robić to, co się kocha — zabijać wrogów dla Rosji

ALEKSIEJ MILCZAKOW

den z symboli neonazistów i nacjonalistycznych neopogan] czy runy skandynawskie (podobne tatuaże mają niektórzy pojmani Ukraińcy, co propaganda rosyjska chętnie wykorzystuje jako argument za potrzebą denazyfikacji Ukrainy).

Na kanale Noworosja-TV można obejrzeć materiał o grupie Rusicz, w którym Pietrowski przedstawiony jest jako ochotnik z Norwegii. Wyjaśnia, że do przyjazdu zmotywowała go chęć walki przeciw juncie w Kijowie i Kaganatowi Chazarskiemu [odniesienie do koczowniczego imperium Chazarów istniejącego między VII a VIII wiekiem nad Wołgą i Donem; w imaginariu rosyjskich neonazistów i imperialistów – żydowsko-tatarskie państwo, jakie muzułmanie i Żydzi chcieliby wykreślić z Wielkiej Ru-

si]. Na granacie ręcznym maluje czarnym markerem runę śmierci, dzięki której skuteczniej rozprawi się z wrogiem. „Niech się nie męczą przed śmiercią”, mówi do kamery z uśmiechem.

18 czerwca 2022 „Wielki Słowianin” ponownie znalazł się w Petersburgu. Przyjechał, aby pochować towarzysza broni o pseudonimie „Kamień”, który zginął 16 maja w Ukrainie. Przy grobie Słowianin otoczony członkami Związku Ochotników Donbasu w kamuflażu i z imperialnymi nasywkami wygłosił przemówienie. „Otworzyły się przed nim wrota Walhalli, przez które przejdzie z należytych honorem. Pewnego dnia go tam spotkamy, zgromadzimy się za jednym stołem i będziemy ucztować. Chwała Rosji!”.

Co ciekawe, wieloletni przyjaciel Pietrowskiego, szwedzki nacjonalista Mikael Skillt opowiedział się po przeciwnej stronie. Już w 2014 r. dziennikarze donosili, że jest snajperem w batalionie Azow. Mimo to ich relacja nie uległa zmianie. Utrzymywali przyjacielskie stosunki, Skillt rzekomo złożył Pietrowskiemu kondolencje po śmierci dowódcy oddziału Batman Aleksandra Bednowa. Bednow zginął wskutek konfliktu z władzami Ługańskiej Republiki Ludowej, ale Pietrowski odpowiedział, że „Żydzi za to zapłacą”.

Milczakow („Fritz/Serb”) wraz z Pietrowskim („Słowianinem”) walczyli w oddziale Batman, na początku w Ługańsku, następnie o donieckie lotnisko. W wywiadzie z Proswirninem Milczakow wprost przyznaje, że pojechał do Donbasu, aby zabijać. „Gdy zabijasz człowieka, czujesz dreszcz emocji związany z polowaniem. Jeśli ktoś nie polował – polecam spróbować. Warto”. „Serb” nazywa siebie nazistą i deklaruje: „Według mnie należy robić to, co się kocha – zabijać wrogów dla Rosji”.

Po zakończeniu intensywnych walk w Donbasie (2014-15) Milczakow dołączył do słynnej najemniczej Grupy Wagnera. W 2017 r. wypatrzono go w Syrii. Po lutowej inwazji wrócił do Ukrainy, w kwietniu doznał niegroźnych obrażeń. Informacje o tym pojawiły się na kanale YouTube ultrapravicowego zespołu Russkij Stiag (Rosyjski Sztandar). Próbkę piosenek kapeli: „Przez Rosję maszeruje brutalna młodzież, oddziały prostych młodzieńców, którzy chcą zabijać”; „Walczysz za białą władzę w białokamiennym mieście”.

Niektórzy muzycy po 24 lutego wyjechali do Ukrainy. Lider zespołu Jewgienij Dołganow wspiera operację specjalną, dając koncerty na froncie i przeprowadzając wywiady z innymi nacjonalistami. – Tak, tak, Żenia oszalał, wiem – skomentował działalność Dołganowa weteran ruchu nacjonalistycznego Dmitrij Diemuszkin (sam aktywnie sprzeciwia się wojnie w Ukrainie, za co trafił na listę rusofobów prowadzoną przez konserwatystów prokremlińskiego kanału Carograd).

Dołganow, podobnie jak Anton Rajewski, zaczynał w RJN. Następnie wstąpił do (zakazanego później) Towarzystwa Narodowo-Socjalistycznego, podróżował w sprawach organizacji z innymi członkami: Maksymem „Toporem” Marcynkiewiczem i Siergiejem „Bosmanem” Korotkiczem. Wielu członków TNS odsiaduje dożywocie za serię morderstw migrantów w Moskwie. Natomiast Korotkicz (znany także jako „Maluta”) po rozpadzie TNS przeniósł się do Ukrainy. Twierdzi, że uczestniczył w tworzeniu ochotniczego batalionu Azow. Dawni współpracownicy „Bosmana” i „Topora” w TNS i Formacie-18 też są obecnie w Ukrainie – Andriej Diedow („Died”) czy Artiom Krasnołuckij („Huragan”) walczą przeciw Rosji w ukraińskich siłach zbrojnych.

Tymczasem znajomy „Dieda” Gleb Erwje (z którym prowadził salon tatuażu w Moskwie) po 24 lutego został korespondentem wojennym portalu RIA Novosti i relacjonował sukcesy związane z „denazyfikacją Ukrainy”. Na potylicy ma wytatuowane różgi liktorskie – godło faszystów Mussoliniego, na piersi, podobnie jak Rajewski, ha-

sło z bramy Buchenwaldu „Jedem das Seine”. Prowadzi kanał na YouTube, na którym, według Antifa.ru, przedstawia ultrapravicowe poglądy. Zrealizował trzy filmy dokumentalne pod zbiorczym tytułem „Spojrzenie Europejczyka”. Tytuł zaczerpnął z książki osławionego belgijskiego esesmana ochotnika, dowódcy dywizji SS „Walonen” Leona Degrelle’a.

Erwje odmówił rozmowy z Meduzą. Zaznaczył, że już nieraz wyrażał opinię na ten temat na portalach społecznościowych. Na profilu na Telegramie pod koniec maja deklaruje, że był skrajnie prawicowy, ale rozczarował się nacjonalizmem trzy lata temu. Zdobyte doświadczenie „pomaga mu w zwróceniu uwagi na szczegóły i historie, które umykają innym”, dostarcza wiedzy, jakiej literatury należy szukać w ukraińskich szkołach, jak zadawać właściwe pytania pojmmanemu Azowowi.

W kolejnym poście Erwje pisze, że pogodził się z tym, że „ukraińska propaganda wspierana przez krajową propagandę liberalną” z powodu tatuaży „robi z niego osobę pokroju Goebbelsa”.

Innym aktywnym członkiem grupy Rusicz jest Jewgienij Rasskazow, znany w mediach społecznościowych jako „Topaz”. Urodził się w Donbasie, w mieście Makiejewka. W 2014 r. skończył 18 lat i odbył kurs w ministerstwie spraw wewnętrznych Ukrainy. Po referendum w sprawie utworzenia DRL wyjechał do Moskwy, a następnie wrócił, by wstąpić do milicji.

Przynajmniej, że w życiu zdarzyło mu się pracować najwyżej parę dni. Do Rusicza trafił, gdy zobaczył w internecie apel Milczakowa „Fritza/Serba”, że jednostka potrzebuje ludzi. W wywiadzie z Dołganowem z zespołu Russkij Stiaż „Topaz” opowiada, że w oddziale panują surowe zasady: kara śmierci za zapach alkoholu, a każdy członek jednostki na pytanie „Dlaczego tu jesteś?” musi odpowiedzieć: „Aby zabić wrogów”.

Na zdjęciach Rasskazow pozuje w koszulce kultowego rosyjskiego neonazistowskiego zespołu muzycznego M8L8TH (Młot Hitlera). Lider zespołu Aleksiej Lewkin w 2014 r. wyjechał do Ukrainy i obecnie walczy po stronie sił ukraińskich.

„Topaz” prowadzi aktywnie swój profil, na którym opowiada, jak wygląda życie denazyfikatora. Na przykład 20 kwietnia składał życzenia urodzinowe Hitlerowi. „W dniu dzisiejszym swoje urodziny obchodzi nasz towarzysz broni i przyjaciel, który mimo swojego wieku stał się przykładem dla wielu z nas. Wprawdzie nie ma go już wśród nas, jednak jego dzieło i słowo żyje w naszych sercach i inspirowało do likwidowania ukraińsko-bolszewickiej szumowiny i przynoszenia chwały wielkiej Rosji”.

Post został opatrzony zdjęciem: samochód ciężarowy Kamaz z literą Z, runa Tiwaz i liczba 88.

Po fali krytyki w sieci „Topaz” poinformował, że nie zmienia ani symboliki Rusiczu, ani poglądów. Jeśli komuś się nie podoba, to i tak nic z tym nie zrobi, bo wszelkie skargi trafią do kosza lub do odpowiednich służb, a weterani są nietykalni. Informuje przeciwników, że nie obchodzi go, co inni myślą o jego poglądach; nadal zamierza je wpajać młodym żołnierzom.

A wywiadzie z Dołganowem stwierdza, że jego głównym celem, jeśli chodzi o wojnę, jest zabijanie Ukraińców, w zasadzie tylko to się liczy. Jego zdaniem jedynym zadaniem państwa jest wojna, a ludzie stanowią jedynie narzędzia logistyki wojskowej.

Meduza przesłała pytania do Milczakowa i Rasskazowa. Nie zgodzili się na rozmowę ze względu na „nieodpowiedni moment”.

Na początku wieku rozkwit subkultur związanych z nacjonalizmem nastąpił i w Rosji, i w Ukrainie. Moskwa, Petersburg, Kijów i Charków stały się centrami wymiany doświadczeń między skrajnie prawicowymi aktywistami. Jak tłumaczy były zwolennik skrajnej prawicy Siergiej

„Bosman” Korotkicz (to on twierdzi, że brał udział w stworzeniu pułku Azow), do 2014 r. nacjonałści z Federacji Rosyjskiej byli skupieni na Ukrainie.

Regularnie jeździli tam na koncerty i festiwale muzyczne. Najbardziej znanym był Perun Fest, organizowany przez Arsenija Biloduba, lidera ukraińskiej neonazistowskiej grupy Sokira Peruna (Topór Peruna). (W sekcji audio na profilu Wkontakcie Jana Pietrowskiego można znaleźć przemówienie jednego z najbardziej znanych rosyjskich neonazistów, Maksima Bazylewa, alias „Adolf” lub „Maks18”. Znajduje się obok utworu po ukraińsku zespołu Whites Load z Bilodubem z Sokiry Pieruna na wokalu).

■
Wielu narodowców i skinheadów poszło walczyć po stronie Ukrainy, ponieważ uznali Majdan za przykład narodowej rewolucji, którą powinni wspierać także rosyjscy nacjonałści

SIERGIEJ KOROTKICZ

Sokira – w którego repertuarze jest utwór o Holokauście „Sześć milionów słów kłamstw wymyślonych przez Żydów” – odbył wiele tras koncertowych w Rosji, podobnie jak rosyjskie zespoły prawicowe w Ukrainie, np. Antisystem, projekt byłego klawiszowca zespołu Kołowrat Dmitrija Sadki. – Publiczność była niesamowicie zróżnicowana: skinheadzi, fani black metalu, kibice piłki nożnej – wspomina uczestnik koncertów w z połowy lat 90. proszący o anonimowość. – Nie przypominam sobie konfliktów o podłożu szowinistycznym, nie licząc drobnych sprzeczek ze zwolennikami UNA-UNSO [radikalnie nacjonalistyczna partia, po Majdanie wyewoluował z niej Prawy Sektor]. Dotyczyły ich wyglądu, grzywek, fajek, koszul haftowanych w „wyszywkę”. U nas wywoływały uśmiech. Nie przebywaliśmy w ich towarzystwie, trzymali się z dala, w swoim gronie.

Dmitrij Diemuszkin, twórca radykalnego Związku Słowiańskiego, który wychował wielu rosyjskich radykałów, dziś przeciwnik wojny, wyjaśnia: „Stosunki między nacjonalistami obu krajów były przyjazne. Trzeba rozróżnić nacjonalizm polityczny, zorganizowany, subkulturę skinheadów i tak dalej. I jeśli przyjrzeć się przedstawicielom subkultury, to oni wszyscy stoją po stronie Ukrainy lub znajdują się w samej Ukrainie. Jeździli na koncerty do Charkowa i Kijowa, nawiązywali kontakty i ukrywali się w zachodniej Ukrainie przed rosyjskim wymiarem sprawiedliwości. Dziesiątki rosyjskich nacjonalistów i skinheadów uciekło w tamte rejony, pomagali im w tym ukraińscy nacjonalści.

A nacjonalizm polityczny? Diemuszkin wspomina, jak w 2012 r. [czyli przed rosyjską próbą powstrzymania unijnych ambicji Ukrainy, inwazją na Donbas i aneksją Krymu] uczestniczył w delegacji rosyjskich nacjonalistów do Lwowa, gdzie zostali przywitani przez całą administrację miasta. „Spędziłem dwa tygodnie we Lwowie i Iwano-Frankiwsku. Wszędzie mówiłem po rosyjsku. Ani razu nie spotkaliśmy się z tym, żeby ktoś nie chciał rozmawiać. Szukaliśmy przejawów rusofobii, jednak ich nie znaleźliśmy. Mogę zaświadczyć, że w tamtym czasie nawet zachód Ukrainy był całkowicie lojalny wobec Rosjan”.

Jednak potem „Rosja zachorowała na wielkomocarstwowy imperialny szowinizm”. Przy czym Diemuszkin zgadza się, że rosyjski nacjonalizm zawsze, już od rozpadu ZSRR na początku lat 90., był częściowo imperialny.

Dmitrij (prosi o anonimowość), weteran ruchów radykalnych z lat 90., dziś popiera „operację specjalną” i objaśnia stanowisko nacjonalistów walczących przeciwko Ukrainie w duchu propagandy Putina. „Misją rosyjskiego narodu jest utrzymanie pewnego poziomu energii. Jeśli jakaś energia wysuwa się na prowadzenie, Rosjanie, z racji tego, że są imperium, działają jako przeciwwaga. Tylko imperium ma władzę w tym świecie. Każdy nieimperialny naród staje się czyimś satelitą. W 1991 r. ta równowaga została naruszona. Naród ukraiński nie istnieje, a wprowadzenie wojsk spowodowało Zachód”.

Innego zdania jest Nikita Zajcew, prominentny nacjonalista, przedstawiciel Narodowego Stowarzyszenia Oporu i organizator ostatniego Rosyjskiego Marszu [odpowiednik polskiego Marszu Niepodległości] w Moskwie w 2021 r. „Jeśli spojrzymy na ostatnie 30 lat historii Ukrainy, to zobaczymy, że nastąpił aktywny proces tworzenia się narodu ukraińskiego, własnej państwowości i samorządu. Owszem, to bardzo zbliżony do nas naród pod względem kulturowym i historycznym. Jednak odrębny naród”.

Te dwa stanowiska pokazują, jak po Euromajdanie w 2014 r. w rosyjskim ruchu nacjonalistycznym nastąpił historyczny rozłam. Nacjonalistyczni imperialiści pod wpływem bezkrwawej aneksji Krymu i prorosyjskich wieców w Donbasie, Odessie i Chersoniu publicznie opowiedzieli się za wojną w Donbasie.

Po stronie Putina stanęli – jak twierdzi Siergiej Korotkicz – ci prawicowcy, którzy w środowisku są uznawani za wyrzutków: Milczakowa, tego, który zarządził szczytniaka, inni schwytali i ukarali pobiciem. „Takie osoby jak on dostrzegły w wojnie szansę na poprawę statusu społecznego”. Wielu poszło walczyć po stronie Ukrainy, ponieważ uznali Majdan za przykład narodowej rewolucji, którą powinni wspierać także rosyjscy nacjonalści. Ale mieli też inne, patriotyczne powody. – Państwo, zamiast dążyć do poprawy życia Rosjan, zaczęło wykorzystywać swoich obywateli na wojnie – wyjaśnia Korotkicz.

Zajcew ilustruje ów podział opowieścią o roku 2014, gdy przez Moskwę przeszły dwa konkurencyjne Rosyjskie Marsze. Na jednym (Zajcew: „alternatywnym”), popierającym atak na Ukrainę, można było spotkać narodowych bolszewików [ugrupowanie znanego pisarza skandalisty Eduarda Limonowa], pułkownika Kwaczkowa [były oficer specnazu, który pozuje na carskiego oficera, krytykuje wojnę jako zbyt łagodną i wraz ze skupiającym różnych wojskowych emerytów Wszechrosyjskim Związkiem Oficerów domaga się ogłoszenia mobilizacji] oraz „innych dziadów z jakimś czerwonymi transparentami i portretami Stalina”. Na drugim można było usłyszeć okrzyki „Chwała Rusi Kijwskiej”, „Noworośja ssie”.

■
Na granacie ręcznym maluje czarnym markerem runę śmierci, dzięki której skuteczniej rozprawi się z wrogiem. „Niech się nie męczą przed śmiercią”, mówi do kamery z uśmiechem

Ale Diemuszkin i Zajcew uważają, że dyskusje o tym, jaki procent rosyjskich nacjonalistów popiera Ukrainę, a jaki operację specjalną, nie mają sensu. Wszystkie organizacje nacjonalistyczne po 2014 r. zostały rozbite, a ich przywódców skazano lub wyjechali za granicę. Dziś, mówiąc o nacjonalistach czy faszystach uczestniczących w inwazji, można mówić jedynie o indywidualnych poglądach.

Według Aleksandra Wierchowskiego z Centrum Sowa, obserwatora środowisk radykalnych, gdy wojna dobiegnie końca, przyszłość nacjonalistów walczących po stronie Rosji będzie zależała od ich politycznych ambicji. Tych, którzy nie będą się pchać, czeka jakaś przyszłość, a na pewno będą mogli spokojnie zająć się swoim życiem. Ci, którzy nie zechcą się podporządkować, mogą powtórzyć los członków prywatnej firmy wojskowej ENOT [założona przez weteranów sił specjalnych, głównie o prawicowych poglądach, kierowana przez oficerów FSB, pacyfikowała syryjskich powstańców, zajmowała w latach 2014-15 Donbas, szkoliła paramilitarne bojówki w byłych republikach sowieckich. Jej „operatorzy” słynęli z okrucieństwa. Władze rozwiązały ją i postawiły najemników przed sądem, gdy przesadzili z wymuszaniem i handlem narkotykami w samej Rosji].

Diemuszkin dziwi się dawnym towarzyszom broni, którzy popierają Putina i wprowadzają w Ukrainie „russkij mir”. „Chłopaki, jeśli szerczycie rosyjski świat, to czemu nie zaczniecie robić tego w Rosji? Jeśli u nas skazują za nieprawomyślne zdjęcie, to jak możecie jechać do Kijowa budować rosyjską władzę? Tam za miast ulicy Wolności zbudujecie plac Lenina. Coś wam się pomylilo”.

Zajcew podziela zdumienie Diemuszkin: „Jak russkij mir ma się do kadyrowców, ich okrzyków »Achmat to siła« albo komunistycznej czerwonej flagi nad zdobytym Azowstalem?”.

Rozbieżność między radykalnymi antykomunistycznymi poglądami skrajnej prawicy a przywracaniem sowieckich pomników i nazw miejscowości w okupowanych ukraińskich miastach dostrzegają także ci nacjonalści, którzy walczą przeciwko Ukrainie. Ale znajdują sobie wytłumaczenie. – Jeśli chodzi o pomniki Lenina i nazwy ulic na cześć bolszewickich oprawców, to wierzę, że pewnego dnia Rosja zostanie oczyszczona z haniebnego bolszewizmu, a czerwona flaga nad Reichstagem w 1945 nie będzie postrzegana jako symbol Międzynarodówki, tylko zwycięstwa Rosji – mówi Rajewski.

Niedawno Rajewski nagrał krótki filmik. Zaczyna się słowami „Speliły się moje marzenia. Ponownie znajduję się na terytorium dawnej Ukrainy. Bardzo dobrze się z tym czuję. Wręcz świetnie!”.

Jak podaje, filmik nagrał we wsi w obwodzie zaporoskim. W kadrze można dostrzec ostrzelany samochód z ukraińskimi tablicami. W nagraniu wspomina Siergieja Stiernienkę z Prawego Sektora, którego planował kiedyś zabić w Odessie, i zaprasza go na spotkanie, obiecując, że wyśle go „do Stiepana Bandery”. Mówiąc to, wskazuje na zdobyczny system rakietowy Javelin.

Następnego dnia oddział LDPR doniósł o powrocie Rajewskiego do domu po walce w drugiej kompanii batalionu ochotniczego Bars-8. Weteran przywiózł ze sobą imperialną czarno-żółto-białą flagę z podpisami kolegów żołnierzy. Widnieje na niej napis: „Ukraina będzie Rosją!”.

Kończąc rozmowę z Meduzą, Rajewski oświadczył: „Powiem teraz coś, o czym z jakiegoś powodu milczy się w mediach, a nasze wojska boją się o tym wspominać. No cóż: dowódca naszej kompanii batalionu ochotniczego zabronił nam brać wroga w niewolę. Ja, jako dowódca plutonu, w pełni się z nim zgadzałem. Śmierć banderowcom!”. ●

Tłumaczyła Aleksandra Zielinko

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza wyrzucona z Rosji straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać tutaj: **Defend the truth (meduza.io)**

CO MNIE URZEKŁO

Ale uparci ci Grenlandczycy

Było ich może kilka tysięcy, głód zaglądał im w oczy. A mimo to postanowili zbudować katedrę

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

T

Trudno nie ulec urokowi upstrzonej żółtymi kwiatkami soczyście zielonej łąki, z której wyrastają ogromne bloki czerwonego piaskowca, wyznaczając zarys budowli. Błękitne niebo i bezwietrzne ciepło lipca zaprzeczają wizji Grenlandii jako „krajiny lodu”, która przyciąga co najwyżej amatorów ekstremalnych trekkingów. Latem Igaliku sprawia wrażenie zwyczajnej wsi z typową dla Skandynawii rozproszoną zabudową. Położona na szerokiej równinie obniżającej się ku szerokiej zatoce daje wrażenie niemal idylliczne, choć trochę surowe z powodu braku drzew.

Taki widok usprawiedliwia propagandowy zabieg islandzkiego banity Eryka Thorvaldssena Rudego, który nazwał odkryty ląd Zieloną Wyspą (skand. Grenland), aby zachęcić jak najwięcej ludzi do przesiedlenia się tam w końcu X wieku. Najpierw jednak trzy lata penetrował południowy skraj największej wyspy świata, wyszukując miejsca do zasiedlenia. Dziś siejsze Igaliku, nazywane wówczas Gardar, oferowało przestrzeń na założenie kilku gospodarstw łączących hodowlę zwierząt z rybołówstwem.

To tam na początku XII w. ulokowano pierwsze zaoceniczne biskupstwo. Drugi jego ordynariusz Arnaldur rozpoczął w 1126 r. budowę katedry pod wezwaniem patrona żeglarzy św. Mikołaja oraz siedziby godnej księcia Kościoła. Ocalała potężna ściana pałacu biskupiego daje nikłe pojęcie o wielkości przedsięwzięcia, które miało być manifestacją przynależności Grenlandczyków do cywilizacji europejskiej, a stało się jedną z przyczyn lekcji historii o zgubnych skutkach upartego konserwatyzmu.

●●●

Niech nas nie zmyli urok Igaliku, które liczy dzisiaj kilkudziesięciu mieszkańców zajmujących wygodne domy. Wyobraźmy sobie średniowieczne Gardar, gdzie nawet kilkaset osób mieszkało w zbudowanych z płatów darni długich domach, których część na długą zimę oddawano bydłu. Obfitująca w łąki enklawa oferowała dość dobre warunki życia, ale mieszkańcy osad położonych w gorszych miejscach żyli na granicy przetrwania.



Ruiny reprezentacyjnego kompleksu biskupiego w Igaliku. Prof. Urbańczyk: Nie chcieli uczyć się od „obcych”, jak skuteczniej eksploatować surowe środowisko. Branie przykładu z pogan oznaczałoby bowiem wyparcie się swojej europejskiej i chrześcijańskiej tożsamości

FOT. EAST NEWS

I to ci ludzie podjęli trud wzniesienia siedziby biskupiej większej nawet od metropolitalnego Nidaros/Trondheim w Norwegii. Setki mężczyzn musiało przypływać każdego lata do Gardar, aby ze zbocza góry przeciągać bloki piaskowca, których wielkość wciąż robi wrażenie. Wzniesli na planie krzyżowym imponującą katedrę (27 x 16 metrów), z którą nie mogła się równać większość kościołów północnoeuropejskich. Nikle nadwyżki eksportowe (np. kły morsów i skóry białych niedźwiedzi) przeznaczyli na sprowadzenie z Europy nawet dzwonu i witraży, których fragmenty znaleźli archeolodzy. Dla biskupa zbudowali kamienny pałac, a jego gospodarstwo wyposażyli w obory, które mogły pomieścić ponad sto zwierząt.

●●●

Ogrom wysiłku musi budzić podziw, ale też zmusza do refleksji: dlaczego ludzie żyjący w tak trudnych warunkach zainwestowali tak wiele w cel, który nie miał praktycznego znaczenia?

Im nie chodziło o codzienną przydatność, lecz o manifestację chrześcijańskiej tradycji. Próbowali być prawdziwie Europejczy w strategii gospodarczej, w swojej wierze, a nawet i w sposobie ubierania się. Chcieli mieszkać w solidnych domach, hodować bydło i owce, pływać łodziami drewnianymi zamiast skórzanymi, nosić odzież wełnianą zamiast futrzanej i chodzić do kościoła imponującego wielkością i wyposażeniem.

To przywiązanie do europejskiej tradycji uniemożliwiło im znalezienie odpowiedzi na kryzys, zbliżający się wraz z najzimniejszym okresem w II tysiącleciu.

Ochładzanie się klimatu w XIII–XIV w., które pogarszało sytuację osiadłej ludności „europejskiej”, ułatwiło ekspansję proto-Inuitów, przystosowanych do arktycznego środowiska. Ci przybysze z kontynentalnej Kanady stopniowo posuwali się na południe Grenlandii, zbliżając się do siedzib „kolonistów”, którzy nie potrafili przystosować się do zmian.

Konserwatywna mentalność umacniała ich w przekonaniu o konieczności kontynuowania swojej tradycji kulturowej. Nie chcąc przestać być Europejczykami, nie chcieli uczyć się od „obcych”, jak skuteczniej eksploatować surowe środowisko. Branie przykładu z pogan oznaczałoby bowiem wyparcie się europejskiej i chrześcijańskiej tożsamości, a nawet – przejście na stronę zła.

●●●

Ta wrogość, czytelna w sagach islandzkich, była pewnie skutkiem działań propagandowych elit, które w miarę pogarszania się warunków życia prowadziły politykę zwierania szeregow. To w ich interesie było zapobieganie zmianom w organizacji wyspiarskiej społeczności. To ich członkowie najbardziej skorzystali w czasach pierwszych sukcesów i to oni mogli najwięcej stracić. Im mniejsza była gospodarcza podstawa finansowania hierarchicznej struktury władzy, tym silniejszy był opór liderów przeciw zmianom. Umacniali wśród ludzi przekonanie, że tylko trzymanie się utartych zwyczajów umożliwi im przetrwanie, a może i przywróci czasy dawnej prosperity. Porażki tłumaczyli nieprzestrzeganiem tradycyjnych cnót zagrożonych przez „obcych”. Te obawy

na pewno podtrzymywali biskupi, którzy przypływali zza oceanu bez żadnego doświadczenia w kontaktach międzykulturowych.

Sprawdzona na początku zasiedlenia Grenlandii strategia gospodarcza nabrała cech dogmatu kulturowego. Osadnicy tkwili przy zmniejszającym się areale coraz bardziej jałowych łąk, płacąc dziesięcinę. To uparte kontynuowanie skandynawskiego modelu gospodarczego i chrześcijańskiego wzorca życia wynikało z poczucia zagrożenia utratą tożsamości kulturowej. Determinacja okazała się silniejsza od obawy o fizyczne przetrwanie, tym bardziej że ich religia obiecywała wszak pośmiertną nagrodę za przestrzeganie kategorycznie sformułowanych wymagań.

Ortodoksja umożliwiła im trwanie do końca w przekonaniu o swojej „europejskości”, ale zablokowała ich kulturowo, uniemożliwiając zmiany, które mogły być jedyną szansą na przeżycie. Sygnały pogarszania się warunków dla dotychczasowego modelu życia były ignorowane, aż kolonia wymarła.

Nie wiemy, jaki był los ostatnich „europejskich” Grenlandczyków. Czy zmarli w samotności? Czy może zdolali „powrócić” na Islandię? A może „poddali się” kulturowo, a Inuici przyjęli ich do swoich społeczności?

●●●

W każdym razie skandynawska epopeja grenlandzka skończyła się fiaskiem, kiedy w drugiej połowie XV w. południowa Grenlandia przestała być częścią średniowiecznej Europy i powróciła do sfery dominacji tubylczych kultur północnoamerykańskich. Tyl-

ko pozostałości ścian z potężnych bloków czerwonego piaskowca świadczą o determinacji ludzi, którzy chcieli pozostać częścią europejskiej cywilizacji nawet za cenę przeżycia.

W tej historii znajdziemy też tajemniczy wątek polski, bo w 1440 r. biskupem pomocniczym diecezji poznańskiej został niejaki Jan – franciszkanin, który nosił też tytuł „biskupa Gardaru”. Była to już wówczas funkcja czysto tytularna, bo od półwiecza brak regularnych kontaktów z Grenlandią uniemożliwiał obsadzenie wyspiarskiej diecezji. ●

***Przemysław Urbańczyk,** związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów.

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

N A S Z A E U R O P A

Kirill Sieriebriennikow:

NIE AKCEPTUJĘ STATUSU
EMIGRANTA

Nie widzę sensu w bojkotowaniu rosyjskich artystów. Jako Rosjaninowi łatwo mi pewnie zarzucić ślepotę.
Ale przecież nie mogę udawać, że nim nie jestem

Jan Küveler

WELT

Kirill Sieriebriennikow, rosyjski reżyser filmowy i teatralny, przebywał już w areszcie domowym, kiedy cały świat jeszcze drwił z sierniężności i absurdalności kremłowskiego reżimu. Jego filmy i spektakle są odważne i prawdziwe – i pewnie także dlatego poddane ostracyzmowi w Rosji. W 2017 r. prokuratura postawiła mu zarzut rzekomych malwersacji finansowych w prowadzonym przez niego moskiewskim Centrum Gogola. Po sfabrykowanym procesie dostał trzy lata więzienia w zawieszeniu.

Z Sieriebriennikowem rozmawialiśmy w Monachium, gdzie na festiwalu filmowym prezentował swoje dwa nowe filmy: „Rodzina Pietrowów ma grypę” oraz „Żonę Czajkowskiego”. To oszalamiające wizualnie epepeje, które lepiej niż jakikolwiek komentarz polityczny przybliżają nam Rosję, a raczej specyficzne szaleństwo jej mieszkańców. W Cannes wielu protestowało przeciwko decyzji, by w ogóle zaprosić go do konkursu. Rosyjscy artyści, którzy przecież przez lata koegzystowali z systemem, argumentowali – nie powinni być teraz fetowani w wolnym świecie, bez względu na ich stosunek do reżimu Putina. Ci jednak, którzy znają dzieła Sieriebriennikowa, wiedzą, że nigdy nie wysługiwał się Kremlowi i jego propagandzie.

Z powodu zakazu opuszczania Rosji nie mógł pojawić się w ubiegłym roku w Cannes, gdzie pokazywana była jego „Gorączka”. Dopiero 28 marca Kreml zwrócił mu paszport. Przeniósł się do Berlina. „Przebywanie w Rosji sprawia, że czuję się częścią wojny, a nie chcę być jej częścią!” – powiedział w wywiadzie dla „Le Monde”. 7 lipca jego spektakl – „Czarny mnich” na podstawie opowiadania Antoniego Czechowa – otworzył Festiwal Teatralny w Awinionie.

...

Gdzie pan obecnie mieszka?

– Generalnie jestem dziś nomadą, ale powiedzmy, że mój tymczasowy „dom” jest w Berlinie. W tej chwili bywam jednak głównie w Awinionie, gdzie na festiwalu teatralnym zostanie pokazany mój „Czarny mnich”. Potem jadę na zdjęcia do mojego nowego filmu, na Łotwę. Później lecę do Hamburga na kolejną produkcję teatralną – jak już mówiłem, życie koczownicze.

Gdyby chciał pan wrócić do Rosji, byłoby to możliwe?

– Nie jestem pewien. Chyba nie jest to w tej chwili dobry pomysł, bo konsekwencje takiego ruchu są tymczasem zupełnie nieprzewidywalne. Otwarcie wypowiadałem



• Kirill Sieriebriennikow
w Cannes w maju
FOT. PETROS GIANNAKOURIS/AP

się przeciwko wojnie. A, jak wiadomo, w Rosji zabronione jest nawet wypowiadanie słowa „wojna”.

W Cannes zajął pan wyraźne stanowisko przeciwko wojnie. Wcześniej nie – bo wiedział pan, że to będzie równoznaczne z bezterminowym wygnaniem?

– Nienawidzę słowa „emigracja”, bo jest tak ściśle związane z przeklętym XX wiekiem. Dziś żyjemy w świecie w ogromnej części złożonym z imigrantów i uchodźców, z ludzi uciekających z ojczyzny w poszukiwaniu szczęścia. Co do wojen prowadzonych przez putinowską Rosję: wypowiadałem się jednoznacznie przeciwko już podczas wojny w Gruzji.

W krótkim czasie nakręcił pan trzy filmy: „Lato” o radzieckiej scenie rockowej, „Rodzina Pietrowów ma grypę” o szalonej codzienności w dzisiejszej Rosji i „Żonę Czajkowskiego” o losach rosyjskiej kobiety w ostatnich dekadach XIX w. Jednocześnie miesiącami przebywał pan w areszcie domowym pod sfingowanymi zarzutami o defraudację. Jak da się pracować w takich okolicznościach?

– Nigdy nie kręciłem filmów w areszcie domowym, tylko je szlifowałem. W domu też można montować, potrzebne są tylko komputer i materiał filmowy. Zresztą z aresztu domowego nawet wystawiałem opery.

Kręcenie filmu w czasie sądowego procesu? Można czuć się twórczo wolnym czy stale pod presją władz?

– I tak czujemy presję każdego dnia, teraz z powodu wojny jest kolosalna. Ale czujemy presję nawet z powodu strachu przed zła-

paniem jakiejś nowej szalonej choroby, jak nie COVID-u, to jakieś ospy małpiej... Ciągłe się boimy i czujemy się uciskani. Ja jestem szczęściarzem, bo pracuję w sztuce, a tworzenie filmów i teatru to ulga, ucieczka od tych wszystkich lęków i stresu.

A może to właśnie presja działa inspirująco?

– Kręcenie filmów to intymny proces. Trzeba bardzo zbliżyć się do ludzi i siebie, spotkać się z własną duszą bez przeszkód, bez nikogo i niczego, co by przeszkadzało. To delikatny, kruchy proces. Nie ma tu miejsca na zewnętrzną presję, od niej artysta musi umieć się odseparować.

Często wychwala pan kulturę europejską jako źródło nadziei w mrocznych czasach. Czy kultura rosyjska do niej należy, czy może jest czymś innym?

– Mam wciąż nadzieję, że Rosjanie są Europejczykami. Kultura rosyjska jest częścią kultury europejskiej – bardzo wpływową częścią, nawiasem mówiąc, i odwrotnie, oczywiście. Chciałbym żyć w czasach bez tych wszystkich murów. Bo to wolność jest jednym z najważniejszych składników każdej kultury. Dzieło sztuki może powstać w strasznych okolicznościach – ale zawsze będzie to związane z indywidualnym pragnieniem wolności. Kultura rosyjska opowiada właśnie o kruchości życia. Wielka jej część traktuje o ludziach padających ofiarą prześladowań, walczących o prawdę lub sprawiedliwość. To naprawdę jest kultura, nie ideologia. Nie widzę sensu w bojkotowaniu rosyjskich artystów. Przecież to są ludzie, którzy mogą być mostem między nawet wrogimi cywilizacjami.

Czy Putin to rodzaj hiperreżysera, który wykorzystuje manipulacje, by narzucić światu swój spektakl, który ma aż nazbyt realne i straszne konsekwencje dla milionów, a może i miliardów ludzi?

– Propaganda Putina jest przeciwieństwem sztuki. Tyrani nienawidzą sztuki, bo sztuka pobudza ludzi do myślenia. Propaganda natomiast krzyczy: Zagłuszy nas! Zabij wroga! Propaganda jest obliczona na masy. Sztuka oznacza osobistą drogę jednostki. Dlatego ci ludzie na Kremlu nienawidzą niezależnego kina, teatru, wszystkiego, co konkuruje z nimi w walce o ludzkie dusze.

Istnieje jakaś przepaść pokoleniowa w Rosji? Młodzi wymykają się tej machinie propagandowej?

– Mój ojciec, który ma ponad 90 lat, jest mądrym człowiekiem. Myślę, że rozumie wszystko, co dzieje się tam, w rosyjskiej telewizji. A ma telewizor w każdym pokoju. Kiedy go odwiedzam, natychmiast je wszystkie wyłączam, bo dla mnie to jak promieniowanie radioaktywne, fatalnie wpływa na zdrowie, nie tylko psychiczne. Nie rozmawiamy zbyt wiele o polityce. Mój ojciec należy do przeszłości. On cały pochodzi z okresu sowieckiego. Zawsze mi powtarzał: „Nie mów tego, nie dotykaj tego, bądź cicho. Rób to, co uważasz, że musisz, ale nie udzielaj tyłu wywiadów”. Odpowiedziałem wtedy: „Słuchaj, moja praca jest z tym związana. Nie mogę robić tego, co robisz, nie rozmawiając z ludźmi”. Ojciec był chirurgiem. Uratował tysiące istnień ludzkich, na stole operacyjnym, w ciągu 50 lat pracy. Nikt nigdy nie umarł mu pod skalpelem. I on mógł to robić bez mówienia, po cichu. Ze mną jest inaczej. Ale o polityce wolimy nie gadać.

NASZA EUROPA

Pana nowy film opowie o Eduardzie Limonowie, pisarzu, później radykalnym prawniczym polityku. Co pana w nim interesuje?

– Zaczęliśmy to robić długo przed wojną. Film oparty jest na biografii, którą napisał Francuz Emmanuel Carrère. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego ludzie na Zachodzie tak bardzo interesują się Limonowem. Prawdopodobnie to wynika z braku informacji o tym, co dzieje się w Rosji, w głębi Rosji, w jej podświadomości. Teraz, z dzisiejszej perspektywy, Limonow wydaje się idealnym symbolem dzikiej Rosji. Był fantastycznym poetą, jednym z najlepszych z okresu radzieckiego i tużporadzieckiego. Jego poezja jest absolutnie wyrafinowana, czasem okrutna, ale w każdym razie ciekawa. A potem staje się politykiem, i to takim, który przewidział teraźniejszość. Jeśli chcesz zrozumieć, co dzieje się dziś z Rosją, powinienś zapoznać się z życiem Limonowa.

Limonow znany jest również ze swoich gejowskich eskapad – jest taka słynna scena w powieści „Fuck off, America” z 1976 r. Pana ostatni film „Żona Czajkowskiego” również poruszał ten temat. Jak reaguje na to rosyjskie społeczeństwo?
– Limonow, jak sądzę, nie był gejem, to był tylko pojedynczy eksces. I nie wiemy, czy stało się to w rzeczywistości, czy tylko w jego wyobraźni. Chodzi oczywiście o jeden z najbardziej wstrząsających dla Rosjan fragmentów w literaturze rosyjskiej, o spotkanie z czarnym facetem podczas nowojorskiej nocy. Czyli transgresja. Ale to nie jest najważniejsze w Limonowie. A „Żona Czajkowskiego” to też nie jest film o homoseksualizmie. To nie tak, że ja postanowiłem unikać tematu homoseksualizmu wielkiego kompozytora. Chodziło mi raczej o zburzenie innych, istotniejszych niż orientacja seksualna elementów stereotypowego obrazu. Jeśli będę chciał zrobić film o gejach, to go jeszcze zrobię.

Miałem świadomość, że władze będą mnie krytykować i nie chciały, żebym zrobił ten film. Z tego powodu ściśle trzymałem się tekstów, które zostały mi przekazane, postaci, epizodów, historii, a wszystko to jest udokumentowane. Nic nie pochodzi z wyobraźni. Jest to historia prawie jeden do jednego, na tyle, na ile to możliwe.

Pana filmy prześlizgują się z realizmu w surrealizm i z powrotem. To kojarzy się z Fellinim, a obecnie także z Sorrentino.
– Wymieniłbym jeszcze jedno nazwisko: Buñuel. Szkoda, że powoli się o nim zapomina. Czysty geniusz.

U Buñuela słońce świeci nieustannie. Z kolei w pana filmach wygląda to ponuro – w większości rozgrywają się w nocy, w deszczu lub mgle. Nie byłoby dziwne, gdyby nagle, jak w Gotham, pojawił się w nich Batman.
– Nie mogę udawać, że żyję we Włoszech pod lazurowym niebem. Całe życie w Rosji jest surrealistyczne. Jeśli wychowujesz się tam od najmłodszych lat, przyzwyczajasz się do tego. A kiedy przyjeżdżasz jako obcokrajowiec, 24 godziny na dobę zastanawiasz się: jakim cudem da się tu normalnie przeżyć?

Pana motto to: nie kłam i nie bój się. W czasach wojny trudniej jest się go trzymać?
– Trudniej? Dlaczego? Mówienie prawdy jest łatwe. Kłamstwo jest o wiele trudniejsze, bo trzeba pamiętać, kogo się okłamało i w jaki sposób.

A nie bać się – to przecież egocentryczne hasło, czyli w sam raz dla artysty. To najlepszy sposób, by przejść przez życie. To przywilej. Nie mówię oczywiście o sytuacji, kiedy na głowę spadają bomby lub jesteś poddawany presji politycznej, za wychylenie się grozi ci robienia i złamanie życia. Ja odnoszę się do robienia kina i teatru. Bać się tam – to nonsens. ●

WARTOŚCI W CZASIE WOJNY

Czy Biden sprzedał prawa człowieka za ropę?

A może humanitaryzm w polityce nie przystaje do obecnych czasów i nadaje się jedynie do ozdabiania przemówień?

Robert Stefanicki

Ubiegłotygodniowa wizyta Joego Bidena u saudyjskiego następcy tronu stanowiła jaskrawe zdenerwienie idealistycznych obietnic demokratycznego prezydenta z rzeczywistością. Arabia Saudyjska miała być dla Bidena „pariasem”, okazała się niezbędnym elementem amerykańskiego ładu. Waszyngton od dawna prosił Rijad o zwiększenie wydobycia ropy, co obniżyłoby ceny, zmniejszyło groźbę recesji w amerykańskiej gospodarce oraz niezadowolenie wyborców. Podczas jego wizyty Arabia zgodziła się zwiększyć wydobycie o 1 mln baryłek dziennie (z 12 do 13 mln) do 2027 r. Saudyjczycy twierdzą, że nie mają technicznych możliwości pompować więcej.

Następnego dnia cena ropy urosła o 5 proc. Tak więc trudno powiedzieć, że Biden sprzedał prawa człowieka za ropę – jeśli miał taki zamiar, to dał się okantować. Ropa nie była jedynym powodem spotkania z księciem Muhammadem, bardziej chodziło o powstrzymanie dryfu królestwa w stronę Chin i Rosji.

Biden sam się prosi o krytykę, bo w kontraście do poprzednika wkłada do swych przemówień sporą dawkę idealizmu. Dlatego jego zwycięstwo w 2020 r. budziło takie nadzieje.

„Po czterech latach z Trumpem, który był obojętny i często wrogo nastawiony do praw człowieka, wybór Bidena na prezydenta Stanów Zjednoczonych daje szansę na fundamentalną zmianę kursu”, pisał wówczas Kenneth Roth, dyrektor Human Rights Watch.

Szybko zapanowało rozczarowanie. „Biden – narzekał rok później Roth – objął urząd, obiecując politykę zagraniczną, która będzie kierować się prawami człowieka. Ale nadal sprzedawał broń do Egiptu, Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Izraela pomimo ich represyjnej polityki”.

Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich wytykała Bidenowi bezczynność na krajowym podwórku: niewdrażanie zobowiązań wynikających z przyjętych przez USA traktatów o prawach człowieka, brak inicjatyw dotyczących walki z rasizmem, ochrony demokracji, zniesienia kary śmierci i odejścia od nieproporcjonalnych wyroków.

Są to opinie sprzed wybuchu wojny w Ukrainie i globalnego kryzysu gospodarczego. Pokazuje to, że „pragmatyczny realizm” Bidena nie jest wymuszony nadzwyczajnymi okolicznościami.

Prawa człowieka jako idea mają krótką historię – zwykle liczy się ją od uchwalenia w ONZ Powszechnej Deklaracji w 1948 r. Jako praktyka – jeszcze krótszą. Do polityki zagranicznej USA pierwszy wprowadził je Jimmy Carter. W tamtym czasie było to postrzegane jako radykalny ruch, ale odtąd żaden prezydent praw człowieka jawnie nie odrzucił – nawet Donald Trump, choć czynami dowodził, że miał je za nic. Również każdy prezydent, nie wyłączając Cartera, składał je na ołtarzu innych priorytetów.

Za Billa Clintona NATO przeprowadziło pierwsze w historii „humanitarne” bombardowania Jugosławii atakującej Kosowo, nie-

jako w ramach zadośćuczynienia za bezczynność podczas czystek etnicznych w Bośni. Cel został osiągnięty, mimo to interwencje zbrojne w obronie praw człowieka się nie przyjęły – były kontrowersyjne z prawnego punktu widzenia, a ich skutki niejednoznaczne. Dla chińskich nacjonalistów zbombardowanie ambasady ChRL w Belgradzie – ich zdaniem celowe – do dziś pozostaje koronnym dowodem na podłość Zachodu. Udana pomoc powstańcom libijskim w obaleniu Muammara Kaddafiego była de facto początkiem dekady chaosu i wojny domowej.

George W. Bush w ramach „globalnej wojny z terroryzmem” usankcjonował tortury i więzienia poza systemem prawnym. Barack Obama godził się na bezprawne ataki z dronów, inwigilację i sprzedaż broni autokratom. Trump dodatkowo pozbawiał praw imigrantów, promował rasizm i obcinał fundusze na pomoc zagraniczną.

Tak jak mówienie o erze praw człowieka byłoby przesadą, tak trudno mówić o ich zmierzchu, czy tym bardziej o zdradzie lub sprzedaży ich przez przywódcę supermocarstwa. Uzasadnione jest co najwyżej rozczarowanie, a będzie ono tym większe, im bardziej manichejskie przyjmiemy podejście do świata

Oczekiwanie, że następny prezydent będzie idealistą, było, ogólnie mówiąc, idealistyczne. Zaangażowanie w prawa człowieka wymieniano jako jeden z filarów prezydentury Bidena u jej zarania. Do dziś jego dyplomatyczna agenda doczekała się innych ciekawych określeń, jak „pragmatyczny realizm” czy „polityka zagraniczna dla klasy średniej”.

Na marginesie: interesujące, jak zmieniło się pojęcie klasy średniej przez ostatnie ćwierć wieku, także w polskiej publicystyce. Kiedyś była to warstwa, do której się aspirowało wykształceniem i pracą, dziś to prawie to samo co naród, minus bezdomni i bogaci przedsiębiorcy. Nie wyklucza z niej życie z pomocy społecznej. 25 lat temu polityka dla klasy średniej byłaby rozumiana jako „nie dla biednych”, dziś oznacza: „nie dla bogatych”.

A polityka zagraniczna USA? Pozbawiona trumpowego cynizmu, ale i nadmiernego idealizmu, mająca na względzie stan kont obywateli amerykańskich. Coś dla każdego. Biden dla realistów przeciwstawił się Chinom, dla liberalnych internacjonalistów ponownie zaangażował USA w globalne instytucje, dla izolacjonistów zakończył wojnę w Afganistanie, a dla działaczy na rzecz demokracji i praw człowieka zaostrzył zarówno retorykę, jak i działania wobec reżimów uznanych za wrogie (Chin, Rosji), lub, przeciwnie, mało ważne (Etiopii).

Agresja na Ukrainę nie zmieniła tego zasadniczo. I wcześniej wielu analityków twierdziło, że prawdziwą doktryną Bidena jest zachowanie i udowodnienie całemu światu „wyższości demokracji”.



Tu dotykamy problemu nieistnienia obiektywnej miary do oceny zaangażowania w obronę praw człowieka. Dla przykładu: czy podpada pod nią wysyłka broni Ukrainie? Na zdrowy rozum tak – wszak umożliwia walkę z agresorem, który łamie prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa Ukraińców (art. 3 Powszechnej Deklaracji). Jednak teoria praw człowieka skupia się na relacjach człowiek – władza. „Prawa człowieka odgrywają rolę tarczy, która ma chronić jednostkę, a zwłaszcza jej wolność, przed państwem”, pisał Wiktor Osiatyński.

Tak jak mówienie o erze praw człowieka byłoby przesadą, tak trudno mówić o ich zmierzchu, czy tym bardziej o zdradzie ich przez przywódcę supermocarstwa. Uzasadnione jest co najwyżej rozczarowanie, a będzie ono tym większe, im bardziej manichejskie przyjmiemy podejście do świata.

Nie warto również popadać w cynizm – czy hiperrealizm – twierdząc, że o prawach człowieka nie ma co gadać, bo liczą się interesy narodowe. Uznanie koncepcji praw człowieka jest ważnym kryterium odróżniającym „nas” od „nich” – cywilizację demokratyczną od autokratycznej. Wojna na Ukrainie to uwydatniła. Można się zżymać, słysząc Bidena deklarującego budowę „koalicji demokracji” i liczącego, że dołączą do niej Turcja z Arabią Saudyjską, ale lamenty na hipokryzję USA to zdarta płyta. Hipokryzja była zawsze nieodłączną częścią polityki i można sobie jedynie podyskutować, kto jest większym hipokrytą: Biden czy Putin.

Ruch praw człowieka ma wiekopomne osiągnięcia. Doprowadził do trzech powiązanych ze sobą rewolucji w prawodawstwie, rzecznictwie i egzekwowaniu prawa. Powstał Międzynarodowy Trybunał Karny – cóż, że jest w stanie osądzić tylko zbrodniarzy z mniej istotnych krajów, niemających silnego sojusznika. Uprzywilejowanie mocarstw jest grzechem pierworodnym całego ładu światowego.

Unia Europejska wprowadziła wiele legislacji uwzględniających prawa człowieka, ostatnio także wobec polskiego rządu. Owszem, można jej też wytknąć wiele opustek, ustępstw na rzecz interesów ekonomicznych i politycznych.

Specjalnością Ameryki są sankcje mające zwiększać izolację reżimów. Czasem te sankcje naprawdę działają, np. skłoniły Iran do porozumienia nuklearnego w 2015 r. Świeższy, nieznanym przykład: po uchwaleniu przez USA w grudniu 2021 r. sankcji na RAB, paramilitarną bojówkę rządu Bangladeszu, liczba zabójstw pozasądowych w jej wykonaniu spadła do zera, bo elity rządzące nie chciały stracić możliwości wysyłania dzieci na amerykańskie uniwersytety.

Komu się nie podoba, jest alternatywa. W kwietniu Xi Jinping ogłosił zarys nowego porządku światowego w ramach Inicjatywy Globalnego Bezpieczeństwa, którą można nazwać „manifestem autokratów”. Jednym z jej kluczowych założeń jest sprzeciw wobec „jednostronnych” sankcji czy „poszazowanie suwerenności i integralności terytorialnej wszystkich krajów” (tzn. zgoda na przejęcie Tajwanu przez Chiny). Inną zasadą ma być „nieingerencja w sprawy wewnętrzne”, jako sposób na uciszenie krytyki dotyczącej prześladowań Ujgurów lub demokratów z Hongkongu. W ten sposób „poszazowanie niezależnych wyborów ścieżek rozwoju i systemów społecznych dokonywane przez ludzi w różnych krajach” daje autokracji taką samą legitymację jak demokracji. ●

PREMIER, KTÓRY (CHYBA) DOTRZYMUJE SŁOWA

Prawdopodobnie jedyny Izraelczyk, któremu udało się zjednoczyć PiS, ziobrystów, Konfederację i Czarzastego.

Paweł Smoleński

L darza mu się szybciej mówić, niż myśleć. Później idzie po rozum do głowy (nie ma wątpliwości, że jest bardzo inteligentny, zdolny i bystry), lecz zanim dojdzie, wybiera ścieżki popłatane, zamiast po prostu powiedzieć „przepraszam”.

W Izraelu był znany od dziesięcioleci jako dziennikarz, aktor, anchorman prowadzący programy telewizyjne, wreszcie polityk. W Polsce pies z kulawą nogą nie wiedział, kim jest Ja'ir Lapid, póki w 2018 r. narodowa prawica nie zapragnęła po swojemu znowelizować ustawy o IPN. Wymyślił to w Ministerstwie Sprawiedliwości Patryk Jaki, podówczas resortowy hatakumba Ziobry, a dziś europosel, a w Sejmie sprawozdawał Tomasz Rzymkowski, kiedyś hasający wokół nacjonalistycznego ruchu narodowego i Kukiza, a dzisiaj wice-Czarnek.

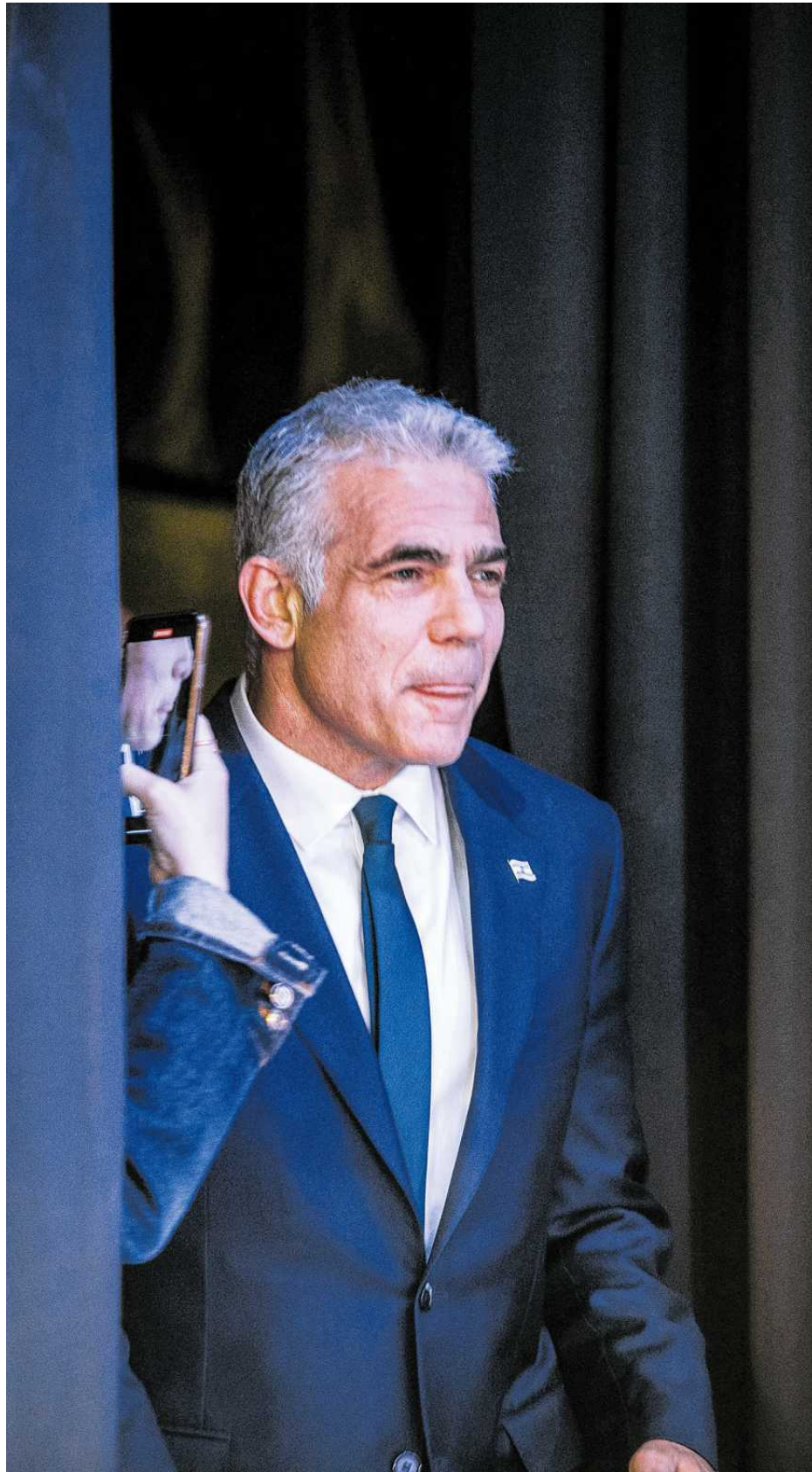
Ich gniot zakładał, poza innymi idiotyzmami, że Jaki i Rzymkowski zamierzają wsadzać do kryminału nawet na trzy lata każdego, kto powie, że naród polski ma cokolwiek za uszami, np. w sprawie Żydów, antysemityzmu czy szmalcownictwa. Ustawa przeszła przez Sejm i Senat. Zatwierdził Andrzej Duda, będący akurat na etapie podpisywania jak leci. Na świecie, od Izraela przez Europę po USA, rozpętała się burza.

Lapid tuż po nowelizacji wyskoczył z tweetem o „polskich obozach koncentracyjnych” oraz że jego babka została zamordowana w Polsce przez Niemców i Polaków. „Całkowicie potępiam nowe polskie prawo, które próbuje zaprzeczyć polskiemu współudziałowi w Holokauście. Zostało stworzone w Niemczech, ale setki tysięcy Żydów zostało zamordowanych bez spotkania z niemieckim żołnierzem”.

Babcia była wyssana z palca. Przodkowie Lapida byli węgierskimi Żydami z Wojewodiny i Siedmiogrodu, dzisiaj w Serbii i w Rumunii. Jest wielce prawdopodobne, że na wojennej drodze nie spotkali ani jednego Polaka. Jeden z dziadków, Bela Lampel, zginął w Mauthausen, wywieziony z getta w Budapeszcie, a prababcię Hermionę Lampel zamordowano w Auschwitz, gdzie Polacy nie obsługiwali komór gazowych. Szybko odkryto, że Lapid nagina rzeczywistość, a w sprawie „polskich obozów koncentracyjnych” popisał się elementarnym brakiem wiedzy i przyzwoitości.

Co tam – Lapid brnie dalej. Napomniany przez polską ambasadę w Tel Awiwie („Twoje nie do przyjęcia twierdzenia pokazują, jak bardzo edukacja o Holokauście jest potrzebna, nawet tu, w Izraelu”) znów wraca do babci „zamordowanej przez Niemców i Polaków”, lecz prawdziwie dodaje, że Zagłada jest cały czas wpisana w pamięć zbiorową Żydów i Izraela. Sugeruje też, jakoby Niemcy budowali obozy śmierci w Polsce ze względu na antysemityzm Polaków, a nie dlatego, że tu mieszkali najwięcej europejskich Żydów.

Lecz nawet gdyby wycofał się rakiem i przeprosił, mleko się rozlało. W Izraelu zajmowano się jednak nie Lapidem, ale polską ustawą. Nawet Ahmad Tibi, na-



FOT. ILIA YEFIMOVICH/AP

cjonalistyczny arabski poseł do Knesetu, oświadczył: „Proponuję polskiemu rządowi szybkie anulowanie jego haniebnej decyzji. Przepisywanie historii nigdy nie jest czynem godnym. Nigdy”.

Byłem w Izraelu jakiś czas po aferze ustawowej, gdy władza już wycofała się z kompromitującej nowelizacji. Siłą rzeczy podpytywałem o Lapida. Na pomysłach Jakiego i spółki od narodowej sprawiedliwości nikt – Arab czy Żyd – nie zostawił suchej nitki. Morawiecki płamy z „żydowskimi sprawcami” Holokaustu nigdy z siebie nie zetrze. Mówił mi Sever Plocker, izraelski publicysta o polskich korzeniach: „My, Izraelczycy, jesteśmy po prostu zdziwieni. Przecież tu nikt nie używał sformułowania

„polskie obozy koncentracyjne”, bo kto jak kto, ale Żydzi wiedzą, kto wymyślił ostateczne rozwiązanie, Treblinkę i kto stał na wieżyczkach strażniczych. Nawet te dzieciaki, które jeżdżą do Polski składać hołd zamordowanym w obozach, wiedzą, że jadą do obozów nazistowskich, niemieckich. Pójdzie prosty przekaz: że Polska chce karać ludzi ocalonych z Holokaustu mówiących o winie niektórych Polaków w stosunku do Żydów przed 70 laty. Tak głupio sobie zaszkodzić to trzeba umieć”.

Plocker dodawał: „Dzisiaj w Izraelu arabscy komuniści, arabscy politycy dążący do jedności świeckich Arabów i skrajnych islamistów, arabskie bloki nacjonalistyczne i muzułmańskie, żydowskie cen-

trum polityczne, religijna i nacjonalistyczna izraelska prawica, resztki lewicy – wszyscy razem są oburzeni tą polską ustawą. Zjednoczyliście Izrael. Zamienić wodę w wino to nic w porównaniu z tym, co zrobiła ta ustawa”.

Ale zaznaczał, że – przed pandemią – z Polski do Izraela i w drugą stronę lata po kilka samolotów dziennie, Polska jest dla Izraelczyków jednym z najważniejszych kierunków wycieczkowych. Nie tylko dla tych, którzy jeżdżą do ziemi przodków albo pokłonić się popiołom pomordowanych rodzin. Żydzi pochodzący z Jemenu, Maroka, Iraku wracali z Polski zachwyceni.

Lapid nie stał się bohaterem zbiorowej wyobraźni ze względu na antypolskie bajki. Nie spotkałem się z ani jednym człowiekiem, który uważałby jego oszukańcze wywody za prawdę objawioną. Wielu diagnozowało, że Lapid stał się ofiarą antypolskiego bzika, ułomności w Izraelu raczej nieczęstej.

Urodził się w 1963 r. w Tel Awiwie. Niektórzy mówią, że wziął imię od pseudonimu Abrama Sterna, urodzonego w Suwałkach poety i terrorysty, szefa radykalnej bojówki Lehi walczącej o niepodległość Izraela; węgierska społeczność była w części niezwykle prawicowa. Matka Ja'ira, Szulamit, była wielokrotnie nagradzaną pisarką i autorką sztuk teatralnych. Ojciec Yosef (nazywano go Tommy, od serbskiego imienia Tomislav) został uratowany z budapeszteńskiego getta przez Raoulą Wallenberga, szwedzkiego dyplomatę i Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, zamordowanego po wojnie przez Sowietów. Tommy był wpływowym publicystą, pisał w gazecie „Maariv”, w radu prowadził popularny program „Politika”. Posłował do Knesetu ze świeckiej, prawicowej partii Shinui (Zmiana), a w rządzie Ariela Szarona, który wycofał izraelskich osadników ze Strefy Gazy, był ministrem sprawiedliwości. Zasiadał w radzie Instytutu Yad Vashem.

Moi izraelscy znajomi mówią, że Ja'ir to przypadek jakoś podobny do Bibiego Netanjahu, wieloletniego byłego premiera Izraela, którego odsunął od władzy. Bibi za wszelką cenę chciał zasłużyć na dobre oceny ojca, Benziona, historyka i działacza nacjonalistycznej izraelskiej prawicy. Wzorcem Ja'ira był zawsze Tommy.

Uczył się w szkole ogólnokształcącej w Hercliji. Nie przystąpił do matury ze względu na dysleksję, którą wówczas uważano za objaw lenistwa i chuligaństwa. W 2012 r., mimo braku świadectwa maturalnego, próbował dostać się na studia doktoranckie Uniwersytetu Bar Ilan. Sprawie przyjrzał się Kneset i ostatecznie Lapid doktorem nie został. Za to w kolejnym roku „The Jerusalem Post” wybrał go na najbardziej wpływowego Żyda na świecie, przed szefem administracji Obamy i sekretarzem skarbu USA Jackiem Lewem, premierem Netanjahu, prezydentem Izraela Szymonem Peresem czy założycielem Google'a Siergiejem Brinem. Był wówczas politycznym nowicjuszem, ledwie ministrem finansów w rządzie Bibiego.

Podczas służby wojskowej pracował dla wojskowego tygodnika „Ba Mahaneh”; nie

służył w mundurze ze względu na astmę. Później pisał w lokalnej gazecie w Tel Awiwie, w „Maariv” (naczelnym był jego ojciec) i w „Jedijot Achronot”. Nadtytuł swoich popularnych felietonów „Gdzie są pieniądze” zamienił w polityczny slogan.

Grał w filmach, w tym izraelskim kandydacie do Oscara „Za morzem”. Pisał książki, sztuki teatralne, teksty piosenek, a nawet muzykę. Boksował (jego idolem jest Muhammad Ali, ma rękawice z jego podpisem), ćwiczył karate. Był jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci izraelskiej telewizji, gdzie w kilku kanałach prowadził polityczny talk-show. Gdy odchodził na pełny etat do polityki, zakładając centroprawicową partię Jesz Atid (Jest Przyszłość), „Forbes” wycenił jego majątek na 22 miliony szekli; na dzisiejsze – blisko 30 mln zł. Mówił wtedy z emfazą, że skoro izraelska demokracja koroduje pod rządami Likudu i Bibiego, poświęcenie się zarabianiu kasy jest niemoralne. Od początku nie ukrywał, że chce być premierem.

Jesz Atid powstała z niczego, a glebą, na której wyrosła, było niezadowolenie izraelskiej klasy średniej z antyliberalnego populizmu Netanjahu; lewica już dawno była w odstawce. W kampanii 2013 roku przejechał 30 tys. kilometrów, dystans wart zestawienia z rozmiarami Izraela, powtarzając, że „to, co dobre dla Izraela, nie należy na wyłączność do prawicy lub lewicy”. Przez komentatorów został uznany za nowocześnie go lidera, bo sprawnie poruszał się w mediach społecznościowych, a do polityki wprowadził elementy show. Lecz jego doświadczenie oceniono na poziom przedszkola.

Postulował wznowienie negocjacji z Palestyńczykami, które powinny doprowadzić do całkowitego rozvodu z Autonomią, przy zachowaniu po arabskiej stronie granicy największych żydowskich osiedli i praw wojska wynikających z potrzeb bezpieczeństwa Izraela. Trudno wytłumaczyć na konkretach, co miał na myśli. Był za atakami na irańskie instalacje nuklearne. Żądał obowiązkowej służby wojskowej dla ultraortodoksów, co w kraju, gdzie wszyscy służą w wojsku, było i jest postulatem równościowym. W tym samym czasie flirtował z umiarkowanymi rabinami. Rządził i rządził partią jak dyktator. Niektórzy oceniali, że choć walczył z populizmem Netanjahu, sam jest populistą, lecz nie dla nacjonalistów i Żydów orientalnych, ale dla świeckiego centrum.

W 2013 r. Jesz Atid zdobyła 19 foteli i okazała się drugą największą partią w Knesecie. Zwycięski Netanjahu dał Ja’irowi fotel ministra finansów, a ten – krytyk Bibiego, co dało mu miejsce w polityce – ofertę przyjął. Netanjahu wywalił go po kilkunastu miesiącach; sondaże wskazywały, że poparcie dla Jesz Atid spada na łeb na szyję. Sprawdzian wyborczy w 2015 r. przyniósł rację badaniom. Partia Lapid zdobyła 11 mandatów i przeszła do opozycji.

W 2019 zaczął się maraton wyborczy. Ja’ir współtworzy koalicję Kachol Lawan (Niebiesko-Biali). Jej liderem jest były generał Beni Ganc, a trzecim tenorem generał Mosze Ja’alon, były dowódca sił specjalnych i całej armii. O jeden fotel wygrywają z Likudem, lecz to za mało, by stworzyć koalicję.

Ale Netanjahu też marnie się wiedzie, więc po pięciu miesiącach jest kolejna elekcja: Kachol Lawan remisuje z Likudem 35 do 35. Pat pogłębia się, więc w marcu 2020 znów głosowanie: 36 do 33 dla Likudu. Generał Ganc dogaduje się z Bibim na przekór pozostałym sojusznikom. Niebiesko-biała koalicja nie ma już sensu, ale Bibi siedzi na politycznej zjeżdżalni oskarżany o kilka spraw korupcyjnych. I znów wybory w marcu 2021. Likud ma 30 foteli, ale żadnych widoków na koalicję rządową. Jesz Atid Lapid – 17.

Ja’ir podejmuje największą grę politycznego życia. Jest głównym architektem koalicji łączącej ogień z wodą, której jedynym celem jest odsunięcie Netanjahu i postawienie go przed sądem. Klei lewicę i pra-

wicę, religijnych i świeckich, a nawet islamistów; to pierwszy raz, gdy izraelscy Arabowie wkraczają na najwyższe polityczne salony. Więcej – aby osiągnąć cel, Lapid musi przytemperować własne ego. Oznajmia prezydentowi Reuwenowi Rywlinowi, że dysponuje wątlutką większością i usuwa się niejako w cień. Premierem zostanie Naftali Bennett z bardzo nacjonalistycznej i prawicowej, religijnej listy Jamina (Na Prawo). Lapid zgadza się na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Premierem – wedle umowy – ma zostać po dwóch latach. Wcześniej niewielu wierzyło, że jest zdolny do takich ustępstw.

Kiedy Lapid układa izraelskie klocki, wraca do niego Polska. W połowie 2021 r. Sejm przy niemal pewnym konsensusie przyjmuje nowelę ustawy o postępowaniu administracyjnym mającą zapobiec tzw. złodziejskiej reprivatyzacji. Stoi za nią uzasadniony interes: trzeba uprządkować prawo dotyczące przywracania zrabowanej przez hitlerowców i komunistów prywatnej własności.

Lecz w noweli można dostrzec, że próbuje ograniczać majątkowe prawa Żydów (choć nie tylko) po zamordowanych przodkach. Tak to wygląda, zwłaszcza po awanturze o IPN. Międzynarodowa reputacja Polski jest nadzwyczaj licha, a nasze możliwości dyplomatyczne oglądają dno od spodu. Przeciwno noweli protestują Stany Zjednoczone i Izrael. Może wyolbrzymiają, szukają dziury w całym, lecz po niedawnych doświadczeniach mają prawo obawiać się nierzetelności polskiego rządu.

Wypowiada się również Ja’ir, już minister spraw zagranicznych. „Jest to straszliwa niesprawiedliwość i hańba, która krzywdzi prawa ocalałych z Holokaustu, ich spadkobierców i członków społeczności żydowskich, które istniały w Polsce przez setki lat. To niemoralne prawo poważnie zaszkodzi stosunkom między krajami. Państwo Izrael stanie jako mur ochronny w obronie pamięci o Holokauście, a także w obronie honoru ocalałych z Holokaustu i ich własności”.

Rychło dostaje odpowiedź. Wedle posła Janusza Kowalskiego od Ziobry Lapid powinien być w Polsce persona non grata. Wedle Krzysztofa Bosaka od konfederatów, nacjonalistów, to antypolska agresja: „bezcelność strony izraelskiej pokazuje, że oni sobie w ten sposób z Polską dali spokój. (...) oni wiedzą, że tutaj nic nie załatwią”. Kamil Bortniczuk (Zjednoczona Prawica) obwieści, że antypolonizm jest jednym z filarów izraelskiego rządu, a Lapid szuka sobie nowych wyborców. Zgorszył się „niedopuszczalnością wypowiedzi” Lapidu Piotr Zgorzelski z PSL. Włodzimierz Czarzasty poczuł się obrażony jako Polak i przestrzegł, że Żydzi mają w USA tradycyjnie wpływowe lobby. W owym czasie polscy politycy żarli się o wszystko. A tu postanowili się zjednoczyć. Z drugiej strony podobnie – protest sygnowały wszystkie partie w Knesecie, wyłączając islamistów.

Lapid bezterminowo wycofuje z Warszawy najwyższą rangą dyplomatkę Izraela. Polskiemu ambasadorowi doradza, by po wakacjach nie wracał do Tel Awiwu. Stosunki Izrael – Polska już dawno nie były tak złe. W „Wyborczej” Dawid Warszawski pisze: „W samym Izraelu stracimy to, co się udało zbudować. Natomiast dla większości Izraelczyków taki bieg wydarzeń będzie jedynie potwierdzeniem podejrzeń o zawartości mleka polskiej matki, w które propolscy Żydzi kazali innym Izraelczykom nie wierzyć. Inaczej niż antysemityzm w Polsce antypolskie uprzedzenia w Izraelu nie mają jednak wielkiej politycznej nośności. Przy braku przekonania, że Polacy chcą Izraelczyków obrabować (już to zrobili, i to z nim Izraelczycy byli Izraelczycami), albo że zabijają żydowskie dzieci na oplatki, i przy istnieniu realnego wroga tuż za miedzą, potępienie Warszawy jedynie chwilowo zjednoczyło siły polityczne”.

Pamiętajmy – to lato ubiegłego roku. Bibi Netanjahu jest w odstawce, ale nie złożył broni. I to najbardziej zajmuje Izraelczyków oraz Lapid.

Wisienką na torcie jest potwierdzenie wstrzymania przez izraelską stronę młodzieżowych wycieczek do Polski szlakiem obozów śmierci, ale też bardzo często żydowskiej kultury. W początku 2020 r. przyczyną był koronawirus. I choć dzisiaj przepisy pandemiczne obu krajów pozwalają na takie wyjazdy, zakaz – firmowany przez izraelski resort edukacji i Lapid – obowiązuje nadal. Polska reakcja, również na szczeblu rządowym, jest z gatunku ipeenowsko-majątkowych. Wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński zauważył, że polska władza winna mieć wpływ na treści przekazywane np. w Treblince młodym Izraelczykom i że wycieczki chronią uzbrojeni funkcjonariusze służb, co sugeruje, że w Polsce coś Żydom grozi. Drugie jest kłamstwem, pierwsze – niedorzecznością, ale spodobało się, co widać po komentarzach w sieci. A Lapid po swoim i akurat do rzeczy: nie będą Polacy mówić nam, jak mamy uczyć dzieci o Zagładzie.

Tyle że sytuacja jest znów inna niż chwilę temu. Stosunki dyplomatyczne na poziomie ambasad podskoczyły do właściwego poziomu. A Lapid został tymczasowym premierem i co innego tak naprawdę go obchodzi.

Najbardziej egzotyczna i jako przełomowa – udział Arabów – koalicja w historii Izraela upadła, gdy poparcie dla rządu wycofała deputowana od religijnych nacjonalistów Naftalego Bennetta, a nieco później podobnie postąpiła arabska posłanka z lewicowego, żydowsko-arabskiego Merecu. Ster tymczasowego rządu przypadł Lapidowi, a niedawny premier Bennett oświadczył, że w listopadowych wyborach udziału nie weźmie. Co zaś stanie się w listopadzie, nie wie nawet prorok Elias.

W Izraelu nadszedł czas podsumowań. Właściwie nie słychać sporu, tylko zgodny chór. Tak więc – Lapid to polityk w rodzaju

Wołodymyra Zelenskiego, choć różne stoją przed nimi wyzwania i różnie wdrapali się na szczyt.

– Jego historia nie jest tak dramatyczna i bohatera jak prezydenta Ukrainy – mówi pisarz Etgar Keret. – Przystojny publicysta i prowadzący talk-show przechodzi do polityki. Na początku postrzegano go jako amatora, próżną gwiazdę, która myśli, że polityka przyjmie go i rozpieści jak show-biznes, ale tego nie doczeka, bo wkrótce zostanie znokautowany. Jednak w ostatnim roku Lapid poradził sobie ze wszystkimi atakami skrajnej prawicy i Netanjahu. Umiał pokazać izraelskiej opinii publicznej alternatywę dla nienawistnej dychotomii prawica-lewica, którą Netanjahu uprawiał przez ostatnie 20 lat.

– Gdy oddał premierostwo Bennettowi, pokazał, że ma polityczny instynkt – mówi Uri Huppert, dziennikarz i prawnik znający Ja’ira od kołyski, bo współpracował i kumpłował się z jego ojcem. – Uważałem, że jak dzieciak zagubi się w politycznej mgłę, nie miał żadnych doświadczeń w takich grach. Nie miałem racji i jestem bardzo zadowolony.

Karol Becker, tłumacz: – Zrobił coś, czego się nie spodziewałem. Wyglądał na gościa, który umie pływać od mediów do biznesu, od biznesu do polityki, i znów, i jeszcze raz, jak wielu dzisiejszych liderów. Umie nie tylko wyglądać do kamery, ale wie, o co mu chodzi, i raczej nie chodzi mu tylko o siebie.

Co będzie dalej? – choć to pytanie za trudne nawet dla proroków.

Keret: – W nadchodzących wyborach zostanie potraktowany bardziej poważnie i po raz pierwszy izraelska opinia publiczna będzie postrzegać go jako uzasadnioną alternatywę dla przywództwa w stylu Bibi, antydemokratycznego, oszukańczego, demagogicznego. Prawica nadal będzie go nienawidzić, ale pokazując dojrzałość w ostatnim rządzie, zyskał przynajmniej szacunek i zaufanie części zwolenników lewicy. Centrum już chyba zdobył.

Huppert: – Przez ostatni rok bardzo szybko się rozwijał. To zawsze jakaś podstawa do nadziei.

Beker: – Martwią mnie uniki Lapid przed zajęciem stanowiska w najważniejszej sprawie, czyli konfliktu z Palestyńczykami, a od tego zależy przyszłość. Niby rzecz raz wybucha, raz przycicha, ale definiuje nas od początku istnienia państwa. Zdaje mi się, że Lapid uległ Bennettowi, który przekonał go, że skoro Izrael jest silny i zamożny, to konflikt jest tylko palestyńskim problemem. Możemy dogadać się oficjalnie z Saudami, jak zrobiliśmy to z innymi Arabami w Porozumieniach Abrahamowych. Lecz bez rozwiązania spraw palestyńskich to cały czas będzie erzac prawdziwego pokoju.

Premier Lapid już dzwonił do prezydenta Autonomii Palestyńskiej Abu Mazena. Z prawej strony został skrzyzczany. Z lewej uznano, że powinien spotkać się face to face. ●

Etgar Keret: Na początku postrzegano go jako amatora, próżną gwiazdę, która wkrótce zostanie znokautowana. Jednak Lapid poradził sobie ze wszystkimi atakami skrajnej prawicy i Netanjahu, pokazał alternatywę dla nienawistnej dychotomii prawica-lewica

Stieg Larsson był przedstawiany jako świętość, a mnie nazywano pasożytem, hieną cmentarną.

Z **DAVIDEM LAGERCRANTZEM**, SZWEDZKIM PISARZEM, AUTOREM KRYMINALNEJ KONTYNUACJI „MILLENNIUM”, ROZMAWIA **KATARZYNA TUBYLEWICZ**

Jeśli spytasz mnie, czy tu, na Östermalm, czuję się jak w domu, odpowiem, że nigdzie się tak nie czuję – mówi ze smutkiem w oczach bestsellerowy pisarz wywodzący się ze starego, arystokratycznego rodu szwedzkiego (jednego z 657, które znajdują się w rejestrze Domu Rycerstwa w Sztokholmie). – Zawsze czuję się wykluczony, ale moje poczucie nieprzynależności daje mi siłę w pisaniu.

Ma taki zwyczaj, że każde zdanie kończy uśmiechem. Nawet jeśli mówi o rzeczach bolesnych. Może jest miły, może to jego profesjonalizm i obycie z mediami albo jeden z elementów wychowania wyższych klas. Szwedzi z arystokratycznych rodzin są zawsze bardzo sympatyczni i grzeczni. Taki mają styl.

Inna rzecz, że ojciec Davida Lagercrantza, legendarny lewicowy intelektualista, krytyk literacki i wieloletni redaktor naczelny dziennika „Dagens Nyheter”, miał problem z pochodzeniem z warstwy bardzo uprzywilejowanej.

– Na pewno nie będziemy mieszkać na Östermalm i biegać na ich śluby i przyjęcia – mówił, mieszkali więc z żoną i dziećmi w szaroburej dzielnicy Solna.

Jego syn, który na trzech tomach kontynuacji „Millennium” Stiega Larssona zarobił 100 milionów koron, a wcześniej w samej Szwecji sprzedał ponad 2 miliony książek o Złotanie Ibrahimowi („Ja, Ibra”), przeniósł się z rodziną z artystycznego Södermalm do burżuazyjnego Östermalm. Jest bowiem tak, że w egalitarnej Szwecji każda dzielnica miasta to szuflada, w której mieszka określony typ ludzi. Lagercrantz mieszka dziś w szufladzie dla najbardziej uprzywilejowanych, dwa kroki od zielonej oazy Djurgården, na ulicy Lovisagatan. Adres można podać, bo jak wszystkie inne szwedzkie adresy jest dostępny w internecie, miasta szwedzkie mogą sobie być rozwarstwione i posegregowane, ale dostępność informacji na temat ludzkiej prywatności dotyczy wszystkich.

O takim mieszkaniu, jak to mówi się po szwedzku, że to våning – piętro, ma 340 metrów kwadratowych. Jest urządzone z niesamowitym smakiem, dopracowane w każdym szczególe.

– Czy jesteś szczęśliwy? – pytam w pewnym momencie, podziwiając świetne obrazy na ścianach salonu i zastanawiając się, jakie to uczucie sprzedać prawa do nowej powieści do ponad 20 krajów w momencie, gdy powieść nie liczy jeszcze nawet jednej strony.

– Nie – ucina i rzuca przekleństwo, którego nie przetłumaczę, bo w polskiej wersji byłoby nie-

zbyt eleganckie. Potem się szeroko uśmiecha.

– Interesuję się różnymi naukowymi ciekawostkami – mówi w końcu – i ostatnio wyczytałem, że nie zostaliśmy genetycznie zaprogramowani do szczęścia. Gdybyśmy byli szczęśliwi i nie czuli niepokoju, to źle by się to dla nas skończyło. Zbyt często narażalibyśmy się na niebezpieczeństwa. Szczęście przychodzi w małych dawkach.

Być może Lagercrantz, podobnie jak stworzony przez niego bohater Hans Rekke z nowej powieści „Człowiek, który wyszedł z mroku” (to ta, do której prawa sprzedał, zanim powstała), jest po prostu zbyt uważnym obserwatorem i widzi zawsze to, co pod spodem, i to, co mniej ładne.

– Wyższe klasy w Szwecji zawsze stosowały wyrafinowane sposoby na to, by podkreślić swoje uprzywilejowanie i pozycję – tłumaczy. – Mieszkańcy Östermalm mają na przykład wielką łatwość prawienia komplementów, chwalenia. Skomplementuj cię, zanim zdążysz się odezwać. Możesz więc mieć wrażenie, że są mili i kontaktowi, a chodzi o to, że w tym samym momencie, w którym cię chwala, zyskują przewagę nad tobą. Pokazują, że są bywali w świecie, mają towarzyskie obycie i czują się pewni siebie. To są niewidzialne, acz obowiązujące i dla nich zrozumiałe kody.

Szwecja jest ich pełna.

– Jest w znacznie większym stopniu społeczeństwem klasowym, niż sama chce się do tego przyznać. Kiedyś było tu zresztą ważne, żeby się nie wyróżniać, nie podkreślać swojego statusu. Jednak w ostatnim czasie Szwecja dzieli się, dokładnie tak jak reszta świata. Fakt, że kraj przez wiele lat rządów socjaldemokracji był bardzo egalitarny i obowiązywała zasada niewychodzenia przed szereg, zrodził tym większą potrzebę, by właśnie to robić. Dlatego teraz różnice rosną w zastraszającym tempie, to tykająca bomba.

Andreas Cervenka, autor książki „Chciwa Szwecja”, twierdzi, że istnieje dziś na świecie zaledwie 11 krajów o większych nierównościach ekonomicznych niż Szwecja i że od końca lat 90. przeciętna cena metra kwadratowego mieszkania wzrosła tu o 800 procent.

– Niestety. Do tego doszedł duży napływ imigrantów, który na dał różnicom klasowym nowe wymiary i jeszcze zwiększył segregację. A generalnie wiemy, że im większe różnice w społeczeństwie, tym gorzej ludzie się w nim czują. Rośnie też złość. Martwi mnie to ze względów politycznych, ale interesuje w wymiarze psychologicznym. Na przykład co się dzieje, gdy spotykają się ludzie pochodzący z zupełnie innych klas społecznych.

Tak jak twoi bohaterowie: Micaela Vargas z imigranckiego przedmieścia i Hans Rekke z będącego synonimem luksusu, willowego Djursholmu. Ona musiała o wszystko walczyć, on wszystko dostał, a kiedy nadchodzi chwila, w której Micaela dostrzeżę, jak bardzo Hans nie docenia tego, co ma, czuje najpierw złość.

FOT. CARLOS LUJÁN/AP



– Sam przez całe życie doświadczałem wściekłości innych spowodowanej moim pochodzeniem, moim uprzywilejowaniem. Zamiast reagować na to agresją, zacząłem się tym interesować. W nowej powieści pokazuję, że ludziom może się wydawać, że różnią się diametralnie, bo pochodzą z innych światów, ale jeśli przebie się mur pozorów, okazuje się, że mają ze sobą wiele wspólnego. Takie było moje własne doświadczenie ze Zlatanem Ibrahimovićem, który wychował się w imigranckim Rosengård w Malmö. Był to świat, o którym nie miałem pojęcia, ale w Złatanie szybko zacząłem widzieć siebie. Odnajdywałem się w jego poczuciu wyobcowania, widziałem siebie w jego chęci bycia dostrzeżonym i docenionym przez ojca, w jego poczuciu, że jest nie na miejscu, nie pasuje. Pisząc nową powieść, robiłem dokumentację na imigranckim przedmieściu Sztokholmu Husby. Cały czas próbuję zrozumieć, jak to wpływa na człowieka, że pochodzi z takiego miejsca. Wygląda na to, że nie można się tego pozbyć, to jakby druga skóra. Zlatan powiedział kiedyś takie słynne zdanie: „Możesz zabrać chłopaka z Rosengård, ale nie zabierzesz Rosengård z chłopaka”. Takie pochodzenie może uczynić człowieka twardym i śmiałym jak Zlatan, ale może też sprawić, że zawsze czujemy się mali i nieważni. Można powiedzieć, że szalenie interesuje mnie psychologia przekleństwa, jakim jest nasz background.

Ale czy pochodzenie uprzywilejowane to też przekleństwo? Coś, z czym się borykasz? Lewicowy dziennik „Aftonbladet” w recenzji z twojej nowej powieści zarzucił ci, że idealizujesz klasy wyższe, że wszyscy mieszkańcy Djursholmu mają w twojej książce piękne ręce, długie palce, są piękni i grają na pianinie.

– Spodziewałem się tego po tej gazecie! Wiedziałem, że akurat w Szwecji pojawia się recenzje o charakterze politycznym, że zarzuci mi się, iż piszę, że klasa wyższa jest wspaniała. To jest właśnie ta złość skierowana w stronę uprzywilejowanych. Nie wiem, czy wyższa klasa ma jakieś wielkie znaczenie dla pielęgnowania dawnych wartości, ale myślę, że jeśli zarzuci ideały związane na przykład z kształceniem i zajmie się głównie chronieniem swoich pozycji, to stanie się niebezpieczna dla społeczeństwa. Za to jeśli reprezentanci klasy wyższej chcą się rozwijać i rozumieć świat, to jest to wartość. Dlatego uważam za dziwne, że gdy pojawił się w Szwecji taki reprezentant klasy wyższej jak Olof Palme, człowiek, który interesował się problemami dotyczącymi nie tylko jego własnej klasy społecznej, to był w środowisku, z którego się wywodził, określany mianem zdrójcy klasowego. Dlaczego człowiek uprzywilejowany miałby się interesować jedynie innymi uprzywilejowanymi? Dla mnie właśnie kluczowe jest zrozumienie tych, którym nie jest w życiu tak wygodnie jak nam.

A jak na twój stosunek do tematu klasowości wpłynął lewicowy ojciec?
– Pochodził z rodziny arystokratycznej, ale zrujnowanej ekono-

micznie. Bardzo irytowało go nadejście wyższych klas, ludzie jak butelki z pięknymi etykietkami, którzy w środku byli puści. Miał w sobie inny rodzaj elitaryzmu i snobizmu. Podziwiał ludzi utalentowanych, a pogardzał przeciętnością i banalnością. Kiedy dorastałem, odwiedzało nas wielu ludzi. Zdarzało się, że gość był niesamowicie elegancką, piękną osobą w garniturze, kimś, kogo widywałem w telewizji, a tata po spotkaniu mówił o nim z lekceważeniem: „cholerny przeciętniak”, „zero!”. Potem w naszym salonie mógł siedzieć śliniący się pijaczyna. Zastanawiałem się, co on, do diabła, u nas robi, a tata mówił po jego wyjściu: „Ależ on ma talent!”. Tak więc w mojej rodzinie nie liczyły się tytuły, ale kreatywność i głębia.

Była też część dalszej rodziny, która miała wielkie problemy mentalne, ludzie pogrążeni w depresji, zdarzały się przypadki samobójstw. Co ciekawe, mówiło się o tym z wielkim szacunkiem. Wręcz podziwem. W naszym kręgu było więc tak, że jeśli człowiekowi nie udało się odnieść sukcesu w sztuce, to można było zawsze odnieść sukces w spadaniu na dno. Znam obie te drogi, bo mam silne skłonności do depresji.

Często opowiadasz też o swoich kompleksach, co jest w jakiś sposób niezrozumiałe, zważywszy na to, że masz wszystko: właściwe pochodzenie, wielki sukces literacki, pieniądze...

– Dorastałem w przekonaniu, że powinno się być podziwianym przez elitę i intelektualistów, przez takich ludzi jak mój ojciec. Że pisarza powinien podziwiać parnas, że ma zabiegać o świetne recenzje w najlepszych gazetach. Byłem najmłodszy z rodzeństwa i tata miał dla mnie dużo czasu, wiele mi dał. Ale gdy dorosłem, dał mi także do zrozumienia, że nie jestem wystarczająco doskonały, że go zawiodłem. Miałem 30 lat, kiedy umierał. Na łożu śmierci powiedział mi: „Nie wiem, co z tobą jest, David, ale w tym, co piszesz, nigdy nie ma głębi”. To we mnie zostało na zawsze. Powodowało stany depresyjne. Ale stało się też siłą pchającą mnie do przodu. Próbowiałem pisać bardziej ambitne książki, na przykład powieść o Alanie Turingu. Marzyłem, że mój tata gdzieś w niebie nareszcie mnie doceni.

A potem rzuciłem się w realizację projektu książki o Złatanie, do którego z początku podchodziłem opornie. Miałem być ghostwriterem piłkarza! Nieoczekiwanie książka o Złatanie stała się bajkowym sukcesem, zarówno wśród krytyki, jak i czytelników. I to jakim! W bibliotece w Malmö na moim spotkaniu autorskim pojawili się młodzi chłopcy, którzy z pewnością nigdy wcześniej nie byli w takim miejscu, nigdy wcześniej nie czytali. Stało się to dla mnie upajającym przeżyciem. Zrozumiałem, że od zachwytu recenzentów ważniejszy jest zachwyt zwykłych czytelników. To była rewolucyjna myśl. Zacząłem pisać zupełnie inaczej, już nie tak, by usatysfakcjonować tatę, tylko tak, by być rozumianym przez wszystkich. Jak najprościej. Najważniejsze jest teraz dla mnie, żeby zachować w tekście, co ważne, ale przekazywać to w jak najbardziej przystępny sposób.

Bycie ofiarą nagonki jest jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogą spotkać człowieka, ale mam poczucie, że bez niej nie byłoby takiego sukcesu

Po gigantycznym sukcesie książki o Złatanie przyszedł jeszcze większy sukces kontynuacji „Millennium”, ale zanim nadszedł, spotkała cię gigantyczna fala hejtu. Partnerka Stiega Larssona Eva Gabrielsson twierdziła, że jesteś miernym pisarzem, który nie ma co pisać, więc kopiuje zmarłego.

– Nie miałem pojęcia, że reakcje będą tak silne i tak negatywne. Kiedy wydawnictwo Norstedts zaprosiło mnie na spotkanie, na które zostałem przemycony jakimiś bocznymi drzwiami, bo tak wielkie było zainteresowanie mediów tematem, i zapytano mnie, czy chciałbym napisać kolejną część „Millennium”, poczułem dreszcz emocji. To była wspólna możliwość wejścia w świat, którego w ogóle nie znałem. Jednak burza wokół mnie zrobiła się tak wielka, że choć trwał kryzys uchodźczy i wojna w Syrii, to byłem na czołówkach szwedzkich wiadomości. To była totalna panika moralna. Stieg Larsson był nagle przedstawiany jako świętość, a mnie nazywano pasożytem, hieną cmentarną. Myślę, że tu znowu uderzyła we mnie nie tylko początkowa niechęć wielu osób do idei kontynuacji dzieła Larssona, ale także podskórna skumulowana agresja przeciw mnie jako reprezentantowi klasy wyższej, którego ojcem był słynny i wpływowy Olof Lagercrantz. Pierwsza szwedzka recenzja była straszna.

Jak to przeżyłeś?

– Ścigane zwierzę po prostu biegnie. I to właśnie robiłem. Miałem non stop jakieś wywiady, a wieczorem lykałem dużo proszków nasennych, żeby spać i nie myśleć. Sytuację przełamała genialna recenzja w „The New York Times”. W Szwecji ludzie zaczęli też czuć, że nagonka na mnie poszła za daleko, i sympatia zaczęła się przesuwać w moją stronę. Dopiero wtedy się załamałem. Ale cała ta sytuacja bardzo mnie wzmocniła. Bycie ofiarą nagonki jest jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogą spotkać człowieka, ale mam poczucie, że bez niej nie byłoby takiego sukcesu. Ataki na mnie przyczyniły się do tego że stałem się tak sławny. No i jeśli przeżyjesz piekło, to zaczniesz umiacać się, już wiesz, że dasz radę ze wszystkim.

Dasz radę, mimo że jesteś hiperwrażliwy i skłonny do depresji jak twój nowy bohater Hans Rekke. Nie ukrywasz, że wiele was łączy. Jednocześnie Rekke ma wiele cech wspólnych z Sherlockiem Holmesem.

– Mam takie założenie, że w pisaniu dobrze jest podążać za jakąś pasją. Po „Millennium” zastanawiałem się, co robić, i myślałem o Sherlocku Holmesie, bo była to moja pierwsza literacka miłość. Upajałem się książkami Conan Doyle’a, fascynowały mnie

zdolności dedukcyjne Sherlocka, jego zmysł obserwacji, dochodzenie od drobiazgu do wielkich odpowiedzi. Jednocześnie drażniły mnie jego arogancja, przekonanie, że jest genialny. Chciałem więc stworzyć podobnego bohatera, ale zastąpić pewność siebie niepewnością i wątpliwościami. Bo wątpliwości pomagają nam się rozwijać, choć pchają nas też w stronę autodestrukcji. Poza tym chciałem, żeby Hans miał arystokratyczne pochodzenie, i połączyłem go z kimś z całkowicie innego świata, z Micaelą z Husby. Micaela jest silna.

Zlatan nauczył mnie, że w świecie, z którego pochodził, to właśnie siła jest kodem. Trzeba być macho. Kiedy to mówił, myślałem, że w moim świecie bycie macho jest czymś wulgarnym. Dorastałem w rzeczywistości, w której patrzyło się z podziwem na słabych wrażliwców. Takich, co to czują za dużo i są chorowici. Chciałem więc połączyć te dwa światy, Zlatana i mój, Micaeli i Hansa. Mam jeszcze do napisania cztery książki o nich, ale w trakcie pracy nad serią zrobię przerwę, żeby napisać autobiografię. Tyle opowiadam o moich ranach i problemach, że czas o tym opowiedzieć w książce.

Stajesz się w większym stopniu pisarzem politycznym.

– Akcja „Człowieka, który wyszedł z mroku” rozgrywa się w roku 2003, wybrałem ten czas ze względu na wojnę, która wybuchła wtedy w Iraku. Równie bezsensowna jak ta w Ukrainie, choć agresja Rosji na sąsiada jest jeszcze gorsza, zupełnie nieumotywowana.

Jednak gdy patrzymy na łańcuch wydarzeń, który doprowadził świat do ruiny, z którą mamy dziś do czynienia, to wszystko zaczęło się właśnie wtedy, od wojny w Iraku. W 2001 roku, po atakach na World Trade Center, cały świat zjednoczył się w solidarności względem USA. W tym większość świata arabskiego. Ale kiedy zaczęła się wojna w Iraku, zaczęto łamać podstawowe wartości. Amerykanie torturowali ludzi, by zwalczyć terroryzm, tworząc nowych terrorystów. Zaczęły się fale uchodźcze, które zachwiały stabilnością świata. Efekty trwają do dziś. Z wojną w Ukrainie będzie tak samo, bez względu na to, kiedy się skończy, będziemy pod jej wpływem przez kolejne dziesięciolecia.

Angażując się w dyskusję o polityce, upodabniasz się trochę do ojca. On był też bardzo zaangażowany w debatę na temat wojny zimowej, czyli wojny fińsko-radzieckiej w 1939 roku, kiedy to ZSRR napadł na Finlandię. Olof Lagercrantz nawoływał do tego, by Szwecja pomogła Finlandii militarnie. I był zawiedziony, że tak się nie stało.

– On nawet zaciągnął się do woj-ska jako ochotnik, było to zaraz po ślubie z moją mamą, która była pół Szwedką, pół Finką. Zachowywał się heroicznie.

Czy Szwecja robi teraz wystarczająco dużo, by pomóc Ukrainie?

– Myślę, że nikt nie robi wystarczająco dużo. To beznadziejna sytuacja. Całe nasze bezpieczeństwo runęło, dostrzegam duże podobieństwo pomiędzy tym, co robi Putin, a tym, co robiły nazistowskie Niemcy. Także fakt, że wciąż kupujemy od Rosjan gaz i ropę, uważam za skandal.

Co mogą zrobić ludzie kultury, by to zmienić?

– Pisać i mówić. Słowa mają duże znaczenie, wręcz kluczowe. Słowa i dobre opowieści. Takie jak historia Zelenskiego. To ona będzie opowiadana przez kolejne dziesięciolecia, to do niej będziemy wracali. Były komik i aktor zostaje prezydentem i staje się najbardziej charyzmatycznym liderem świata od czasów Churchilla. To, co mówi i jak mówi, ma decydujące znaczenie dla mobilizacji świata do pomocy Ukrainie. Jego wystąpienia na światowych forach to dowód na to, jak wiele znaczą słowa. Angażujemy się w pomoc Ukrainie nie pod wpływem wiedzy na temat liczby zabitych. Angażuje nas opowieść. To słowa Zelenskiego chwytają nas za serce. Widać w nim też autentyczność, prawdę, to, jak rośnie z rozwojem sytuacji. To nie jest poza. Fascynująca postać. Zwróć uwagę na to, że wojna w Syrii nas tak nie angażowała jak ta w Ukrainie i bardzo szybko staliśmy się podejrzliwi względem uchodźców stamtąd. Nie identyfikowaliśmy się z nimi. Dlatego kultura jest tak ważna, tyle może. Mamy twarz i słowa Zelenskiego, a nagle Polska tak otwarcie i wspaniale przyjmuje uchodźców, nie ma śladu po niechęci do obcych z 2015 roku. Wszystko zmieniła opowieść.

Albert Camus napisał kiedyś: „Buntuję się, więc jestem”. Czy to jest także twój sposób na życie?

– Bunt jest tym, co sprawiło, że znalazłem siebie. Gdybym się nie zbuntował, byłbym jak mój tata, a raczej byłbym jego miernym cieniem. Dopiero moment, w którym zaczynasz się buntować przeciw oczekiwaniom, jest momentem, w którym zaczynasz znajdować siebie. Być może bunt sam w sobie nie ma wartości, ale jest w nim jakaś wielka siła. Człowiek rośnie w burzy. A teraz jest taki czas, że każdy pisarz powinien być bardziej zaangażowany i zbuntowany. Sam chciałbym pisać tak, żeby wpływać na rzeczywistość. ●

TUTAJ MENSCHEN SIND KALT, SEHR KALT!

Slogan z opakowań znanej marki słodczy: „quadratisch, praktisch, gut”, świetnie opisuje niemieckie życie.

Vadim Makarenko*

le kosztuje ten zestaw z taco? – zapytał nastolatek.

Jasmina zamknęła oczy. Przez sekundę bezdźwięcznie poruszała ustami. – Zwanzig euro – powiedziała w końcu.

– Oh nein, danke. Es ist teuer – rzucił chłopak, zawrócił na pięcie i wyszedł z lokalu.

Jasmina zaczęła się zastanawiać. W małym barze pracowała od roku, głównie na zmywaku, czasem w kuchni. Na kasie stała drugi dzień i o ten zestaw jeszcze nikt nie pytał. Drogi? W sumie nie taki tani, ale do tej pory nikt aż tak nie reagował. Nagle zasłoniła usta dłonią, żeby nie wykrzyknąć: „Zwölf euro!!!”.

Zestaw kosztował 12, a nie 20 euro. Niemieckie liczebniki są trudne dla wielu z nas, bo zamiast „czterdzieści pięć” Niemcy mówią „pięć i czterdzieści”. Dobrze, że obok nie było szefa.

PO 12 GODZINACH NIC NIE KUMAM

Jasmina ma 34 lata, migdałowe oczy i czarne niczym skrzydła kruka włosy. Do Niemiec przyjechała z mężem i dwójką dzieci dwa lata temu. Jej kuzyni mieszkają w Niemczech od dawna i od dawna namawiali ją do opuszczenia Albanii. W Hamburgu nie może pracować w zawodzie, choć skończyła studia z wychowania początkowego na Uniwersytecie w Elbasan. Dopiero gdy nauczy się języka, będzie mogła pracować w szkole. Jej szanse są spore, bo Niemcy potrzebują nauczycieli.

30-letnia Martina też pracuje w restauracji. Jest kelnerką. W poprzednim życiu, na innym kontynencie, była dziennikarką. Z Santiago do Hamburga przyjechała za chłopakiem, który oprócz chilijskiego ma też obywatelstwo niemieckie. – Bez tego paszportu zjadłaby nas tu biurokracja – wyznaje Martina, zaciągając się papierosem. – Sorry, ledwo kumałam dziś na lekcji, bo koleżanka poprosiła o zamianę i po wieczornej miałam dziś jeszcze przedpołudniową.

Jasmina uśmiecha się porozumiewawczo. Ostatnio przez tydzień nie mogła chodzić na lekcje, bo jej lokal miał problem z grafiką i pracowała po 12 godzin.

– Powinnaś powiedzieć: „dziś na lekcji le-dwo, bo po wczorajszej zmianie miałam kolejną przedpołudniową, kumałam”. Tak Niemcy mówią – poprawia 36-letni Vedad, stawiając na stoliku sześć butelek piwa.

MÓW JAK NIEMIEC ZA 60 EURO

– Po ile tutaj piwo, ile jesteśmy ci winni? – pyta Camille. Vedad macha ręką. Camille nie daje za wygraną. W końcu Vedad obiecuje, że pozwoli postawić następną kolejkę każdemu. Ma 12-letniego syna i podobnie jak Jasmina dał się namówić wujkom w Ham-



• Berlin, Turczynka na lekcji w Volkshochschule
FOT. JOCKEL FINCK/AP

burgu na rozpoczęcie wszystkiego od zera. Ukochaną Tuzlę w Bośni opuścił dwa lata temu. Jest elektrykiem wysokich napięć, ale na razie nie potrafi znaleźć pracy w zawodzie. Najpierw naprawiał elektrykę w autach, w warsztacie samochodowym wujków, a od ponad roku pracuje w Aldi jako hausmeister, czyli złota rączka od napraw. Wysoki i wysportowany, mieszka w dzielnicy Stellingen, niedaleko – jak podkreśla z dumą – głównego stadionu miejskiego.

Zajmujemy cały stół w ogródku baru Chez Malik, nieopodal dworca. Od pięciu miesięcy dwa razy w tygodniu przychodziłmy do Szkoły Handlowej Żegluga i Turystyki przy Berliner Tor, gdzie przez półtorej godziny uczymy się niemieckiego. Uwielbiam ten budynek schowany za wielką remizą, bo jest tam mnóstwo modeli statków, za którymi przepadałem jako dziecko. Jeśli zdarza mi się przyjechać za wcześniej i mieć odrobioną pracę domową, wędruję od gabloty do gabloty i oglądam wycieczkowce, kontenerowce i tankowce. Napisy „Maersk” czy „Hapag-Lloyd” pobudzają wyobraźnię niczym naklejki na walizkach w starych filmach.

Szkola udostępnia salę, ale nie jesteśmy jej studentami. Pomieszczenie dzierżawi Volkshochschule (VHS), czyli Uniwersytet Powszechny, oferujący setki szkoleń i kursów dla mieszkańców. Języki obce, gotowanie, haftowanie i Bóg wie, co jeszcze. Mam wrażenie, że na długiej liście swobodnie zmieściłby się też kurs obierania banana. Za niewygórowane pieniądze: semestr kosztuje 60 euro i nawet jeśli dodamy podręcznik za kolejne 18, to wciąż nie jest to cena rynkowa. Nasze lekcje dofinansowuje samorząd.

UCZ SIĘ OD UCZNIÓW

– Mamą porządną budżet szkoleniowy, więc nie krępij się i wybierz sobie dobrą szkołę językową. Podobno ta jest bardzo dobra, wysyłam ci link. Nie sugeruję się ich stroną internetową, wygląda tak samo od 20 lat – zachęcał szef. Kliknąłem. Witryna faktycznie wyglądała koszmarnie, a za semestr wolała co najmniej 360 euro. Ścisłe centrum, nie-

daleko jezioro Alster, które uwielbiam. Ale nie chciało mi się siedzieć z białymi kołnierzykami i rozprawiać o ratingach kredytowych, bonusach i planach kwartalnych, bo robiłem to służbowo przez dwie dekady. W uszach miałem słowa Agnieszki Górnickiej, prezeski agencji badawczej Inquiry: „Mąż pracował w Niemczech na kontrakcie, a ja byłam typową haus frau i chodziłam na lekcje do VHS. To jedno z najwspanialszych wspomnień!”.

Tak zostałem słuchaczem najbardziej znanej w Niemczech organizacji kształcenia ustawicznego dla dorosłych, z ponad 100-letnią tradycją. W samym 2020 r. z jej usług skorzystało 3,66 mln słuchaczy. Największą popularnością cieszyły się zajęcia sportowe (m.in. z jogi czy zumby). Kursy językowe zajęły drugie miejsce.

Niemcy kochają VHS. Kilku znajomych uczy się tam japońskiego i florystyki. W pandemii sale, w których kursanci uczyli się gotowania, można było wynająć na prywatne spotkania i urządzić sobie przyjęcie ze współpracownikami.

Choć zdarzają się też drwiny. – Serio tam chodzisz? U nich czas zatrzymał się w latach 50. – rzucił kolega, kiedy wymykałem się z zebrania na lekcje.

A może to był komplement?

Władze Hamburga chcą, żeby do 2025 r. cztery piąte wszystkich przybywających do miasta uchodźców przeszło przez kursy językowe w tej organizacji. Czas oczekiwania nie powinien przekraczać sześciu tygodni. Innymi słowy, VHS to jedno z głównych narzędzi integracji cudzoziemców z niemieckim systemem. Uczysz się tam nie tylko od nauczycieli. Wielu jej uczniów mogłoby napisać i z powodzeniem poprowadzić kurs pt. „Strategie przetrwania”. Jak 39-letni Isaak, który przyjechał do Niemiec z Nigru z żoną i piątką dzieci.

ZAŚPIEWAM WAM PIOSENKĘ O 99 BALONACH

Oprócz Martiny jedyną osobą, która płynnie mówi po angielsku w naszej grupie, jest

Camille. Ma 27 lat i pracuje w laboratorium biotechnologicznego start-upu. Do Hamburga przyjechała trzy lata temu z Clermont-Ferrand i nie musi chodzić do VHS, bo – podobnie jak ja – pracuje w międzynarodowej firmie i w pracy posługuje się wyłącznie angielskim. Oboje korzystamy z burzliwego rozwoju sektora technologii, którego największym i najbardziej widocznym symbolem są zakłady Airbusa – prawdziwa chluba miasta. W 2011 r. właśnie w Hamburgu pierwsze biuro poza USA otworzył Airbnb. W 2017 r. niemiecką siedzibę z Berlina do Hamburga przeniósł Twitter. Biura mają tu Google, Facebook oraz Microsoft. No i Hamburg jest w pierwszej piętnastce miast o największej koncentracji start-upów w Europie. W takim mieście można poradzić sobie i bez niemieckiego.

Jednak Camille chciałaby rozumieć dowcipy kolegów w biurze. Ja też. I chciałbym z pełnym zrozumieniem zaśpiewać w barze karaoke „Neunundneunzig Luftballons”, która – po bliższym przyjrzeniu w tłumaczu Google – okazała się protest songiem:

*Hast du etwas Zeit für mich?
Dann singe ich ein Lied für dich...
Auf ihrem Weg zum Horizont*

Z nas wszystkich Camille najbardziej przykładą się do nauki – zawsze przygotowana, zgłasza się do odpowiedzi jako pierwsza i prowadzi zeszyt, używając długopisów w trzech różnych kolorach. Uchodziłaby za typową kujonkę, gdyby nie jej zaraźliwy śmiech i gotowość do pomocy. Mogę bezkarne zaglądać w jej zeszyt.

Pewnego dnia spóźniony, zdyszany i nieprzygotowany wbiegłem na salę. Szybko się wycofałem. – Entschuldigung! – wybelkotałem, gdy zamiast naszej pani zobaczyłem przy tablicy młodzieńca, drobną, ostrzyżoną na chłopaka dziewczynę. Jeszcze raz sprawdziłem numer pokoju – 44, wszystko się zgadza. Znowu ostrożnie uchyliłem drzwi. Klasa dusiła się ze śmiechu. – Komm schon, komm schon – powtarzała pani. To była Anna, zastępstwo naszej pani i chodząca ilustracja człowieka zakochanego w swojej pracy. Przez całą lekcję zwracała się do nas wyłącznie po niemiecku. Gdy widziała, że nie

nadażamy – pomagała sobie rękami. Chcąc zilustrować przymiotniki „szeroki” i „wąski”, dźwigała przyciężkie biurka. Kazała nam schować komórki. – Jeśli macie pytania, pytajcie. Za to mi płacą – wyjaśniła. Potem dała nam zadanie. Gdyby nie zeszyt Camille, byłoby słabo.

Wychodziliśmy z lekcji spoceni.
– Jak wam się podoba? Jestem zakochany w jej energii – oznajmiłem grupie. Większość pokiwała głowami.
– To wariatka – skwitował Vedad.

PRAKTYCZNE, KWADRATOWE, CZASEM DROGIE ŻYCIE

Większość naszej grupy mówi w językach ojczystych und ein bisschen Deustch. Dlatego to, co niesie się znad naszego stolika w ogródku Chez Malik, musi być dla otaczających nas Niemców istną torturą. Nie dają jednak tego po sobie poznać, są uśmiechnięci i pomagają mi porozumieć się z barmanem, gdy zamawiam następną kolejkę. Wciąż myli mi się weizenbier z weissbier.

– Po co tu przyjechaliście? – wydobywam z siebie po niemiecku po drugim piwie.
– Na studia... Jestem lekarką – z jeszcze większym trudem odpowiada 38-letnia Li z Huizhou. Podziwiam jej upór i pracowitość. Na lekcjach wyraźnie cierpi, bo nie rozumie prawie nic z tego, co mówi nauczycielka, a podpowiedzi kolegów są równie mało zrozumiałe. Gdy Vedad opowiada o pracy w Aldi, Li kiwa z uznaniem. – Super, to dobre auta.
– Aldi – poprawia Vedad.
– Tak, Audi – kiwa głową Li.
– Nie, Aldi, taki sklep, wiesz? Supermarket – tłumaczy Vedad.
Ucho Li nie rozróżnia „AL” od „AU”.
– A jaką jesteś lekarką? – pyta Jasmina.



Unas w Chile, Bośni, Francji, Albanii, Chinach ludzie są wyrozumieli dla siebie, przytulają się, dzielą się jedzeniem i wspólnie się bawią. Ale i tak przyjechalibyśmy do Niemiec jeszcze raz

– Anestezjolożką – odpowiada Li. Jasmina zakrywa twarz rękami. Po chwili opowiada, że po urodzeniu drugiego dziecka na trzy dni straciła wzrok i pamięć. – Przez te trzy dni do niczego się nie nadawałam, bez przerwy płakałam. Powiedzieli mi, że anestezjolog podał złą dawkę znieczulenia – opowiada. Wyciąga portfel i pokazuje zdjęcie chłopaka o takich samych migdałowatych oczach. – To jego wtedy urodziłam.

Li walczy z zażenowaniem. Vedad próbuje rozładować atmosferę i też wyciąga zdjęcie syna.

– Mówi po niemiecku jak miejscowy. Gdy siadam do nauki wieczorami, przychodzi i mówi: „Papa, Hausaufgaben? 8 euro bitte” (Tata, praca domowa? 8 euro euro poproszę) – śmieje się. Dzieci Jasminy też mówią płynnie po niemiecku. To dla nich jest to wszystko – Hamburg, wszystko od zera i lekcje niemieckiego. Vedad i Jasmina chwalą niemieckie przedszkola, szkoły, lekarzy, pociągi i autobusy, którymi można dojechać wszędzie. Rozumiem ich. Mnie też podoba się tutejsza organizacja usług publicznych, poukładany rynek pracy i brak pośpiechu. Mam wrażenie, że slogan z opakowań znanej marki słodczy: „quadratisch, praktisch, gut”, świetnie opisuje niemieckie życie.

Choć zdarzają się niespodzianki. Vedad zaprowadził syna do ortodonta, który stwierdził, że potrzebna jest korekta. Sam aparat wycenił na 7 tys. euro plus wizy-

ty regulacyjne po 25 euro każda. Dla porównania: za urządzenie kuchni meblami z Ikei oraz skromnym sprzętem trzeba zapłacić 10 tys. euro. A średnia krajowa oscyluje na poziomie 2,8 tys. euro netto.

– Ile? 7 tysięcy? To chore! I co zrobicie? – sypiemy pytaniami.
– Pożyczyłem od wujków i spłaciłem – mówi Vedad. Li wzrusza ramionami: – Ale o co wam chodzi? W moim mieście to tyle kosztuje, a zarabiamy mniej niż tutaj.
Jednak gdyby moi koledzy mieli jeszcze raz stawać przed wyborem: jechać czy nie, wyjechaliby jeszcze raz. I to przy całej nienawiści do tutejszego jedzenia, na które narzekają na wyścigi. Postanawiam nie ujawniać miłości do currywurst.

SEHR KALT!

Zamiast tego pytam: – To jak sobie z tym radzicie?

Wyciągają telefony i pokazują lokale ze swoją ulubioną kuchnią. – Jeśli lubisz mięso, to najlepszy jest Dubrownik. Mówię ci, taaaki kawał jagnięciny za jedyne 15 euro! – oznajmia Vedad i pokazuje, jak ogromny i ciężki jest ten stek. Li pokazuje miejsce, gdzie podają najlepsze dim sum. Martina pokazuje chilijskie restauracje. Jednak największe wrażenie robi na mnie telefon Camille. Mapa Hamburga na jego wyświetlaczu jest prawie zasłonięta dywanem z czerwonych kropek. – To francuskie restauracje? – zgaduję.

– Nie, to restauracje, w których byłam – odpowiada.
– Cooooo?! – wyjemy chórem.
Camille jest lekko zmieszana. Wyciąga papierosa z paczki Martiny. – No co? Mieszkam w Hamburgu sama od trzech lat, nie mam rodziny, jakoś trzeba spędzać czas – tłumaczy się. Dodaje, że tęskni za rodziną i często do niej jeździ. Twarze wszystkich się rozjaśniają, gdy mówią o swoich krajach. To w tej zbiorowej ojczyźnie ludzie są wyrozumiali dla siebie, przytulają się, dzielą się jedzeniem i wspólnie się bawią. A tutaj? – Menschen sind kalt, sehr kalt! (ludzie są zimni, bardzo zimni!) – mówi Jasmina. Niemcy, szczególnie na północy – nie są mistrzami small talku, nie narzucają się i nie pytają bez powodu, co słyhać. Amerykańskie „how do you do”, które z pytania płynnie przechodzi w powitanie, jest bardzo rzadkie. Jeśli ktoś już pyta: „jak leci?”, to zwykle oczekuje odpowiedzi. Hamburgczycy bez skrepowania przyznają, że mentalnie znacznie bliżej im do Duńczyków niż do berlińczyków czy Bawarczyków.

Ten dystans i obsesyjny szacunek dla prywatności są dla Jasminy nie do zniesienia. Li i Vedad kiwają głowami. Camille dodaje, że tęskni za francuską spontanicznością. Martina macha ręką. – Tiaaa, ciężka sprawa. Wiecie co? Zaprosimy z moim chłopakiem was wszystkich na kolację. Zobaczycie, jak się bawimy w Chile! – ogłasza Martina.

Takich jak my w Hamburgu jest 319 tys. – wynika z danych Federalnego Urzędu Statystycznego (dane z grudnia 2021 r.). To ponad 17 proc. mieszkańców miasta.

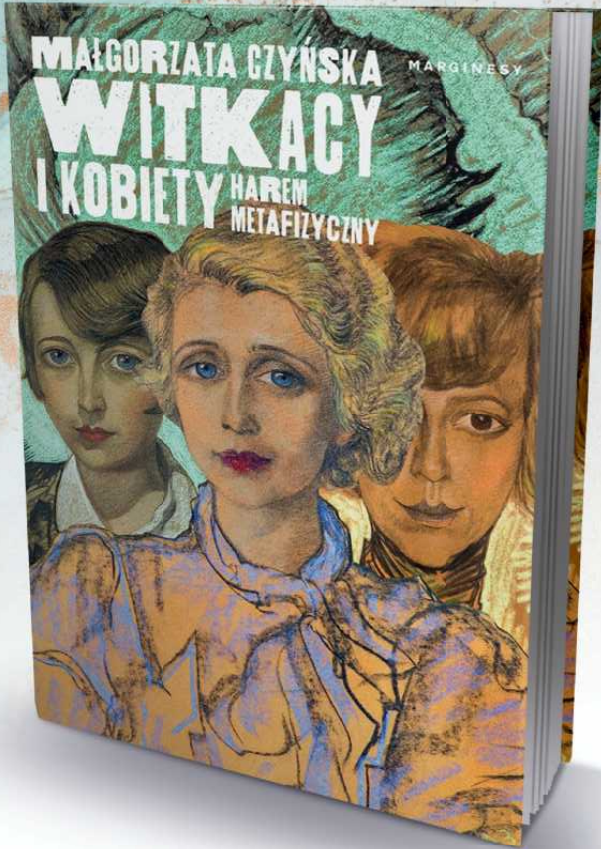
ZOSTAJEMY?

– Nie wiem. Zależy od warunków – waha się Martina.
– Moje dzieci na pewno zostają, a ja nie – wyznaje Jasmina.
– Mam tak samo – kwituje Vedad.
– Kończę studia i wracam do Chin, będę tam więcej zarabiać – mówi Li.
– Na pewno tu nie zostanę, tylko jeszcze nie wiem, kiedy i gdzie wyjadę. Muszę zdobyć tutaj więcej doświadczenia – tłumaczy Camille. – A ty? ●

***Vadim Makarenko** – przez wiele lat w „Wyborczej” opisywał nowe technologie i cyfrowe społeczeństwo, objaśniał świat mediów, uruchamiał serwisy analityczne BiqData i Sonar, obecnie kieruje badaniami sektorów cyfrowych w firmie Statista w Hamburgu

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

- 1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę**
- 2. Fragmentu książki „Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny” Małgorzaty Czyńskiej**



Nie był monogamistą, nie był wierny, nie obiecywał miłości po grobową deskę. Nie rozumiał słowa „zdrada”. Braterstwo dusz cenił na równi z rozkoszami cielesnymi.

Niezwykły pisarz, malarz i skandalista, ale także wyjątkowy kobieciarz. Historia związków Witkacego z kobietami nie tylko pozwala prześledzić burzliwe koleje jego życia i małżeństwa, lecz także dogłębnie poznać bogatą osobowość artysty.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny” Małgorzaty Czyńskiej oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

MBMMG22

Aby skorzystać z kodu:

- ①** Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ②** Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③** Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④** Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤** Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

TA ŁÓDKA JEST WAŻNA

Kiedy wypływaliśmy na wycieczkę wokół Lampedusy,
statek włoskiej straży granicznej holował ponton z kolejnymi uchodźcami

Jarosław Mikołajewski



Sobota, 16 lipca. Na cmentarzu łódek na Lampedusie aktualnie jest ich tylko pięć. Trzy nie zostały jeszcze zniszczone, jedna murszeje ze starości i przepracowania, jedna czeka na nas. Celnik podchodzi, kiedy opieramy się o burtę tej jednej, naszej, drewnianej, której patrzymy w nieprzytomne oko wejścia prowadzącego pod pokład. Przez otwór w pokładzie widzimy martwe szmaty, strzępy ubrań i gazet. Łódka jest niewielka, sześć metrów długości, dwa i pół szerokości. „Wsiadanie i podróż – wyjaśnia funkcjonariusz – ma swoją hierarchię. Na pokładzie kręgiem siedzą najsilniejsi mężczyźni i tworzą ochronny krąg wokół kobiet i dzieci. Pod pokładem są dwa albo trzy poziomy. Wyżej są ci z Afryki Północnej, Tunezyjczycy, Libańczycy, Syryjczycy. Są bogatsi i płacą więcej. Na samym dnie siedzą albo leżą subsaharyjscy. Ci na górze najczęściej mają poparzenia od słońca, które pali na skórze naftę zmieszaną z morską wodą. Ci na dole najczęściej duszą się i nie mogą wydostać się na pokład choćby po łyk powietrza”.

Jest 40 stopni, trudno nam wytrzymać nawet w nieklimatyzowanym samochodzie z otwartymi szybami. Po drodze doktor Pietro Bartolo, lekarz żywych i umarłych, obecnie europoseł, wiceprzewodniczący komisji praw człowieka, wjeżdża do portu tam, gdzie nikt inny nie może – do czegoś w rodzaju poczekalni na słynnym molo Favaro. Do autobusu wchodzi właśnie jedna grupa migrantów, druga czeka. „Tamci to Senegalczyki, ci – Tunezyjczycy”, rzuca doktor. „Mogę jakoś pomóc?”, pyta policjant. „Jestem posłem, przez trzydzieści lat pracowałem tu jako lekarz”, woła Pietro przez uchylone okno. „A, to pan, doktorze... Zaszczyl!”.

Macham ręką w stronę oczekujących. Odmachują, bardzo nieśmiało. Wyciągam do góry kciuk. Może komuś da to nadzieję. Niektórzy odwzajemniają. Potem dochodzi do mnie, że dla kogoś z nich może okazać się to kłamliwą obietnicą. Falszywą podobnie jak nazwa bramy witającej przybyszów od strony Afryki, instalacji rzeźbiarza Mimma Paladina: „Drzwi Europy”. Za którą dla niektórych piekło dopiero się zaczyna.

Doktor wybuchł gniewem, który znam już z poprzednich spotkań. „Dziesięć metrów w lewo jest koszmar, dziesięć w prawo – raj. Popatrzcie...”.

Patrzmy po jednej stronie na biedaków czekających na molo, po drugiej na wille spoglądające na plażę i na pływalnie. „Kim my jesteśmy – woła doktor na granicy placzu – żeby decydować, kto zasługuje na życie w willi, a kto w slumsach. Albo na śmierć. Jakie mamy zasługi, że urodziliśmy się Europejczykami, że mamy obywatelstwo bogatego państwa? Jakie winy ponoszą oni, że muszą uciekać? Jeżeli już, to winy obciążają nas, bo to my zabraliśmy im wszystko, co mieli”.

Popatrzcie na te dwie łodzie – powie celnik, kiedy staniami przy naszej łódce. – Ta, którą zabierzecie do Polski, jest drewniana. Lecz spojrzcie na tamte. To łódki nowej generacji, z tworzyw sztucznych nasączonych żywicą. Tych starych, drewnianych, już prawie nie ma. Kiedyś przywoziły tu ludzi, potem wracały do Libii i służyły do nowego transportu. Dzisiaj wszystkie niszczy, więc tam, w Afryce, produkują już kolejne, w sposób, który daje szybkie efekty”.

Patrzmy na łodzie trzy razy większe od naszej, dziurawe, popękane, stojące jedna na drugiej. „Te nowe – ciągnie funkcjonariusz – mają więcej pokładów i mogą pomieścić więcej ludzi. Ale są niebezpieczne. W zależności od techniki albo łatwo się wywracają, albo łatwo pękają i od razu idą na dno. Są śliskie od żywicy, więc kiedy łódź się wywraca, rozbitkowie nie są w stanie wdrapać się na kadłub. I toną, biedacy. Często sami rezygnują, ze zmęczenia. Odpływają od łodzi, bo wolą już utonąć, niż walczyć. Skupić się na własnej śmierci. Pomodlić”.

**Ta arka Noego i statek Ulissesa spinają
Morze Śródziemne i Puszczę Knyszyńską,
świadectwa politycznych nikczemności
i powinności współczucia**

My. Mówiąc „my”, mam na myśli siebie i Jarosława Przyborowskiego, współzałożyciela poznańskiej fundacji Signum. O „mojej” łódce z Lampedusy pisałem już w „Wyborczej” (29 marca 2022). Są tam najważniejsze szczegóły sprawy, która doprowadziła nas na Lampedusę.

W wielkim skrócie, nie pastwiąc się nad funkcjonariuszami Ministerstwa Kultury, przypomnę, że przygotowywaliśmy z Joanną Kilian (historyczką sztuki, dziś zastępczynią dyrektora) wystawę „DANTE” dla Muzeum Narodowego w Warszawie. Od samego początku w miejscu, gdzie jest mowa o łódce Charona, planowaliśmy wystawienie łodzi z Lampedusy, którą na naszą prośbę doktor Bartolo ocalił od planu niszczenia łódek uchodźczych.

Stosowny fragment Pieśni III Piekła zawiera takie słowa:
... dusze, które były zmęczone i nagie,
zmieniły barwę i szczerknęły zębami,
kiedy tylko usłyszały okrutne słowa.

Przeklinały Boga i własnych rodziców,
ludzki gatunek i miejsce, i czas, i nasienie
ich poczęcia i ich narodzin.

Potem cofnęły się wszystkie razem,
głośno płacząc, na przekłęty brzeg...

Dyrektor muzeum z punktu uznał pomysł za genialny, prosił tylko, żebyśmy odwlekli transport o kilka miesięcy, wreszcie o rok. Aż jakoś w czasie największego napięcia, najbardziej oburzających działań służb granicznych i największych tragedii uchodźczych na granicy polsko-białoruskiej, dyrektor łódz zakwestionował. A potem całą wystawę. Cała sprawa mnie brzydzi, nie chcę więc o niej się dziś rozpisywać – kto chce, niech przeczyta artykuł. Koniec końców ekspozycję odwołano, a dziwnym zbiegiem zdarzeń suma bliska jej budżetowi została przyznana organizacji Romana Bąkiewicza.

Pod ostatecznym rozstaniu z myślą o ekspozycji zacząłem starania o sprowadzenie łodzi z Lampedusy jako pomnika czy upamiętnienia. Po pierwsze, było mi idiotycznie skazywać przyjaciela, doktora Bartola, na bezcelowe starania.

Po drugie, było mi głupio za siebie i instytucje RP, którym głupio chyba z kolei nie było, postanowiłem więc przyjąć na siebie ciężar międzynarodowego obciążenia.

Po trzecie, czulem, że ta łódka jest ważna. Że w tym wstydzie konsekwentnego upokarzania humanistycznej myśli i wstydzie okrucieństwa wobec uchodźców trzeba mi zawalczyć o sprowadzenie tego znaku, tej relikwii, tego nowego wcielenia arki Noego, statku Ulissesa i milionów łodzi, które znaczą więcej, niż mieści się w głowach funkcjonariuszy kultury i sztuki. Spiać południowy i północny biegun kultury śródziemnomorskiej, Morze Śródziem-

ne i Puszczę Knyszyńską, świadectwa politycznych nিকেzmemności i powinności współczucia, obojętności i odpowiedzialności za bliźnich, o których powinien mówić przede wszystkim zajęty głównie sam sobą Kościół.

Znalazłem wiele osób i instytucji gotowych pomóc. Choćby przyjaciółka, artystka Justyna Mędrala, która zadeklarowała, że jeśli uda mi się łódź sprowadzić, ona przechową ją do lepszych czasów w garażu swojego domu.

Nie będę mówił, kto i na ile się przejął moimi prośbami – boję się kogoś pominąć czy kogoś narażić. Powiem więc tylko, że po artykule w „Wyborczej” odezwał się do mnie Jarosław Przyborowski z fundacji Signum i oświadczył, że z radością zostanie opiekunem niechcianej łódki, pokryje koszty transportu i zajmie się godnym jej wystawieniem i wykorzystaniem: jako memento, aktu współczucia, zaproszenia do zadumy i litości. Ponadto – co komuś takiemu jak ja, pojedynczemu, niemającemu, skonfrontowanemu z niemądrą władzą, wydało się nieocenione – postanowił to zrobić bez zwłoki. Tym bardziej że cierpliwość władz Lampedusy słusznie się wyczerpała i po tygodniu łódka została by bezapelacyjnie zniszczona.

I tak poleciliśmy w miniony piątek na Lampedusę, Jarosław Przyborowski i ja. Był doktor Bartolo, była duża reprezentacja włoskich władz granicznych, miejscowych i przybyłych z Sycylii. Podpisano protokoły, fundacja Signum uroczyście podjęła się opieki nad łodzią, dbałości o godne jej wyeksponowanie, a w najważniejszych włoskich agencjach prasowych i niektórych dziennikach (np. „Il Messaggero”) ogłoszono, że oto humanitarny naród polski wystarał się o ważny i znaczący symbol solidarności z ludźmi potrzebującymi pomocy.

Po wszystkich oficjalnościach doktor Bartolo zaproponował rejs łódką wokół Lampedusy. Jeszcze raz zobaczyłem ten raj, na który z tak różnych perspektyw patrzą turyści i uchodźcy przypływający z Afryki.

Kiedy wypływaliśmy, statek włoskiej straży granicznej o sto metrów od nas holował ponton z kolejnymi uchodźcami. Po dalszych kilkunastu minutach – inny okręt holował inną grupę uchodźców. Głównie muzułmanów. ●

Wierzchołek niedosięgły świętej góry Syzyf

znowu
mówi pasek
utonęli ludzie

jak gdyby byli to zawsze ci sami

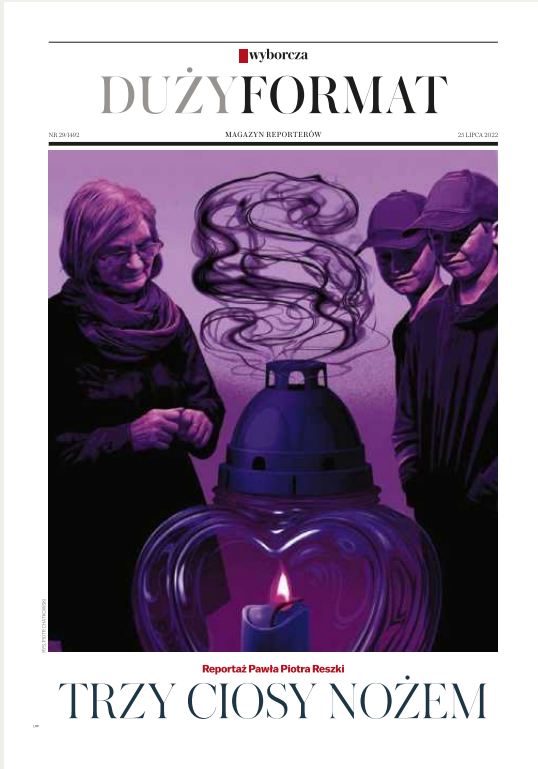
*niezmordowanie się rodzą
i toną*

*rodzą się
i toną*

*latem
mówi prasa
będzie szczyt utonięć*

*czy mają pamięć poprzednich
katastrof
czy jest to dla nich
wciąż nowa przygoda*

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 PAWEŁ
NIE ZABIŁBY
ANNY, GDYBY...

policjant, prokurator i sędzia zrobili to, co powinni.

2 CO SIĘ KRYJE
ZA TURYSTYCZNĄ
FASADĄ TURCJI?

Rozmowa
z Agnieszka
Rostkowską,
turkolożką.

3 CHORZY
NA SAMOTNOŚĆ
SIĘGAJĄ PO
CHEMSEKS.

Znika lęk i wstyd.

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Piąte koło

Janusz Rudnicki

Olga Tokarczuk powiedziała (a w sieci podchwycili), że jej książki to towar ekskluzywny i jako taki „pod strzechy” się nie nadaje. I że powieści jej nie są samoistnymi wypami, że należą do archipelagu i jako takie wymagają od czytających pewnej wiedzy, rozumu, wrażliwości, inteligencji, i że z automatu niejako pisze ona do ludzi światłych, pisze do jej „krajanów”. A nie do „idiotów”.

Zapłonęła gniewem Maja Staśko, podmuchem klasowej pogardy jej zawiało. W ramach solidarności ze „strzechami” weszła tam, gdzie czuje się najlepiej, na barykadę mianowicie. Polska nasza Marianna, wiodąca lud do księgarni i bibliotek, przy czym na obrazie za nią nie widać nikogo, bo jej ludowi wi-szą one i ona sama na kant im może skoczyć. I jedynie, na co on okiem łypnie, to na jej nagą pierś.

Olga nie musi udawać, że pisze dla wszystkich. Książka to ani chleb, ani igrzyska. No, chyba że powstaną takie, które i wypierdolić można, i pobawić się nimi też. Przy czym, to nie są „idioci”, ci, którzy nie czytają, to są po prostu inni ludzie. I nic złego w tym, że pod strzechami nie wyrrywają sobie książek z rąk, ponieważ książka dzisiaj nie jest niczym aż tak ważnym. Ten piedestał, na którym stała, dziś już się jej nie należy.

Odkryłem i odkrywam ludzi, którzy literatury pięknej przeczytali mniej niż kot napłakał, a są zupełnie normalni.

Przecenia się książkę, tę starą, minoderyjną ciotę, której nie należy się już wcale miejsca na piedestale, dziś dobry serial naprawdę jest od niej lepszy. Powtórzę się, literatura ciągle jeszcze cieszy się statusem świętej krowy. A nie powinna. Może ona robić za piąte koło u wozu i żyć sobie grzecznie w bagażniku. Traktowanie jej

dalej z pokorną estymą nie ma już sensu, bo nie ma ona na wyłączność funkcji, którymi pyszniła się wcześniej. W czasie zaboborów i okupacji podtrzymywała naród na duchu – pamiętacie ze szkoły? No niech jej będzie, chociaż to plot bardziej ten naród podtrzymywał, kiedy tenże znajdował się w stanie chwiejnym (spełnia on tę funkcję do dziś). Mowę polską krzewiła, szczepiąc jej nie pozwalala? Jeśli cześcić się przysłowiowego chłopca, to zasób jego słów był taki, że nie sposób go było zapomnieć, no umówmy się.

Ile książek, które kiedyś otwierałem jak ołtarz, dzisiaj czym prędzej zamykam, bo sromotnie przegrały z czasem. Ile obowiązkowych lektur szkolnych do dziś zabija poziom czytelnictwa. Z romantyzmem naszym na czele. Jakiś niepoczytalny zbiór nawiedzonego bełkotu o ciemnym, narodowo-katolickim podniebieniu. Broń masowego rażenia uczniów. ●

SZALEŃCY NA PUNKCIE OJCZYZNY

To szlachta i ziemiaństwo były ostoją czynnego patriotyzmu. Czy to się dziś komuś podoba, czy nie

Szczęsny Janowicz

Kazimierz Orłoś w Krutyńskim Piecku na Mazurach, wrzesień 2012 r.
FOT. TOMASZ WASZCZUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Adam Michnik poleca **Kroniki elit**

W 1958 r. początkujący (rocznik 1935) literat Kazimierz Orłoś zaniósł redaktorowi naczelnemu miesięcznika „Twórczość” Jarosławowi Iwaszkiewiczowi swoje opowiadania. Ten najpierw zapytał, kim była dla niego Bogumiła Orłosiowa – a była to babka młodego autora. Iwaszkiewicz pamiętał ją, starszą o deń o 25 lat, z majątku ukraińskiego w Oratowie, własności jego krewnego Ferdynanda Iwaszkiewicza i zara-

zem powinowatego Kazimierza Orłosa.

Rozmowę z Iwaszkiewiczem przywołał Orłoś na początku „Dziejów dwóch rodzin: Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy”, rodzinnej kroniki dwóch ziemiańskich rodów z XIX i pierwszej połowy XX wieku. Nie przypadkiem. Świadomość ciągłości rodowej, pamięć paranteli, także w pokoleniach, które dawno odeszły, świadomość polskiej historii jako dobra wspólnego, o randze – obok wiary katolickiej – najwyższej, były kluczowym elementem szlacheckiej, potem ziemiańskiej tożsamości. „Dzieje dwóch rodzin...” dokumentują to dobitnie.

W mnogości antenatów autora sagi rodzin Mackiewiczów i Orłosiów, ich krewnych i powinowatych, w gąszczu pokrewieństw i powinowactw, nawet uważny czytelnik łatwo się gubi. W tym szaleństwie koligacji, w obsesji spamiętywania stryjecznych prabab i ciotecznych dziadków, kim byli i co robili, prócz przemożnej chęci dowartościowania swego statusu była wszakże wielka, szlachetna mądrość. Czyny i postacie ziemiańskich patriotów nie znikwały w niepamięci; przez dziesięciolecia o zasługach dla polskości i o ofiarach ponoszonych przez antenatów opowiadano dzieciom i wnukom. A później te dzieci i wnuki, już jako mło-

dzi mężczyźni, zakładały konspiracyjne kółka samokształceniowe, wydawały tajne gazetki, szły do powstańczych partii. A potem na Sybir.

Czy to się dziś podoba, czy nie, w wieku XIX to szlachta i ziemiaństwo (licząc także herbowych duchownych) były ostoją czynnego patriotyzmu. Pamięć o idealistycznych przodkach w konfederatkach trwała – i była natchnieniem dla młodych – w bodaj każdym rodzie ziemiańskim. Bo bodaj w każdym zdarzali się szaleńcy na punkcie ojczyzny. A jeszcze częściej tacy, którzy, gdy nadeszła chwila próby, uważali, że uchylić się od obowiązku walki o Polskę nie uchodzi. Pośród antenatów autora „Dziejów dwóch rodzin...” nie brakowało ani jednych, ani drugich.

Dziadek matki Kazimierza Orłosa, student uniwersytetu kijowskiego Ksawery Pietraszkiewicz, pod koniec lat 30. XIX wieku wstąpił do założonego przez Szymona Konarskiego tajnego Stowarzyszenia Ludu Polskiego, które miało dążyć do zbliżenia polskiej szlachty i włościan oraz poprawienia poziomu życia tychże. Carskie władze spisek odkryły. Konarskiego rozstrzelano, Pietraszkiewicza zamknięto w lochu kijowskiej cytadeli, ostatecznie pognano w soldaty na Kaukaz. Tam ranny, odznaczony Krzyżem św. Jerzego za odwagę, został zwolniony z przymusowej służby i w końcu osiadł w Krakowie.

Stryj Ksawerego Pietraszkiewicza, Onufry, w 1817 r., jako student Uniwersytetu Wileńskiego, wspólnie z przyjaciółmi,

m.in. Tomaszem Zanem i Adamem Mickiewiczem, założył tajne Towarzystwo Filomatów. Jego członkowie szybko przeszli od działalności samokształceniowej do pracy obywatelskiej i niepodległościowej. Związek Filomatów po sześciu latach działalności został rozbity aresztowaniami i zsyłkami w głąb Rosji – był to los także Mickiewicza i Pietraszkiewicza – ale na półtora wieku stał się natchnieniem i moralnym wzorcem z Sèvres bodaj wszystkich polskich tajnych związków patriotycznych.

W Moskwie w 1831 r. Onufry Pietraszkiewicz organizował ucieczki polskich oficerów do powstania listopadowego. Skazany na śmierć; ułaskawiony, zesłany został na Syberię. Majątki Pietraszkiewiczów carskie władze skonfiskowały. W III części „Dziadów” Mickiewicz stworzył na podstawie osoby Onufrego postać Jacka.

Skoro autor „Dwóch rodzin” już na wstępie przywołał swe rodzinne związki z Iwaszkiewiczem, warto przypomnieć, że i ojciec, i stryj wielkiego pisarza walczyli w powstaniu styczniowym, a on sam latem 1920 r. w czasie wojny z bolszewikami wstąpił do 221. Pułku Piechoty, by walczyć z bolszewikami. Również bracia matki Kazimierza Orłosa – później wybitni pisarze Stanisław i Józef Mackiewiczowie – walczyli jako ochotnicy z bolszewikami. Bili się w oddziale samoobrony, początkowo nieregularnej formacji ziemiańskich zagończyków i kubańskich kozaków, z czasem przekształconej w regularny 13. Pułk Ułanów.

Ojciec nigdy nie używał wielkich słów. Kiedy teraz, w wolnej Polsce, słyszę ludzi, którzy słowa Polska, ojczyzna i patriotyzm wypowiadają przy lada okazji, myślę o nim

KAZIMIERZ ORŁOŚ

Życie codzienne kresowego ziemiaństwa od patriotycznego wzmożenia było jednak dość odległe, w zasadzie wypełnione staraniami o należyte funkcjonowanie ziemskiego majątku – własnego lub zarządzanego w imieniu właściciela. We wspomnieniowej epopei obu gałęzi przodków Orłoś posiłkuje się spisnymi wspomnieniami antenatów – w tych opowieściach, zwłaszcza z czasów ich dzieciństwa, stosunki z mieszkańcami folwarków i służbą jawią się jako sielskie, nieznacznie tylko przyprószone paternalizmem „państwa”. Z lekką przymieszką narodowościowej wyższości: do polskich pracowników majątku zarządzanego przez dziadka autora dzieci ze dworu musiały zwracać się per pan.

W XIX-wiecznej odsłonie kroniki ziemiańskich elit ciągle w tle przewija się lud – ciężko pracujący, obsługujący, dobroduszny, okazujący oddanie, żyjący skromnie lub wręcz biednie. Właśnie w zestawieniu ze standardem życia codziennego ziemian. Ojciec autora „Dziejów dwóch rodzin...” wspomina, że rodzina odebrała jedną z przeprowadzek na ukraińskich kresach jako obniżenie warunków życiowych: dom i oficyna były nieco mniejsze, mniej było też służby. Ot, raptem ogrodnik, furman, nadzorca folwarcznych warsztatów, krowiarnik, stróż, kucharka, pokojówka, praczka, piastunka najmłodszego syna. Prowadzenie domu z piątką potomstwa przy pomocy jednej służącej i jednej Fraulein do opieki nad dziećmi uważano w sferach ziemiańskich końca XIX wieku za „skromne warunki egzystencji”.

Wiek XIX, a potem zwłaszcza I wojna światowa, to czas szybkiego zalamywania się materialnej prosperity ziemiaństwa. Najpierw dotknęło ono rodziny szlacheckich patriotów. Zesłania i konfiskaty majątków po obu powstaniach spychały represjonowanych ziemian w niezamożność, a częstokroć w biedę – faktyczną, a nie wymyśloną. Swoje robiły też w XIX wieku brak kapitału i nieumiejętność

prowadzenia majątku w szybko zmieniających się warunkach politycznych i gospodarczych, w końcu wojenne zniszczenia.

„Dzieje dwóch rodzin...” to nie tylko opowieść o końcu kresowego polskiego ziemiaństwa. Przywoływane przez pisarza wspomnienia rodzinne niepostrzeżenie stają się zapisem przemiany części ziemiaństwa w inteligencję. Najpiękniej uosabiają ją krakowskie losy Ksawerego Pietraszkiewicza, pradiadka autora. Po przyjeździe do Krakowa założył on pensję dla panienek z Kresów. Jego żoną była córka Kajetana Górskiego, żołnierza insurekcji kościuszkowskiej.

W swoim domu stworzył zacny salon towarzyski. Bywali tam weterani – dawni zesłańcy polityczni i powstańcy z 1863 r. U synów Ksawerego Pietraszkiewicza, braci babci autora „Dziejów...”, zjawiali się ich koledzy: Stanisław Wyspiański, Lucjan Rydel, Józef Mehoffer, Henryk Opieński – później kompozytor, w odrodzonej Polsce współtwórca Państwowego Konserwatorium Muzycznego, Stanisław Estreicher – po latach wybitny historyk prawa, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Babcia Kazimierza Orłosa w salonie Pietraszkiewiczów grała w sekretarza z przyszłymi wielkimi postaciami polskiej kultury. W Estreicherze nawet się, niezbyt szczęśliwie, podkochiwała. Wyspiański zaś podkochiwał się w ciotce przyszłej żony ojca autora „Dziejów...”. Po zauroczeniu tym pozostał jej portret namalowany przez Wyspiańskiego.

Pradziadek autora Ksawery przedzierzgnął się z młodzieńca ze szlacheckiej ukraińskiej rodziny w krakowskiego inteligenta.

Podobną drogę przebyli inni antenaci Kazimierza Orłosa. Jego praprapradziadek po kądzieli był w połowie lat 30. XIX stulecia posesjonatem. W drugiej połowie XIX wieku z pięciu żyjących podówczas braci Zwolińskich już tylko najstarszy posiadał niewielki majątek ziemski (jeden z braci, Karol, ojciec babki autora, majątku już nie miał). Ziemia nie bez własnej ziemi ratowali się, przyjmując zatrudnienie jako zarządcy cudzych majątków. Coraz częściej jednak zatrudniali się w zawodach typowo inteligentkich.

Dziadkowi Kazimierza Orłosa po kądzieli, Antoniemu Mackiewiczowi herbu Bożawola, bliżej już było do stanu mieszczańskiego niżli do ziemiaństwa. Jako współwłaściciel i dyrektor petersburskiej firmy Fochts i Spółka importującej wina połowę życia spędzał w podróżach w interesach. A jego synowie, przyszli pisarze Stanisław i Józef, od lat młodzieńczych byli inteligentami z krwi i kości.

Ich siostra, a matka Kazimierza Orłosa, tak wspominała przemianę swojej matki w latach 20. XX wieku: „Mama objęła kierownictwo Szkoły nr 17 na Skokówce, a potem Seminarium dla Ochroniarek na Zwierzynicy. Wir pracy, w jaki wpadła, mógł oszłomić każdego. Nie mam pojęcia, jak osoba dawniej przyzwyczajona do wygodnego życia, służby, zaangażowana jedynie w sprawy rodziny, stała się kimś całkowicie oddanym pracy społecznej”.

Jej córka – matka autora – na początku lat 20. zaczęła pracować w szkole w Wilnie i uczęszczać na uniwersytet. Pasjonatka pedagogiki, korespondowała z Januszem Korczakiem. W 1927 r. wyjechała do Warszawy na studia pedagogiczne.

Rodzina po mieczu Orłosa status i ziemiański styl życia utrzymywała aż do I wojny – jego dziadek był zarządcą majątku ziemskiego. W niespokojny wojenny czas Orłosiowie przenieśli się z Podola do Kijowa, gdzie dziadek autora otworzył herbariarnię. Po początkowych sukcesach interes splajtował – czas, w którym w ciągu pięciu lat władza zmieniała się dziesięciokrotnie, a na ulicach zamiast okrzyków gazeciarzy słychać było strzały, to nie był czas na herbatkę i ciasteczka. Ojciec Kazimierza Orłosa rozpoczął w Kijowie studia na medycynie, skończył kurs samochodowy. Było to jednak podzwonne dla wieków obecności jego przodków na kresach ukraińskich. Rodzina Orłosiów wsiadła w Kijowie do pociągu 9 li-

stopada 1918 r., wysiadła w Warszawie 12 listopada. Dwa dni wcześniej wrócił do Warszawy z więzienia w Magdeburgu Pilsudski.

Skończył się kresowy, ziemiański rozdział w życiu Orłosiów. Zaczął – warszawski, inteligentcki. A inteligentcka egzystencja w pierwszych latach odrodzonej Rzeczypospolitej – a czasem dłużej, aż do połowy lat 30. – to niedostatek, czasem wręcz bieda. W nowym życiu Orłosiów bieda tuż po ich zainstalowaniu się w Warszawie była dotkliwa.

W porównaniu z warunkami na Kresach żyli skromniej niż ich tameczna służba. Ale dwie rzeczy nie zmieniły się wcale – poczucie obowiązku wobec ojczyzny oraz elitarne środowisko, w którym ciągle się obracali; teraz już nie „dobre towarzystwo” kresowych przede wszystkim ziemian, ale śmietanka wojskowa i intelektualna odnowionej Polski.

Ojciec autora „Dziejów dwóch rodzin...” i jego brat do polskiego wojska zgłosili się tydzień po przeprowadzce do Warszawy. Stryj Kazimierza Orłosa wstąpił do Legii Akademickiej, ojciec, posiadacz kijowskiego prawa jazdy, trafił do wojsk samochodowych. Jeździł z pierwszym – jak pisał we wspomnieniach – ambasadorem francuskim, a po prawdzie z przewodniczącym Misji Międzysojusznicej w Polsce Josephem Noulensem, spotykał niezwykle wysokiego, młodego instruktora francuskiej misji wojskowej kpt. de Gaulle’a, został kierowcą mercedesa gen. Rydza-Śmigłego.

Podczas zamachu stanu płk. Januszajtisa w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. był jednym z trzech żołnierzy, którym zamachowcy, ich zwierzchnicy, rozkazali z karabinami i ostrą amunicją pilnować aresztowanych członków legalnego rządu z premierem Moraczewskim na czele. A po upadku zamachu przez słuchiwany był przez mjr. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, adiutanta naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego – sam Piłsudski zaś się tej indagacji przysłuchiwał.

Inteligenci i ziemianie z tamtego pokolenia nie zwykli wahać się, gdy ojczyzna była w potrzebie. W walkach o granice odrodzonej Polski, potem w wojnie polsko-bolszewickiej, bili się wujowie Kazimierza, jego ojciec i stryj. We wrześniu 1939 r. ojciec autora dowodził transportem 2 tys. min przeciwzołgowych – załadowanych na 12 samochodów ciężarowych Fiat – z twierdzy w Mo-dlinie do Torunia. W chaosie kampanii wrześniowej, pośród niemieckich bombardowań, transport ten jako żywo przypominał „Cenę strachu”, francusko-włoski filmowy thriller z lat 50., o ekstremalnie ryzykownej wyprawie ciężarówki wyładowanej nitrogliceryną. Później ojciec autora wozil amunicję artyleryjską i zaopatrzanie, w końcu już tylko starał się wojskowym autobusem ewakuować rannych.

Młodszy brat ojca, Jerzy Orłoś, bił się w szeregach armii gen. Kleeberga pod Kockiem, został tam ranny, a po wyzdrowieniu przedostał się przez zieloną granicę do Francji; w Anglii został pilotem Dywizjonu 307. Idąc w 1940 r. na Słowację, zachęcał swego przyjaciela, lekkoatletę, mistrza olimpijskiego Janusza Kusocińskiego, by ten ruszył wraz z nim. Kusociński odmówił, bo był jedynym opiekunem matki staruszki. Kilka tygodni później Niemcy zamordowali go w Palmirach.

Brat stryjeczny autora „Dziejów dwóch rodzin...” w wieku 17 lat uciekł z domu w Legionowie do partyzantki, do Batalionów Chłopskich na Zamojszczyźnie. Zginął w wielkiej bitwie z Niemcami w Lasach Janowskich.

A sam ojciec Kazimierza w warszawskiej konspiracji AK został projektantem skrytek w mieszkaniach, meblach, torbach i zabawkach – na broń, amunicję i gotówkę. Wykonywano je zazwyczaj w fabryce Kamlera, której właściciel i dyrektor, inż. Jerzy Kamler – kpt. „Stolarz”, był dowódcą kompanii przybocznej gen. Bora-Komorowskiego. Bezpośrednim szefem ojca autora był zaś por. „Norbert”, znany architekt inż. Kazimierz Kamler, brat Jerzego. Gotowe konstrukcje przewoził z fabryki na miejsce zainstalowania ich projektant – Kazimierz Orłoś, ppor. „Brzost”. A jego kuzynka Zofia Marcinkowska prowadziła na ul. Wilczej w Warszawie salon kosmetyczny, który był jednym wielkim magazynem broni AK.

Podczas powstania warszawskiego ojciec Kazimierza, jako oficer Grupy Fortyfikacyjnej, projektował podziemne tunele, które umożliwiały bezpieczne poruszanie się w strefach niemieckiego ostrzału.

Nie inaczej było w rodzinie Mackiewiczów. Stanisław „Cat” we wrześniu 1939 r. przedostał się przez Litwę i Estonię na Zachód i tam został członkiem Rady Narodowej RP – polskiego parlamentu na uchodźstwie. Jego młodsza córka Aleksandra współpracowała z Zofią Kossak i Władysławem Bartoszewskim w konspiracyjnej Radzie Pomocy Żydom „Żegota”. W 1943 r. Komenda Główna AK oddelegowała ją do służ-

by kurierskiej na najtrudniejszych trasach – z Warszawy do Wilna i do Lwowa. Starsza córka Stanisława Mackiewicza, Barbara, zaangażowana w akowską konspirację w Wilnie, w 1943 r. została aresztowana przez Niemców i osadzona w więzieniu na Łukiszkach.

W godzinie próby pod bronią i w konspiracji cywilnej znów spotkała się polska inteligencja. Połączyło ją jeszcze jedno. Tak opisuje to Kazimierz Orłoś: „Nie pamiętam momentu powrotu ojca z Powstania. A było tak, jakby wracał z kolejnej wojny w obrobie kraju. Był człowiekiem, który nigdy nie używał wielkich słów. Kiedy teraz, w wolnej Polsce, słyszę ludzi, którzy prześcigają się w patriotycznych frazesach, a słowa Polska, Polacy, ojczyzna i patriotyzm wypowiadają przy każdej okazji, myślę o ojcu. Przeżył nasze dwie bezprzykładne klęski – w 1939 i 1944 r. Bronił kraju, jak wszyscy, którzy uważali to za

swój obowiązek”.

Kazimierz Orłoś wydał „Dzieje dwóch rodzin...” w roku 2015. Władzę w Polsce wzięła wtedy partia, której przywódcy nieustannie wrzeszczą o patriotyzmie swoich akolitów i odmawiają patriotyzmu oplukiwanym przez siebie „elitom”.

Rodzinna epopeja spisana przez Orłosa przywraca dobrą pamięć polskich elit – ziemiańskich i przede wszystkim inteligentkich. Elit, które – w przeciwieństwie do zdemoralizowanych partyjnych pyskaczy i ulicznych rozrabiaków ostatnich lat – o swym patriotyzmie, prawdziwym patriotyzmie, często krwią podcyfrowanym, zwykły milczeć.

Swoje własne losy Kazimierz Orłoś opisał w autobiografii „Dzieje człowieka piszącego”. Zaczyna się ona scenami

zamykającymi dzieje rodzin Mackiewiczów i Orłosiów. Oto dziewięcioletniego Kazia i jego matkę, wyrzuconych przez Niemców z ruin Warszawy, oraz ojca, który dołączył do nich po ucieczce z transportu po kapitulacji powstania, budzą 17 stycznia 1945 r. w Rawie Mazowieckiej wybuchy sowieckich bomb. Orłosiowie chronią się w podziemiach klasztoru Ojców Pasjonistów. Gdy w końcu wychodzą z piwnic, na ulicy natykają się na długą kolumnę sowieckich czołgów.

Rodzice oszczędzali synowi traumy wiedzy o losach najbliższych. Nastoletni Kazimierz nie miał pojęcia, że jego ojciec był kilkakrotnie przesłuchiwany przez funkcjonariuszy UB zarzucających mu ukrywanie akowskiej przeszłości. Idąc z domu do ówczesnego gimnazjum Reytana, codziennie na Rakowieckiej mijał mur więzienia mokotowskiego, nie mając pojęcia, że przetrzymywanych jest tam troje ciotecznego rodzeństwa ojca.

Ale nie znaczy to, że rodzice trzymali syna w bańce nieświadomości: „wyniosłem z domu rodzinnego, z rozmów, zwłaszcza z matką, głęboką niechęć do narzuconego systemu. Nasłuchiłem się mnóstwa opowieści o czasach przedwojennych, o wojnie z bolszewikami w 1920 r., o sowieckiej okupacji Wileńszczyzny, o łagrach, Katyniu i powojennych prześladowaniach AK”.

Nic zaskakującego, że stronił od aktywistów w czerwonych krawatach i jako jeden z nielicznych w klasie nie zapisał się do ZMP.

Po powrocie Stanisława Cata-Mackiewicza z londyńskiej emigracji często – już jako student prawa – był u sławnego wujka, rozmawiał, grywał w szachy. Zaczął pisać opowiadania. Rozmowy początkującego literata z mistrzami – Igorem Newerłym, Iwaszkiewiczem, Andrzejem Kijowskim – stały się dlań drogowskazem na lata.

Pod koniec lat 50. ożenił się. Jego wybranka, Teresa Czerniewicz, wniosła do związku zacne tradycje szlacheckie, ziemiańskie i niepodległościowe. Wśród jej antenatów był powstaniec listopadowy, a potem wygnaniec Wielkiej Emigracji; był generał jezuitów, wreszcie i oficer 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, który za wojnę 1920 r. dostał Virtuti Militari z rąk Piłsudskiego.

Po ukończeniu studiów Kazimierz Orłoś pracował kolejno na budowie kopalni oraz elektrowni w Turoszowie, w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach, na budowie elektrowni wodnej w Solinie, a w 1969 r. – jako radca w elektrowni Koźienice.

Partyjne władze doceniły młodego prawnika z ambicjami literackimi. Za lata pracy w Solinie odznaczony został srebrnym Krzyżem Zasługi, przyznano mu też bezpłatny rejs pasażerski na statku handlowym wokół Morza Śródziemnego. W PRL-u był to przywilej dla artystów uznanych oraz dla tych, o których można było domniemywać, że stoją u progu poważnej kariery.

Kazimierz Orłoś uprawia pisarstwo realistyczne, mocno związane z osobistymi obserwacjami i żywymi doświadczeniami. Praca w zawodach niezwiązanych z literaturą była dla niego kopalnią inspiracji. Na kanwie przeżyć z budowy zapory w Solinie rozpoczął pisanie powieści „Cudowna melina”, literackiego zapisu patologii dręczących peerelowską prowincję w epoce gomulkowskiej (ale też i gierkowskiej, bo przecież daleko od Warszawy niemal nic się po 1970 nie zmieniło). Koncept przestępczego układu – w niewielkim mieście – urzędników, lokalnych dygnitarzy partyjnych i funkcjonariuszy mundurowych, którzy na przemycie dorabiają się fortun, pisarz wziął z życia – taki gang w latach 60. świetnie funkcjonował w Sanoku, przemycając z Czechosłowacji... czosnek.

W 1972 r. Orłoś złożył maszynopis „Meli-ny” w oficjalnym wydawnictwie i otrzymał odmowę druku. Odwoływał się do wszelkich możliwych instytucji, wydziału kultury KC PZPR nie wyciągając. Nie zgadzał się przy tym na życzliwe rady partyjnych roz-

mówców, by przerobić powieść na bardziej dla władzy strawną – np. sekretarza partii, herszta lokalnej szajki, uczynić szlachetnym, samotnym szeryfem szajkę zwalczającym, a na szefa mrocznego układu awansować urzędnika z Rady Narodowej.

Zatrzymanie przez cenzurę powieści wcale nie musiało w czasach gierkowskich oznaczać życiowej katastrofy autora. Pod warunkiem że było się potulnym i o zatrzymanej książce milczało. W przypadku Orłosa wiele wskazywało na to, że konflikt o „Melinę” skończy się podobnie. Zwłaszcza że władze nie zablokowały etatowej pracy w redakcji tygodnika „Literatura”, nie szykanowały go w Polskim Radiu, gdzie zatrudniony był w redakcji słuchowisk.

Ale Orłoś rzucił wyzwanie władzom i – jak się miało okazać – sporej części peerelowskiego środowiska literackiego. Wydał „Melinę” w emigracyjnym Instytucie Literackim w Paryżu, u Jerzego Giedroycia. Wiedział, czym ryzykuje i on, i jego rodzina. Był drugim po wojnie krajowym pisarzem, który zdecydował się na ten krok. Losy pierwszego, Stanisława Rembeka, który za wydanie w paryskiej „Kulturze” powieści z wojny polsko-bolszewickiej „W polu” skazany został na niebyt, mogły być przestrogą.

Orłoś o losach Rembeka w autobiografii nie wspomina, ale po wydaniu „Cudownej meliny” spodziewał się najgorszego, z uwięzieniem włącznie. Skończyło się na przesłuchaniu przez SB, wyrzuceniu z radia, zakazie publikowania w „Literaturze”, zablokowaniu realizacji przez Krzysztofa Kieślowskiego filmu według powieści Orłosa i zdjęciu z afisza jego pierwszej sztuki teatralnej w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

Dotkliwie okazały się reakcje całym społeczeństwem. Najmniej agresywne były niechętnie uwagi w rodzaju: „No i co to dało?”, ale zdarzały się też obmowy wygłaszane przez zawistnych kolegów: wedle nich Orłoś, literat nieutalentowany, bez szans na karierę, wydaniem niezbyt udanej powieści w Paryżu chciał tylko zwrócić na siebie uwagę – a przy okazji zgarnął pieniądze nieosiągalne w krajowych wydawnictwach.

Ale byli i inni. „Szanowny i Drogi Panie, nie znamy się osobiście. Piszę tych kilka słów, bo wiem, że w trudnych chwilach każde przyjazne szczere słowo przynosi ulgę. Byłbym szczęśliwy, gdybym w jakiś sposób mógł Panu pomóc. Proszę mnie traktować jak przyjaciela. Marian Brandys”.

Pomoc, wsparcie, wyrazy uznania oferowali też intelektualiści, których przywołanie w biografii przez Orłosa jest jak almanach gotajski polskich twórców tamtej epoki: Aleksander Małachowski, Witold Lesiewicz, Janusz Krasiniński, Bohdan Cywiński, Zbigniew Herbert, Andrzej Kijowski, Józef Hen, Ireneusz Iredyński, Piotr Wierzbicki, Marek Nowakowski, Leszek Płażewski, Jarosław Abramow-Newerly, Jacek Bocheński, Andrzej Braun, Wiktor Woroszyłski, Julian Strykowski, Tadeusz Konwicki, Tomasz Burek, Andrzej Szczypiorski, Kornel Filipowicz, Jerzy Ficowski.

Elity niejedno mają imię.

Żony Orłosa z pracy nie wyrzucano: esbeckim żądaniom stanowczo przeciwstawili się dyrektor państwowego przedsiębiorstwa i jej bezpośrednia kierowniczka.

Wyrzucony ze wszystkich miejsc Orłoś dostał w końcu pracę prawnika od odszkodowań na budowie trasy szybkiego ruchu Katowice – Warszawa, słynnej gierkówki. Zamieszkał na wsi, w pokoju wynajętym od maszynisty pociągów towarowych. Pewnego dnia gospodarz zwierzył się pisarzowi, że nachodzi go SB i żąda, by wpuścił esbeków do pokoju Orłosa. Pisarz zdążył wynieść przed rewizją trefne książki i notatki do kolejnej powieści.

Kazimierz Orłoś zaciekle zapisał się w annałach polskiej literatury ostatniego półwiecza i w historii życia literackiego tego czasu. Od 1977 r. współpracował z niezależnym, ukazującym się poza cenzurą, kwartalnikiem literackim „Zapis”. Z czasem został członkiem zespołu redakcyjnego.

W początkach stanu wojennego organizował zbieranie podpisów (i, rzecz jasna, sam podpisał) pod protestem intelektualistów przeciwko jego wprowadzeniu. Nie był to pierwszy publiczny protest Kazimierza Orłosa w sprawach zasadniczych. W 1976 r. podpisał list przeciwko zmianom w konstytucji PRL (władze chciały zaprowadzić nienaruszalny sojusz z ZSRR oraz zawować sobie konstytucyjną gwarancję uzależnienia praw obywateli od spełniania przez nich obowiązków wobec państwa – co oceniać miały same władze).

Po roku 1989 Orłoś był członkiem kapituły Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Wystąpił z niej w 2006 r. w proteście przeciwko antysemickim wystąpieniom jej sekretarza Stanisława Michalkiewicza.

W 2016 minister kultury Piotr Gliński chciał odznaczyć kilkunastu literatów medalami Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Siedmiomu z nich w proteście wobec polityki PiS-u odmówiło przyjęcia medalu. Wśród nich był – obok m.in. Piotra Matywieckiego i Tomasza Łubieńskiego – Kazimierz Orłoś („nie chcę odznaczania od przedstawicieli władzy łamiącej zasady demokracji w Polsce”).

Zawsze w zacnym towarzystwie. ●

Kazimierz Orłoś, **„Dzieje dwóch rodzin: Mackiewiczów z Litwy i Orłosów z Ukrainy”** (WL, 2015), **„Dzieje człowieka piszącego”** (WL, 2019).



„Trzecie kłamstwo”, Kazimierz Orłoś, wyd. WL. Wznowiona po kilkudziesięciu latach słynna – i znów, niestety, aktualna – powieść w księgarniach od 17 sierpnia.



CZUŁE SŁÓWKA

Instytutomania

Instytut Rodziny miałby tworzyć „adekwatny kontekst społeczno-kulturowy” dla zapewnienia „fundamentalnej roli rodziny” i „reprodukcji biologiczno-kulturowej”. Warto zadać pytanie: adekwatny do czego?

Michał Rusinek*

Serwis Konkret24 policzył ostatnio, ile kosztują budżet państwa powoływane przez rząd Zjednoczonej Prawicy tajemnicze instytucje. W kwestie finansowe nie zamierzam wnikać, ale zaintrygował mnie językowy aspekt owych bytów.

Od grudnia 2021 roku funkcjonuje na przykład Instytut Pokolenia. Według statutu jego celem jest „wzmacnianie trwałości więzi międzypokoleniowych, międzyludzkich oraz tożsamości budowanej w polskich rodzinach przez kolejne pokolenia”, jak również „opracowywanie oraz udostępnianie organom władzy publicznej informacji o istotnych zjawiskach i procesach demograficznych, społecznych oraz kulturowych w Polsce”. Instytut ma także „prognozować stan i struktury ludności oraz procesów demograficznych, obejmujących reprodukcję ludności, w tym małżeńskości, dzietności i umieralności”. „Rzeczpospolita” zauważyła, że Instytut Pokolenia ma się zajmować tym, czym miał się zajmować przygotowywany od dawna Polski Instytut Rodziny i Demografii. Albo więc będziemy mieli dwa instytuty zajmujące się de facto tym samym, albo Instytut Pokolenia to po prostu Instytut Rodziny i Demografii pod zmienioną nazwą. Zmienioną być może pod wpływem krytyki specjalistów. Prezydium Komitetu Nauk Demograficznych Polskiej Akademii Nauk skrytykowało bowiem nazwę tego ostatniego. Jego przewodnicząca prof. Irena E. Kotowska w rozmowie z portalem OKO.press powiedziała: „Demografia to dyscyplina naukowa, więc nie może mieć jej w nazwie jednostka, która nie jest jednostką naukową. Poza tym rodzina jest też obiektem badań demografii. Postawienie tych dwóch słów obok siebie nie ma sensu”. Nie mogę się z tym zgodzić, ma to bowiem sens, ale polityczny: jest próbą zawłaszczenia dyscypliny naukowej przez instytucję upolitycznioną i jest jedną z wielu oznak braku zaufania dla niezależnych naukowców. Innymi słowy: zabierzmy naukę naukowcom i uczynimy z niej narzędzie do wspierania działań władzy lub prowadzenia kampanii wyborczej.

Do nazwy Instytutu Pokolenia przykleić się trudniej, bo nie zawiera ona nazw naukowych dyscyplin, każe jednak zadać pytanie, o jakie pokolenie chodzi i czemu tylko o jedno. Chyba że należy ją odczytywać jako Instytut „Pokolenia”, a więc traktując drugi jej człon nie w dopełniaczu liczby pojedynczej, lecz w mianowniku liczby mnogiej. Brak cudzysłowu jest tu jednak mylący; lepszy byłby Instytut Pokoleń, skoro jego zadanie ma polegać na opisie zjawisk występujących we współistniejących w Polsce pokoleniach i prognozach dotyczących przyszłości demograficznej, a więc tego, jak będą się kształtowały kolejne pokolenia Polaków. Tak przynajmniej rozumiem przytoczony powyżej naukawy opis jego działalności. Kluczowe i emblematyczne w swojej naukowości (nie mylić z naukowością) wydaje się tu pojęcie małżeńskości, bo – jak mówi prof. Kotowska – „to oczywiście, że celem powołania tej instytucji jest promowanie tradycyjnych wzorców życia rodzinnego i wspieranie określonego typu rodziny – rodziny opartej na małżeństwie”. Owszem, taki typ rodziny dominuje w naszym kraju, ale nie znaczy to przecież, że nie istnieją inne. Tymczasem Instytut Rodziny miałby tworzyć „adekwatny kontekst społeczno-kulturowy” dla zapewnienia „fundamentalnej roli rodziny” i „reprodukcji biologiczno-kulturowej”. Abstrahując od kolejnej porcji naukowego bełkotu, warto zadać pytanie: adekwatny do czego? Bo przecież nie do zmieniającej się i różnicującej rzeczywistości społecznej i obyczajowej, ale raczej do forsowanej przez rządzących konserwatywnej ideologii.

Należy jednak docenić subtelną różnicę między Instytutem Rodziny a Instytutem Pokoleń.

W statucie tego drugiego nie ma już dwóch zapisów, które miały się pojawić w statucie pierwszego: o tym, że Instytut może przetwarzać dane osobowe do realizacji swoich zadań, oraz o „uprawnieniach interwencyjnych”, czyli o możliwości wszczynania postępowań sądowych dotyczących praw rodziny. Prof. Kotowska zauważa jednak, że o ile Instytut Rodziny przynajmniej udawał niezależność od władzy wykonawczej, o tyle Instytut Pokoleń niczego nie udaje: podlega bezpośrednio premierowi.

Samo istnienie Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej nie zdumiewa, ale zdumiewa fakt, że to jedyny instytut zajmujący się współpracą z innym narodem. Jaka decyzja stała za tym, żeby akurat relacjom z Węgrami poświęcić osobną instytucję podległą premierowi? Namiętność, jaką nasi rządzący pałają do Viktora Orbána? Szczególna trudność języka węgierskiego, którego powinniśmy się nauczyć, żeby współpraca między naszymi narodami była owocniejsza? Czy może chęć zbudowania instytucjonalnej podbudowy dla poetyckiego porzekadła: „Polak, Węgier – dwa bratanki, / i do szabli, i do szklanki, / oba zuchy, oba żwawi, / niech im Pan Bóg błogosławi” – a więc kryje się w tym godna pochwały promocja poezji. Przynajmniej tej rymowanej.

Nie ma się natomiast co dziwić, że nie został powołany instytut współpracy polsko-niemieckiej. Niemcy pojawiają się natomiast w spektrum zainteresowań Instytutu Strat Wojennych, oczywiście w kontekście reparacji wojennych. Wprawdzie z prawnego punktu widzenia szans na reparację nie ma, ale zawsze można się nimi posłużyć jako tematem zastępczym, kiedy np. w kraju szaleje inflacja. Instytut od dwóch lat zapowiada, że opublikuje raport dotyczący strat wojennych, ale wciąż tego nie zrobił. Jarosław Kaczyński zapowiedział ostatnio, że Polska złoży Niemcom stosowną notę dotyczącą reparacji, a nawet podał symboliczną datę jej złożenia – 1 września, w kolejną rocznicę napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Komentarzyści twierdzą, że żadna nota nie zostanie złożona, bo skompromitowałibyśmy się już całkowicie na arenie międzynarodowej, a więc zapowiedź jej złożenia jest tylko informacją do użytku wewnętrznego: do podgrzania antyniemieckich nastrojów.

Niedawno ukonstytuowała się dodatkowo Rada Instytutu Strat Wojennych. „Zostałem jednoznacznie, jako kandydat wskazany przez marszałka Sejmu, wybrany przewodniczącym tej rady. To daje nam możliwość rozpoczęcia formalnej działalności Instytutu” – ogłosił triumfalnie poseł Arkadiusz Mularczyk. To zdumiewające, że dopiero dołączenie Rady do Instytutu pozwoli mu zacząć działać, ale widocznie błędnie rozumiałem do tej pory funkcję rad. Natomiast dołączenie Rady do nazwy Instytutu powoduje, że powstaje byt językowy będący szczególnym rodzajem rusycyzmu, a dokładnie: sowietyzmu.

Warto także zwrócić uwagę na Instytut De Republica – a więc nazwany z łacińska. Łacina, jak wiadomo, dodaje patyny i elegancji, odnosi nas do tradycji starożytnych lub średniowiecznych, a przede wszystkim – humanistycznych. Skojarzenia to poniekąd słuszne, bo w statucie Instytutu czytamy, że zajmuje się on promocją i popularyzacją „rodzimej myśli badawczej z zakresu nauk humanistycznych i społecznych”. Skoro rodzimej, to jednak nie starożytnej, ale reszta się zgadza. Jego nazwa odnosi się prawdopodobnie do tytułu traktatu Andrzeja Frycza Modrzewskiego „Commentariorum de Republica emendanda”, czyli nie tyle „o Rzeczpospolitej”, ile „o naprawie rzeczpospolitej”. To słuszne, że w nazwie tego Instytutu nie ma mowy o naprawie. Wiele wskazuje na to, że kiedyś, po zmianie władzy i likwidacji upolitycznionych instytucji, będzie musiał powstać inny instytut, prawdziwie niezależny i współpracujący z niezależnymi ośrodkami naukowymi oraz organizacjami pozarządowymi. Proponuję, by nazywał się Instytut De Republica Emendanda. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI/POLSKA PRESS/EN

DZICY WCHODZĄ DO PARKÓW

Pewnie większość ucieszyłaby się,
gdyby w parkach narodowych zbudowano promenady
i parkingi

Stanisław Lubieński

Igoizm – widać – mamy we krwi. Interes naszego gatunku zawsze jest na pierwszym miejscu – wystarczy popatrzeć na coroczne trucie komarów. W tym roku zamglawianie, jak eufemistycznie nazywa się tę hekatombę, przeprowadza się na przykład w Lublinie. Komary, dla nas jedynie łatwa do uniknięcia sezonowa uciążliwość, to podstawa łańcucha pokarmowego. Od ich istnienia zależy życie masy organizmów – choćby płazów czy ptaków. Zamglawiając parki, zabijamy nie tylko komary, ale też miliony Bogu ducha winnych bezkręgowców. To, co się dzieje w Lublinie, w dziesiątkach miast, miasteczek i prywatnych ogródków, można nazwać ekocydem.

Albo sprawa z gawronami. Nieszczęsnego gawrona znika z krajobrazu miast i wsi, w ekspresowym tempie trafił na polską czerwoną listę, bo w ciągu półtorej dekady ubyło 60 proc. populacji. Jednym z powodów jest płoszenie ptaków z miejsc, które zasiedlały przez dziesiątki lat. Ludziom zaczęły przeszkadzać ich chrypiące krakanie i zanieczyszczone ławki w parkach, gdzie nocują albo zakładają kolonie. A gdyby zaakceptować, że gawrony po prostu żyją obok nas? Gdyby przestawić ławki z najbardziej obsranych rejonów parku w te mniej obsrane? Gdyby przestać się tak rozpychać łokciami i dzielić się z milionami innych gatunków ziemią, którą tak bezlitośnie czynimy sobie poddaną?

Okompulsywnych zachowaniach, takich jak częste koszenie trawników, grabienie i wywożenie liści, pisałem już na tych łamach nieraz. Większość tych działań nie ma żadnego uzasadnienia, jest wyrazem subiektywnej ekspresji estetycznej odpowiedzialnego za teren urzędnika. Nie ulega wątpliwości, że parki miejskie powinny łączyć harmonijnie przyrodę z interesami i potrzebami ludzi – inaczej sprawa się ma w przypadku parków narodowych. One są dla przyrody.

Ustawa mówi, że ich celem jest zachowanie „różnorodności biologicznej, zasobów, tworów i składników przyrody nieożywionej oraz walorów krajobrazowych”. Może warto byłoby traktować możliwość chodzenia po szlakach i podziwiania tych skarbów jako rodzaj przywileju, często niezasłużonego – niestety, wielu odwiedzających parki narodowe i rezerваты nie umie się zachować przyzwoicie. Chronione miej-

sca traktują jak teren rekreacji – tym atrakcyjniejszy, że mniej uczęszczany.

Ignorowanie przepisów w parkach narodowych i rezerwach jest w naszym kraju nagminne i nieuleczalne. Niedawno media obiegły zdjęcia turystów opalających się na cennych murawach w Karkonoskim Parku Narodowym. Otaczający je płot nie pomógł, tak jak nie pomagał wcześniej napisany wołami komunikat „Zakaz wstępu!”. Wiadomo, opalenizna jest ważniejsza niż jakieś tam trawki. Czasem myślę, że może na tę wspaniałą przyrodę nie zasługujemy. Pewnie i tak większość ludzi ucieszyłaby się, gdyby w Karkonoszach zbudowano promenady, parkingi i posadzono klomby.

Każdy z 23 polskich parków narodowych ma nieco inną specyfikę, a co za tym idzie – różne problemy z odwiedzającymi. Wszędzie problemem jest wychodzenie poza udostępnione szlaki. W Tatrach czy Górach Stołowych to na przykład wspinaczka w niedozwolonych miejscach. Tablice ostrzegawcze są ignorowane, a ludzie wdrapują się pod gniazdo orla przedniego czy sokoła wędrownego. We wspomnianych Karkonoszach kamery zarejestrowały beztroskiego biegacza na zamkniętym szlaku. Nawet nie zauważył, że wypłoszył

z tokowiska ginące cietrzewie. Naprawdę było warto?

Dla nas wejście poza szlak to tylko egoistyczna rozrywka, zakazany owoc, dla zwierząt te miejsca to oazy, ostatnie enklawy, schronienia przed napierającą zewsząd cywilizacją człowieka. Ale jak widać, nawet tu nie są bezpieczne. W naszym świecie skarbem stają się ciemne niebo albo niczym niezakłócona leśna cisza, w której nie słychać wycia pila czy warkotu silników. Takie powinny być parki narodowe, ale i tam, w najbardziej niedostępne miejsca, wjeżdżają z hukiem quady i motocykle. Wszędzie też docierają poczciwi, ale zupełnie nieskrępowani zbieracze grzybów w kolorowych pelerynach przeciwdeszczowych. Albo zbieracze poroża. Ludzie zdają się nie rozumieć, że park narodowy to nie las jak każdy inny.

Nikt przed wejściem do parku narodowego naturalnie nie czyta tych długich regulaminów, nie wspominając o ustawach. Ludzie tłumaczą, że nie wiedzieli, że nikt im nie powiedział, albo pada nieśmiertelne: „ale inni też tak robią”. Schodzenie ze szlaku tradycyjnie tłumaczy się brakiem świadomości. Odwiedzający nie podejrzewają, że wyrządzają przyrodzie jakąś krzyw-

dę, bo przecież zwierzęta spotykają bardzo rzadko. A przecież to, że ich nie widać, wcale nie znaczy, że ich tam nie ma. Dzikie zwierzęta mają bardziej rozwinięte zmysły niż my. W przyrodzie przetrwanie zależy od czujności, nie więc dziwnego, że znikają bezszelestnie, kiedy zbliżamy się do ich kryjówek.

Nie zawsze chodzi wyłącznie o turystów, ale także o miejscowych. W jednym z młodszych parków narodowych na zachodzie kraju problemem jest nielegalny polów ryb. „Przecież zawsze tak robiliśmy”, tłumaczy mieszkańcy. Czasami to hobbystyczne wędkowanie, ale zdarzają się klusownicy na skalę przemysłową łowiący ryby siecią albo za pomocą agregatu prądotwórczego. Skala zmienia kwalifikację prawną czynu – „znacząca strata mienia” to już nie wykroczenie, tylko sprawa karna. Podobno liczba takich polowań wyraźnie zwiększa się w okolicy świąt i pierwszych komunii.

Egzekwowania przepisów nie ułatwia, że straż parkowa to służba bardzo nieliczna. Zwykle to dosłownie kilka osób, które pracują w określonych godzinach, tak jakby ich praca polegała wyłącznie na siedzeniu w biurze. Zadaniem straży jest w praktyce pilnowanie majątku parku, takiego jak drewno. Sprzedaż drewna to zresztą ważne źródło zarobkowania parków, a może należałoby raczej powiedzieć – reperowania miżernego budżetu. Park narodowy handlujący drewnem to smutny paradoks. Straż nie może wlepić mandatu, straż może wylegitymować, zatrzymać, przeszukać bagaż czy bagażnik. I wezwać policję, a ta z kolei może skierować wniosek do sądu.

Trudno sobie wyobrazić sytuację, żeby straż wzywała policję na szczyt Śnieżki do depczących porosty turystów. Zdaniem pracowników organów ochrony przyrody powinno im się nadać większe uprawnienia i stworzyć taryfikator dotyczący najczęstszych wykroczeń. Niestety, jak pokazuje przykłady z polskich dróg, w naszym kraju na zmianę zachowań i przyzwyczajęń pozytywny wpływ mają przede wszystkim kary finansowe. W tym roku 70 proc. Polaków spędzi wakacje w kraju. Park Narodowy Gór Stołowych jako pierwszy wprowadził limity wstępu na najpopularniejsze szlaki. Presja rośnie, w poszukiwaniach dzikiej, nieskażonej przyrody pamiętajmy, żeby jej przy okazji nie zadeptać. ●



Kosmos

Autorem wielu haseł jest **Piotr Cieśliński**

FOT. AGATA JAKUBOWSKA

ALE KOSMOS!

Przed tygodniem było o wielkich porażkach za sprawą rocznicy brazylijskiej traumy, czyli porażki z Urugwajem w 1950 roku w meczu o mistrzostwo świata w piłce nożnej. Brazylijczycy, murowani faworyci, polegli, ale Państwo żadną miarą! Pelen sukces „apokaliptycznej” (hasło brzmiało „apokalipsa”) Weekendówki w Waszym wykonaniu, o czym świadczą mejle m.in. od panów Mirka, Adama i Zygmunta.

A dziś odlecimy! Przez trójkę innych jegomościów – Neila Armstronga, Buzza Aldrina i Michaela Collinsa. 53 lata temu, 20 lipca 1969 roku, załoga statku kosmicznego Apollo 11 wylądowała bowiem na Księżycu, oznajmiając głosem Armstronga, że „Orzeł wylądował”. A nazajutrz tenże Armstrong wygłosił jeszcze słynniejsze słowa, stawiając jako pierwszy człowiek w historii stopę na Srebrnym Globie: „To mały krok człowieka, ale wielki skok ludzkości”.

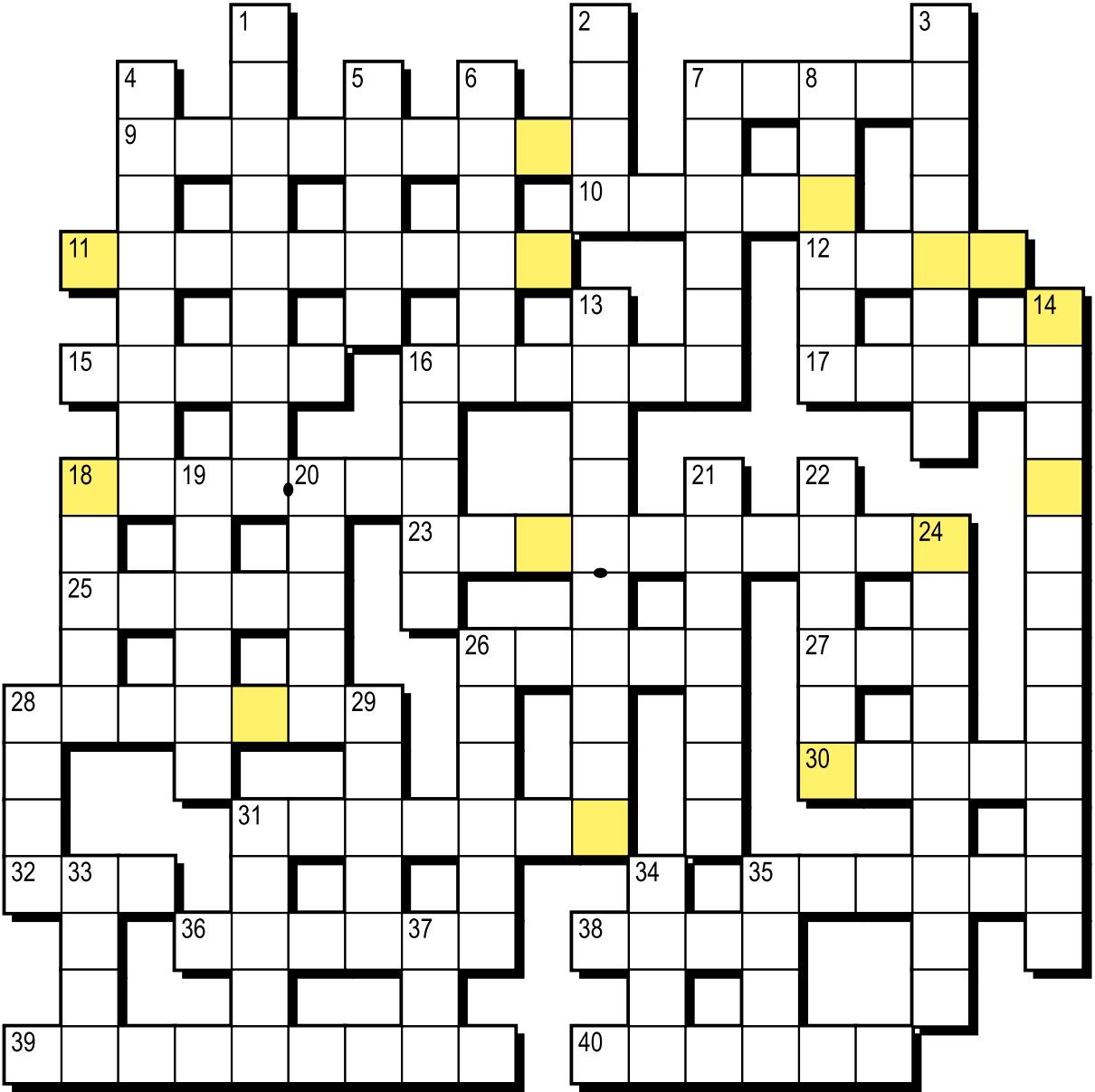
Dlatego do dzisiejszej Weekendówki zaprosiłem Piotra Cieślińskiego, szefa działu Nauka „Gazety Wyborczej”, absolwenta Wydziału Fizyki UW i wielkiego fana nauki, który na łamach – i nie tylko! – popularyzuje odkrycia z dziedziny kosmosu, matematyki i techniki, biologii czy genetyki. Piotr to tęga głowa, więc łatwo nie będzie!

A wracając do naszej trójki bohaterów: załoga wylądowała na Księżycu, ale ściśle rzecz biorąc, wówczas dokonało tego jedynie dwóch astronautów. Armstrong był na Księżycu pierwszy, Aldrin drugi, poza tym już na zawsze pozostanie też „ojcem chrzestnym” Buzza Astrala z „Toy Story”. Z całej trójki na wiernym satelicie Ziemi nie stanął jedynie Collins. Kiedy jego dwaj koledzy w module księżycowym Orzeł lądowali na Księżycu, on pozostał na orbicie okołoksiężycowej na pokładzie Columbii, modułu, którym wszyscy mieli wrócić na Ziemię.

Dlatego często nazywa się go „zapomnianym astronautą” albo „najbardziej samotnym człowiekiem w historii”. Otóż podczas okrążania Księżyca następował moment, gdy statek tracił radiołą łączność z Ziemią. Collins w książce „Niosąc płomień. Podróż astronauty” wspominał, że wówczas czuł się naprawdę sam, całkowicie odizolowany od jakiegokolwiek znanego życia.

Stwierdził też coś jeszcze. „Wierzę, że gdyby światowi przywódcy spojrzeli na naszą planetę z odległości, powiedzmy, 100 tys. mil, ich poglądy zmieniłyby się totalnie. Ta najważniejsza granica stałaby się niewidoczna, krzykliwy argument – nieistotny”. Collins mówił to w dobie zimnej wojny. Dziś, niestety, przesłanie wciąż jest tak boleśnie aktualne. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie Weekendówki nr 10 z 16.07: **APOKALIPSA**

Hasła **Piotra Cieślińskiego** oznaczono inicjałami (**PC**). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) ... zodiaku
- 9) Wielki Obtok Magellana
- 10) „Patrę w ..., gwiazd szukam, przewodniczek todzi”
- 11) zielone ludziki z Czerwonej Planety
- 12) Międzygwiazdne
- 15) „Piękny ..., wspaniałe pustkowia” (Buzz Aldrin na Księżycu)
- 16) okołozemska
- 17) otaczają go Byk, Bliźnięta, Jednorożec i Zając (PC)

- 18) konstelacja z Gwiazdą Polarną (północną)
- 23) statek kosmiczny z serialu „Star Trek”
- 25) bezzałogowa, np. Voyager
- 26) początek podróży rakieta
- 27) Mars lub Jowisz
- 28) ... Doskonałości lub ... Śmierci, akwen na Księżycu
- 30) najjaśniejsza gwiazda w konstelacji Oriona
- 31) najszybsza planeta w Układzie Słonecznym (PC)
- 32) może być bezgwiezdna
- 35) heliocentryczna lub Wielkiego Wybuchu
- 36) planeta, której symbolem jest trójkąt

- 38) rycerze z „Gwiezdnych wojen”
- 39) Bajkonur w Kazachstanie
- 40) imię uczonego z pozycji 3 pionowo

Pionowo:

- 1) astronomowie używają ich od czasów Galileusza (PC)
- 2) przewrócona planeta (PC)
- 3) twórca szczególnej i ogólnej teorii względności
- 4) jedna z katalogu Messiera (PC)
- 5) Słoneczny
- 6) czwarty – to czas
- 7) błękitna planeta
- 8) ... 11

- 13) kiedyś były czerwonymi olbrzymami (PC)
- 14) film science fiction Christophera Nolana
- 16) lądownik misji księżycowej z pozycji 8 pionowo (w polskim tłumaczeniu)
- 18) programy lotów kosmicznych
- 19) radziecki próbnik księżycowy
- 20) jest i słoneczny
- 21) pierwszy sztuczny satelita na orbicie okołozemskiej
- 22) Księżycówka
- 24) „... zimnem Ziemię smaga” – śpiewała Kora w piosence „Szał niebieskich ciał”
- 26) pierwszy człowiek w kosmosie

- 28) ... Glenn, pierwszy amerykański astronauta, który odbył lot orbitalny (1962 r.)
- 29) zabiera on Ziemi 24 godziny (PC)
- 31) napój kojarzący się z pewną drogą
- 33) „Księżyc jest tylko dla dorosłych, zaślń ..., mamę” – pisał Andrzej Bursa
- 34) Galácticos z Madrytu
- 35) piosenka z płyty Floydów „Ciemna strona księżyca” (czas)
- 37) latający spodek

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ